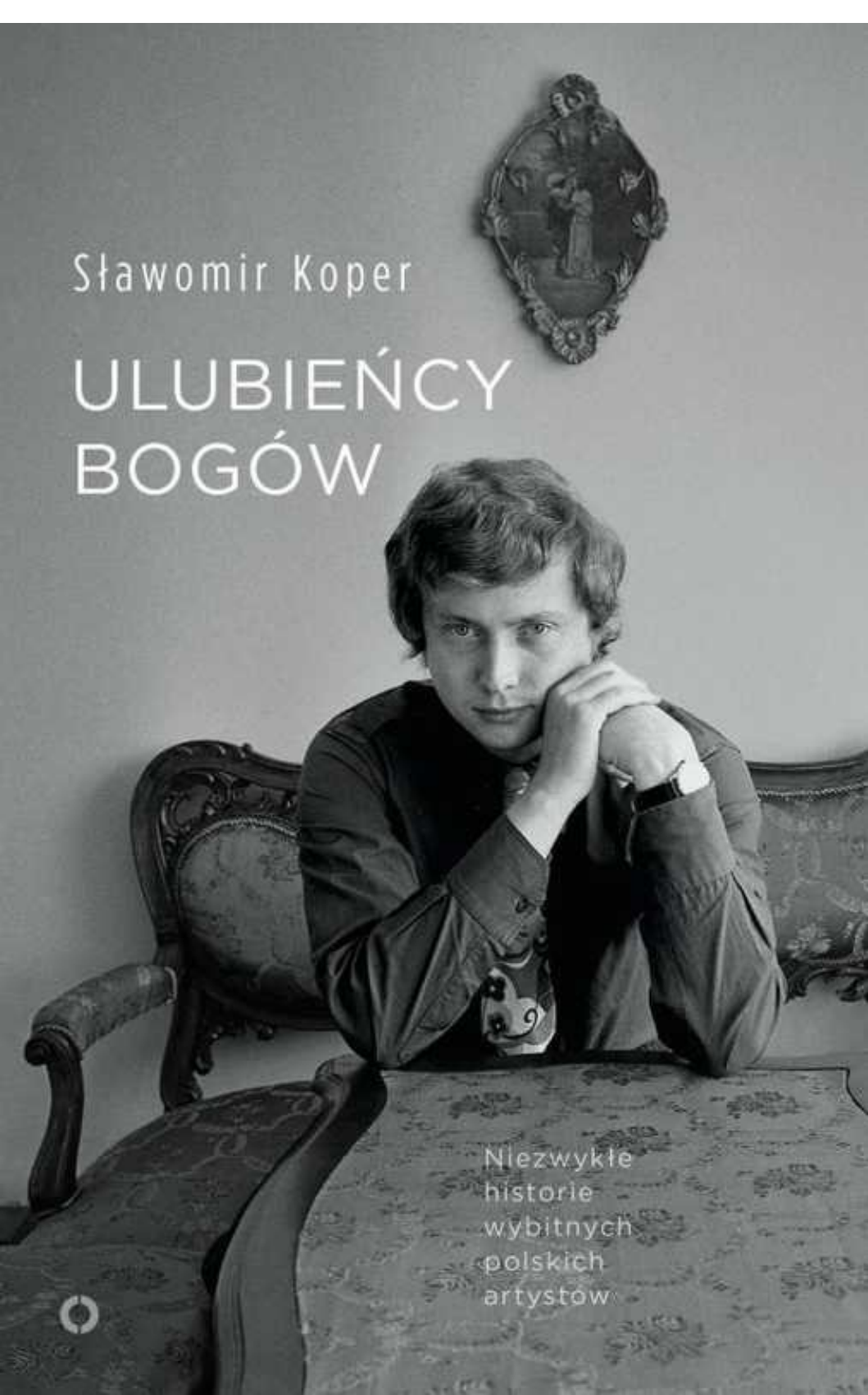
Sławomir Koper
ULUBIEŃCY BOGÓW
Niezwykłe historie wybitnych polskich artystów

ULUBIEŃCY BOGÓW

Sławomir Koper

Warszawa 2017

Copyright © Sławomir Koper, Czerwone i Czarne

Projekt okładki
FRYCZ IWICHA

Zdjęcia
na okładce: Adam Bujak; Jerzy Płoński/FORUM; Jan Rolke/FORUM;
Czesław Czapliński/FOTONOVA; Jerzy Płoński/FORUM

Korekta
Beata Saracyn i Agnieszka Gzylewska

Skład
Tomasz Erbel

Wydawca
Czerwone i Czarne Sp. z o.o. S.K. A.
Rynek Starego Miasta 5/7 m. 5
00-272 Warszawa

Druk i oprawa
Toruńskie Zakłady Graficzne
„Zapolex" Sp. z o.o.
ul. gen. Sowińskiego 2/4
87-100 Toruń

Wyłączny dystrybutor
Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. sp. j.
uł. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
www.ołesiejuk.pl

ISBN 978-83-7700-286-5
Warszawa 2017

SPIS TREŚCI

Od autora 11

Rozdział 1.
Romantyk z Zamościa 14

Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie 17
Młodzieńcza miłość 20
Kraków 22
Pomarańcze i mandarynki 25
Anawa 26
W drodze na szczyt 28
Sława 31
Opole 32
Danuta 35
Zmęczenie materiału 38
Sceny z życia rodzinnego 42
Łukasz 45
WIEM 47
Szalona lokomotywa 49
Malarz Marek Grechuta 52
Kaprysy artysty 55
Człowiek instytucja 59
Cyklofrenia 60

Do końca wierny sobie 63

Rozdział 2.
Życie i śmierć króla polskiego bluesa 66

Samotność w tłumie 69
Wolny człowiek z Tychów 72
Gola 78
Dżem 82
Najlepsza grupa koncertowa w kraju 85
Droga w dół 88
Ostatni lot 93
Życie po życiu 96

Rozdział 3.
Mistrz autokreacji 99

Dzień klęski 102
Lewinkopfowie z Łodzi 105
Dąbrowa Rzeczycka 108
Towarzysz Mieczysław Kosiński 110
Polityka, seks i fotografia 112
Roman i honoratka 116
Ameryka 120
Halina Poświatowska 124
Przyszłość należy do nas, towarzyszu 128
Mary Weir 130
Malowany ptak 133
Gorzki smak sukcesu 137

O własnych siłach 143
Kiki 148
Celebryta swoich czasów 151
Miłość à la Kosiński 154
Prezes PEN Clubu 156
Na szczycie 159
Ciemniejsza strona nocy 162
Śmierć w Cannes 166
„Village Voice" 167
Europejskie problemy 170
Ucieczka 172
Przemiana 175
Ostatni trójkąt 179
Ostateczne rozwiązanie 185
Pośmiertna awantura 189
Ostatni seans nienawiści 190

Rozdział 4.
Wzloty i upadki Romana Polańskiego 194

11 marca 1977, Los Angeles 197
Pechowe decyzje Mojżesza Lieblinga 200
Pod wawelem 203
Pierwsze fascynacje 206
Łódzka filmówka 209
Wojtek Frytkowski 213
Dwaj ludzie z szafą 216

Kalatówki 219
Basia Kwiatkowska 220
Nóż w wodzie 227
Przełom 230
Koniec romansu 233
Film, seks i LSD 236
Sharon 243
Dziecko Rosemary 246
Pęknięcia 250
Masakra przy Cielo Drive 254
Prawdziwa nienawiść 256
Impas 264
Powrót na szczyt 266
Nastassja 271
10 marca 1977, Los Angeles 274
Konsekwencje 277
Tess 286
Amadeusz 289
Klęska młodzieńczego marzenia 292
Emmanuelle 294
Najcenniejszy triumf 297
Zakończenie 301
Ważniejsza bibliografia 303

Od autora

Trzy lata temu napisałem książkę *Stracone pokolenie PRL*. Przedstawiłem w niej biografie kilku polskich artystów, którzy odchodząc z tego świata, pozostawili po sobie poczucie niedosytu i przekonanie, że ich ogromne talenty w pewnym stopniu zostały zmarnowane. Tym razem postanowiłem przybliżyć Czytelnikom sylwetki czterech twórców, którym dane było odnieść wielkie sukcesy i zaznać niezwykłej popularności, wykraczającej niekiedy daleko poza granice naszego kraju.

Bohaterami tej książki są czterej znani i podziwiani artyści: Marek Grechuta, Ryszard Riedel, Jerzy Kosiński i Roman Polański, a więc ludzie, których twórczość weszła do kanonu naszej kultury i których życie było tak bogate, że warto je przedstawić Czytelnikowi. Trzej pierwsi odeszli już z tego świata, ale czwarty – Roman Polański – nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, przy czym to, czego już zdążył dokonać, daje mu trwałe miejsce w panteonie polskich sław.

Jak zwykle w przypadku moich książek poszczególne rozdziały nie są typowymi biografiami. Skoncentrowałem się na sprawach najważniejszych z mojego punktu widzenia, pomijając te, które uznałem za mniej istotne. Starałem się wskazać przełomowe momenty życia moich bohaterów, wydarzenia, które

zaważyły na ich biografiach i karierach. I oczywiście, tak jak zwykle, najbardziej interesowało mnie życie prywatne, zawsze bowiem uważałem, że nie doceniamy tej sfery biografii naszych artystów i polityków. Tymczasem w przypadku bohaterów niniejszej książki to właśnie sprawy prywatne, niezwiązane bezpośrednio z działalnością artystyczną, miały decydujący wpływ na ich kariery.

Sławomir Koper

Rozdział 1
Romantyk z Zamościa

Przyczyną większości problemów **Marka Grechuty** *była nękająca go całe życie choroba afektywna dwubiegunowa. Cyklicznie pojawiały się u niego stany depresyjne, nad którymi nie panował. Artysta potrafił przerwać występ lub próbę bez słowa wyjaśnienia, co często i niesłusznie brano za objawy alkoholizmu.*

Z Markiem Grechutą w moim życiu to było jak z Beatlesami – wspominała aktorka Dorota Segda. – Odkryłam go dużo później niż jego rówieśnicy. Słuchałam go z niemałym przejęciem w liceum. Wszystkie piosenki mi się podobały. Zresztą i teraz nastolatki dostają od swoich chłopaków płyty CD właśnie z przebojami Grechuty. Bo jest to piosenkarz nieśmiertelny”**[1]**.

Trudno sobie wyobrazić polską muzykę ostatniego półwiecza bez Marka Grechuty. Ten wieczny romantyk i najpopularniejszy przedstawiciel nurtu piosenki poetyckiej na stałe zapisał się w dziejach polskiej kultury. Jego piosenki znali i znają praktycznie wszyscy, a większość odbiorców ma do nich bardzo osobisty stosunek. Sam artysta zapłacił jednak wysoką cenę za swoją popularność, a do tego przez niemal całe życie walczył z chorobą psychiczną (cyklofrenią), która stała się jedną z przyczyn jego śmierci.

KTOKOLWIEK WIDZIAŁ, KTOKOLWIEK WIE

1 Za: K. Kachel, *Wszystkie kobiety Marka Grechuty,* https://wiadomosci.wp.pl/wszystkie-kobiety-marka-grechuty-6037076642009729a?&ticaid=118a28

Być może pewien wpływ na przedwczesne odejście artysty miały również problemy rodzinne. W lipcu 1999 roku Polskę obiegła informacja o zaginięciu jego dwudziestosiedmioletniego syna Łukasza.

„[...]po raz pierwszy zniknął w lutym bieżącego roku – relacjonowała komisarz Jolanta Maciejewska, rzeczniczka Komendy Miejskiej Policji w Krakowie. - Wyszedł z domu pod pretekstem jakiegoś spotkania i na kilkanaście dni ślad po nim zaginął. Kiedy rodzina zgłosiła zaginięcie, po kilku dniach skontaktował się z nami policjant z Jeleniej Góry. Jadąc samochodem do pracy, rozpoznał Łukasza na ulicy i zaproponował mu podwiezienie. Kiedy chłopak wsiadł do samochodu, zawiózł go na komisariat. Powiadomiliśmy rodziców. Wiem, że pojechali do Jeleniej Góry, by go odebrać. Po kilku dniach znów jednak złożyli zawiadomienie o zaginięciu syna”**[2]**.

Łukasz był absolwentem krakowskiej ASP, uchodził za człowieka podobnie wrażliwego jak Marek. Uważano, że rodzice wychowywali go w złotej klatce, czego chłopak nie potrafił znieść. Niemal wszędzie postrzegano go wyłącznie jako „syna sławnego ojca”, co fatalnie odbijało się na jego psychice.

W marcu 1999 roku chłopak zniknął na dobre. Niczego ze sobą nie zabrał, po prostu wyszedł z domu i przepadł bez wieści. Zrozpaczony artysta i jego żona, Danuta, usiłowali go odnaleźć. Ich zabiegi były jednak bezskuteczne. Oboje podejrzewali, że Łukasz chciał się całkowicie odizolować od świata zewnętrznego.

---

2 Za: *Jak kamień w wodę*, „Dziennik Polski” 20.11.1999.

„[…] jest samotnikiem – przyznawał Grechuta. – Był zafascynowany pracą Alberta Chmielowskiego. Mówił, że postanowił żyć w ubóstwie. W ostatnim okresie, tuż przed zniknięciem, wiele spraw mu się nie układało. Miał kłopoty z dziewczyną i z pracą. Powtarzał, że chce się zastanowić nad własnym życiem, że musi sobie pewne sprawy przemyśleć”**[3]**.

W lipcu 1999 roku Danuta i Marek wystąpili w telewizyjnym programie *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie,* prosili syna o powrót. Podczas emisji ktoś zadzwonił do studia, podszywając się pod Łukasza i obiecując, że pojawi się w domu. Gdy rodzice po kilku dniach zorientowali się, że to był tylko niewybredny żart, ich rozpacz nie miała granic.

W tym czasie ich syn wędrował pieszo przez Europę. Podążał trasami pielgrzymek, był w hiszpańskim Santiago de Compostela, a wędrówkę zakończył na mszy papieskiej w Rzymie. Trwało to dwa lata, nie przyszło mu jednak do głowy, aby zadzwonić do domu i przekazać informację, że żyje. Potem tłumaczył się, że taką miał potrzebę ducha.

„Podróżowałem samotnie, jak tysiące wędrujących po świecie pielgrzymów – wyjaśniał już po śmierci ojca. – Szedłem na piechotę. Pokonałem dystans, jakiego ludzie zwykle nie pokonują. Miałem ogromną determinację do pielgrzymowania. […] Czasem, kiedy myśli się o Bogu, zapomina się nawet o bliskich. Ludziom w dzisiejszym świecie trudno jest zrozumieć tych, którzy patrzą na świat w inny sposób. Dzisiejszy świat inaczej funkcjonuje”**[4]**.

---

3 Za: *ibidem*.

4 Za: *Marek Grechuta we wspomnieniach syna*, „Gala” 42/2006.

Nie potrafił jednak logicznie wytłumaczyć, dlaczego milczał przez dwa lata. Trudno zrozumieć jego motywy, a prawdziwych przyczyn takiego postępowania zapewne nigdy nie poznamy: „Rzeczywistość zmusza czasem do tego, aby ją porzucić po to, by zrozumieć sens swego życia. Mówi się, że ci, którzy przeszli wędrówkę szlakiem Santiago de Compostela, doznają duchowej przemiany. Poza tym jest to fantastyczna podróż przez kraje, kulturę, historię sztuki, cywilizację. A to, że nie zadzwoniłem do domu, trudno prosto wytłumaczyć. Moje zachowanie może być odebrane jako dziwne, ale wtedy miałem taką potrzebę ducha”**[5]**.

Odezwał się dopiero z Rzymu, dokąd natychmiast poleciała jego matka. Pani Danuta do dzisiaj niespecjalnie chce rozmawiać na ten temat, natomiast Marek chyba już nigdy nie doszedł do siebie po zniknięciu jedynaka. Choroba artysty nasiliła się, coraz bardziej tracił kontakt z rzeczywistością. Nie zrezygnował jednak z występów i nagrań, był bowiem typem człowieka, który pracuje do końca.

MŁODZIEŃCZA MIŁOŚĆ

Grechuta pochodził z Zamościa, miasta nie bez powodu nazywanego Padwą Północy. Rodzice się rozwiedli, gdy był jeszcze chłopcem. Przeżył to bardzo ciężko i od tej pory odczuwał też potrzebę ciągłej akceptacji. Dorastał w otoczeniu kobiet: matki, siostry, babki i ciotki, co wzmagało jego wrodzoną wrażliwość. Już w czasach licealnych marzył o wielkiej miłości i przez kilka lat uważał, że na

---

5 Za: *ibidem*.

odpowiednią partnerkę trafił w rodzinnym mieście. Podczas nauki w szkole średniej poznał młodszą o dwa lata Halinę Marmurowską i zakochał się w niej bez pamięci. Halina uchodziła za niezwykłe urodziwą dziewczynę, „zawsze elegancką, stonowaną, budzącą respekt", a razem tworzyli „zjawiskową parę – jasnowłosi, piękni, zawsze przytuleni i wpatrzeni w siebie"**[6]**.

„To było wszystko urocze, niewinne – wspominała pani Halina. – Miał we mnie partnerkę, przyjaciółkę. Nie zainteresowałaby go płocha panienka. Lubił grać ze mną na cztery ręce albo on na fortepianie, ja na skrzypcach. Cieszyły nas spacery, brydż, pływanie kajakiem, wycieczki"**[7]**.

Łączyły ich wspólne zainteresowania i sport, bardzo też lubili razem tańczyć. Związek ten nie miał jednak przed sobą przyszłości, bo Marek rozpoczął studia architektoniczne w Krakowie, natomiast Halina wybrała medycynę w Lublinie. Pisali do siebie listy, on czasami tytułował ją „żoną", odwiedzali się wzajemnie. Jednak odległość nie sprzyjała uczuciom, tym bardziej że ona potrzebowała innego rodzaju partnera. W Zamościu do dzisiaj opowiadają, że bardziej od romantyków imponowali jej silni mężczyźni. Latem 1967 roku podczas obozu sportowego w Augustowie poznała studenta medycyny, Krzysztofa Michałowskiego. Po pewnym czasie zdecydowała się na rozstanie z Markiem, co dla niego było prawdziwą klęską życiową.

---

6 Za: *Kto złamał serce Markowi Grechucie,* http://pary-populada.pl/news-kto-zlamal-serce-markowi-grechucie,nId,1048684

7 Za: M. Sztokfisz, *Chwile, których nie znamy. Opowieść o Marku Grechucie*, Warszawa 2013, s. 73.

„Po naszym rozstaniu – wspominała Halina – rozwiesił w domu na sznurach od bielizny moje zdjęcia. Zajmowały pół pokoju. Oniemiałam. Zrobiło mi się głupio i przykro”**[8]**.

To właśnie wtedy po raz pierwszy ujawniła się u Grechuty choroba afektywna dwubiegunowa, która miała prześladować go do końca życia. Trafił do szpitala, a Halina dowiedziała się o tym z listu od niego. Bardzo mu współczuła, ale nie zmieniła swojej decyzji. Wyszła za mąż za Krzysztofa, dochowali się trzech synów i zawsze uchodzili za wzorowe małżeństwo. Halina Marmurowska-Michałowska jest cenionym psychiatrą, ma tytuł profesorski, ale w rodzinnym Zamościu nazywana jest „Halinką M.” nie wybaczono jej bowiem faktu, że porzuciła kiedyś Grechutę…

Marek doszedł do siebie, niebawem w jego życiu pojawiła się nowa dziewczyna. Nie zapomniał jednak o Halinie i czasami pisywał do niej listy – zawsze na adres kliniki, w której pracowała. Ale jakiś uraz musiał w nim pozostać, gdyż niechętnie koncertował w Zamościu. Przez całą swoją karierę wystąpił tam zaledwie siedem razy…

KRAKÓW

Grechuta od najmłodszych lat przejawiał ogromne zdolności artystyczne. Brał lekcje gry na pianinie, miał duży talent do deklamacji. W szkole był lokalną gwiazdą, żadna akademia nie mogła się obyć bez jego udziału. Pociągało go aktorstwo, jednak najbardziej interesował się muzyką.

---

8 Za: *ibidem, s.* 74.

„Już wtedy grałem swoją muzykę! – wspominał po latach. – Improwizowałem, szalałem na fortepianie. To były pierwsze chwile wolności w muzyce, w komponowaniu, sztuce. To był wstęp do tego, co miało stać się później”**[9]**.

Miał też zdolności plastyczne, wobec czego rodzina nakłoniła go do egzaminów na Wydział Architektury Politechniki Krakowskiej. Miało mu to zapewnić poważny zawód, z którego mógłby w przyszłości się utrzymywać. Po latach przyznawał jednak, że na wybór uczelni miał także wpływ brak wiary we własny talent.

„Nie grałem tak dobrze, by zdecydować się na akademię muzyczną – mówił w rozmowie z Katarzyną Litwińczuk-Wojtaś – a moja recytacja nie była na tyle doskonała, bym dostał się do szkoły aktorskiej. Wybrałem więc architekturę”**[10]**.

Wydział ten zawsze przyciągał indywidualności, przy czym wielu studentów architektury w przyszłości miało zdobyć sławę w zupełnie innych dziedzinach. W Krakowie kierunek ten studiowali: Andrzej Bachleda (narciarz alpejski) i Wojciech Zabłocki (szermierz), Stefan Szlachtycz i Janusz Majewski (reżyserzy), a także Ewa Demarczyk, Andrzej Mleczko i Sławomir Mrożek. Grechuta nie był więc wyjątkiem.

„Studiowanie architektury było wielkim szczęściem – wspominał Jan Kanty Pawluśkiewicz. – W zapapranym dziadostwie lat 60. dawało nadzieję na kontakt z cywilizacją śródziemnomorską,

---

9 Za: W. Majewski, *Marek Grechuta. Portret artysty,* Kraków 2006, s. 24.

10 *Nie byłem maminsynkiem,* „Gazeta Polska” 3.04.2002.

pozwalało czuć się jej częścią. To dobre studia dla artystycznych dusz”**[11]**.

Choć początkowo nauka całkowicie go pochłonęła, to starał się na bieżąco śledzić wydarzenia kulturalne. Najbardziej interesowała go muzyka, a dzięki studenckiemu radiowęzłowi miał okazję zapoznać się z najnowszymi trendami.

„Pamiętam – opowiadał po latach – że kiedy pierwszy raz usłyszałem Czesława Niemena, autentycznie zaniemówiłem. Ekspresja, z jaką śpiewał, specyficzna barwa głosu, były porywające. W trakcie pracy nad jednym z projektów architektonicznych, także z radia, po raz pierwszy usłyszałem zespół The Beatles. Pomyślałem sobie, co ja właściwie robię przy desce kreślarskiej”**[12]**.

Studiując w Krakowie, nie mógł nie trafić do Piwnicy pod Baranami. Było to najważniejsze miejsce na kulturalnej mapie Krakowa, a zapoznanie się z najnowszym programem tego kabaretu uważano za obowiązek każdego inteligentnego człowieka. Z tego też powodu na sali zwykle panował taki ścisk, że nawet zapraszani goście zagraniczni nie zawsze mogli wejść do środka i czasami próbowali dostać się przez niewielkie okienko wprost na scenę…

Piwnica istotnie była ewenementem na skalę ogólnopolską, z którym mógł rywalizować chyba tylko gdański Bim-Bom. W jednym miejscu i w jednym czasie spotkała się grupa niezwykle uzdolnionych twórców, którzy znaleźli właściwą przestrzeń dla siebie. A wspólna praca w kabarecie

---

11 J.K. Pawluśkiewicz, *Jan Kanty Osobny,* Kraków 2013, s. 102.

12 Za: W. Majewski, *op. cit., s.* 30.

często okazywała się najlepszym katalizatorem ich rozwoju.

„Nigdy nie zapomnę wspaniałych monologów Dymnego i Litwina oraz rewelacyjnego występu Ewy Demarczyk – kontynuował Grechuta. – Cała pierwsza ekipa artystyczna stanowiła fantastyczny kabaret. Wtedy przemknęło mi już przez myśl, żeby zająć się sztuką”**[13]**.

Jako student drugiego roku trafił na recital Ewy Demarczyk w Teatrze Kameralnym, co miało się okazać jednym z najważniejszych wydarzeń w jego studenckim życiu. Nigdy nie zapomniał tego koncertu, od tamtej chwili coraz częściej miał się zastanawiać nad dalszą drogą życiową.

„Występ Ewy stanowił genialną całość. Pamiętam, że wtopiłem się w krzesło i otrzeźwiałem dopiero po koncercie. Bardzo spodobały mi się kompozycje Zygmunta Koniecznego. Ewa śpiewała wspaniale, koncert mną wstrząsnął”**[14]**.

Nie przypuszczał jeszcze wówczas, że za kilka lat sam stanie na scenie Piwnicy pod Baranami, a w przyszłości przyćmi sławą członków jej zespołu…

POMARAŃCZE I MANDARYNKI

„Kraków w latach 60. kipiał artystyczną energią – relacjonował Jan Kanty Pawluśkiewicz. – Kantor przywoził z Paryża plastyczne nowości, w klubach grali świetni muzycy jazzowi. Piwnica pod Baranami błyszczała Ewą Demarczyk i Zygmuntem Koniecznym. Z kolegami z architektury stworzyliśmy

---

13 Za: *ibidem, s.* 32.

14 Za: *ibidem*.

chaotyczny, nieuporządkowany kabaret Anawa (z języka francuskiego »iść do przodu«). Nagle wśród nas, facetów skłonnych do wygłupów, nieustających żartów, pojawił się Marek, który zaskoczył nas swoją powagą. Był bardzo nieśmiały, my też byliśmy nieśmiali, a wiadomo, że tacy ludzie, jeśli już coś robią, to z wielkim rumorem”**[15]**.

Pawluśkiewicz był starszy od Grechuty o trzy lata i również studiował architekturę. Urodził się w Nowym Targu i zawsze podkreślał, że to, iż obaj z Markiem „pochodzili z terenu”, znacznie ułatwiało im porozumienie.

Jednocześnie dużo ich też dzieliło – Pawluśkiewicz miał kompletnie inne podejście do studiów i zupełnie nie przypominał pod tym względem sumiennego Grechuty. Studia zresztą nigdy nie były dla niego celem samym w sobie.

„[…] niejednokrotnie było tak – wspominał – że nawet sekretarka z dziekanatu nie wiedziała, na którym jestem roku. […] Z historii architektury byłem jeszcze na trzecim, z wojska – po czwartym… Pamiętam, że Marek Grechuta był długo dwa lata za mną, a piąty rok robiliśmy razem…”**[16]**.

Miał też znacznie bogatsze doświadczenie muzyczne, bo od kilku lat grał w zespole jazzowym. I chociaż jego grupa z reguły przygrywała do tańca na imprezach studenckich, to miała dość ambitny repertuar, a Jan zaczynał już wtedy komponować. Uznał, że nie ma talentu do improwizacji, natomiast znacznie lepiej „wychodziło mu układanie muzyki”. Grechutę poznał w klubie Pod Przewiązką w

---

15 Za: K. Janowska, *Niedotykalny,* „Polityka” 42/2006.

16 J.K. Pawluśkiewicz, *op. cit,* s. 103.

podziemiach akademika przy ulicy Bydgoskiej, gdzie obaj mieszkali.

„Stało tam pianino, na którym ćwiczyłem standardy jazzowe i różne improwizacje, zamiast chodzić na zajęcia, godzinami zajmowałem pianino. I kiedyś przyszedł młody student, który też chciał poćwiczyć. To był Marek Grechuta”**[17]**.

Pierwsze spotkanie było nad wyraz owocne, obaj szybko znaleźli wspólny język. Marek zagrał Janowi skomponowane przez siebie *Pomarańcze i mandarynki,* a Jan z miejsca zaczął opracowywać aranżację. Niebawem powstała ich pierwsza piosenka.

ANAWA

Nie myśleli o karierze muzyków estradowych. Ich zainteresowania kierowały się w stronę kabaretu, co było naturalną reakcją na sukces Piwnicy pod Baranami. Młodzi zapaleńcy mieli jednak własną wizję występów scenicznych. Przyjęli nazwę Anawa, pochodzącą od francuskiego zwrotu *en avant* (naprzód), co trafnie oddawało ich stosunek do twórczości artystycznej.

„Prób mieliśmy mało – komentował Pawluśkiewicz – za to chęć występowania ogromną. Wszystko zgodnie z hasłem: »Najsamprzód do przodu, a potem zobaczymy«”**[18]**.

Członkowie zespołu określali swoją koncepcję jako „sztukę jarmarczno-cyrkową, z przerwami na piosenkę liryczną”. Premiera pierwszego programu

---

17 *Ibidem.*

18 *Ibidem,* s. 129.

odbyła się w jednym z krakowskich domów kultury i przebiegła w dość niecodzienny sposób.

„Marek otwierał program piosenką *Tango Anawa*. Grający w niej na skrzypcach student AGH miał trzymać nutę A […] przez pierwszą część, ale tak go spięło, że został przy tym dźwięku do końca piosenki. Wyszedł za kulisy, powiedział: »Kurwa, już nigdy więcej…«. I faktycznie – więcej nie wystąpił”**[19]**.

Okazało się jednak, że osiągnął nieprawdopodobny efekt *vibrato,* gdyż drżał nie tylko jego palec na strunie, ale trzęsła się cała ręka, a „z nią smyczek i on cały”. Gdy po pewnym czasie do grupy dołączył Zbigniew Wodecki, to pomimo swoich umiejętności „długo się męczył, by uzyskać taki niezwykły dźwięk, który okazał się idealny do tego numeru”.

Obecnie trudno sobie wyobrazić, jak wyglądały pierwsze przedstawienia Anawy. Nietypowa konferansjerka w wykonaniu współlokatora Pawluśkiewicza z akademika, Tadeusza Kalinowskiego, monolog Hamleta połączony z żonglowaniem czaszką, zwierzęta powycinane z papieru i ciągnięte na sznurkach, teksty z kalendarzy z okresu *belle époque,* zwariowane improwizacje na wiolonczelę. A do tego liryczne piosenki Grechuty, chociaż zdarzało mu się też wykonywać żywiołowy pastisz uwielbianego Czesława Niemena. Na melodię *Czy mnie jeszcze pamiętasz?* śpiewał tekst zaczynający się od słów: „czemuś taka wymięta”…

Wydaje się, że podczas prezentacji pierwszego programu twórcy bawili się znacznie lepiej niż publiczność, chociaż już wtedy Grechuta przyciągał

---

19 *Ibidem,* s. 130.

uwagę dziewczyn. To było jednak zbyt mało, więc zdarzały się bardzo negatywne reakcje organizatorów: „Po występie w Klubie Inteligencji Technicznej AGH – wspominał Pawluśkiewicz – pani kierowniczka zakomunikowała nam, że nie tylko nie otrzymamy obiecanych pieniędzy, ale nie dostaniemy żadnych, bo ten nasz program »nie dorasta do poziomu klubu inteligencji technicznej«…”**[20]**.

W DRODZE NA SZCZYT

Członkowie Anawy nie zamierzali jednak rezygnować i udało im się znaleźć własną siedzibę. Było nią niewielkie pomieszczenie w domu studenckim przy ulicy Piastowskiej, pierwotnie przeznaczone na magazyn. Znieśli porzucone deski z pobliskiej budowy i dzięki temu je urządzili. A gdy pod sufitem podwiesili tyczki bambusowe, do ich lokalu przylgnęła nazwa Bambuko.

„Dobry wieczór państwu – zapowiadał Tadeusz Kalinowski – starą galicyjską piosenką wita państwa zespół kabaretowy z Krakowa Anawa. […] Naszym patronem w Krakowie jest niejaki Bambuko Józef, który był wielkim wojownikiem o czystość moralną Skalnego Podhala. Jemu to pewnego razu Cyganka Roza podała usta u zdroju i z tego związku narodził się niejaki Marek Grechuta, który zaśpiewa teraz przepiękne *Tango Anawa* […]”**[21]**.

Przedstawienia w Bambuko wyglądały podobnie jak ta zapowiedź, czyli jak jeden wielki happening. Zbigniew Wodecki nawet po latach nie potrafił ukryć fascynacji tym, że brał w nich udział:

---

20 *Ibidem*, s. 139.

21 Za: W. Majewski, *op. cit.*, s. 35.

„Bambuko to przefantastyczny czas, salka na sześćdziesiąt osób, a wchodziło sto. I wszyscy palili. […] To był zwariowany kabaret; koledzy w prześcieradłach wygłupiali się, wymyślając jakieś karkołomne scenki, absurdalne dialogi. Było jak w *Tangu Anawa* – »teatr to dziwny, gdzie sens, gdzie treść czort jeden zna…« – śmiesznie i zabawnie. Janek śpiewał dawne tango *Inez,* rozrywając na sobie koszulę…”**[22]**.

Skład zespołu ulegał częstym zmianom, a kabaret powoli zyskiwał na popularności. Zapraszano też artystów z Piwnicy pod Baranami, a jeden z nich, Andrzej Warchał, chciał nawet dołączyć do Anawy. Członkowie zespołu uznali jednak, że transfery od konkurencji nie są im potrzebne. „[…] zwarliśmy szeregi i go nie wpuściliśmy – tłumaczył Pawluśkiewicz. – Bo on chciał wejść z dwoma studentkami ASP, nic to, że nieznanymi, ale bardzo przykrej urody. Bardzo przykrej. Podobno utalentowanymi, lecz na weryfikację ich talentu zabrakło nam cierpliwości”**[23]**.

W składzie kabaretu pojawił się natomiast student architektury, gitarzysta, Tadeusz Dziedzic. Sukcesem zakończyły się też przeprowadzone przez Marka poszukiwania wśród uczniów liceów muzycznych – dzięki nim do zespołu dołączyli skrzypek Zbigniew Wodecki i wiolonczelistka Ania Wojtowicz.

„Mieliśmy akurat próbę w sali perkusyjnej – wspominał Wodecki. – Przyszedł student w płaszczyku, gdy paliliśmy papieroska przy piecu na

---

22 Z. Wodecki, *Pszczoła, Bach i* skrzypce. Warszawa 2011, s. 110–111.

23 J.K. Pawluśkiewicz, *op. cit.*, s. 135.

dole, i powiedział, że szuka skrzypka i wiolonczelisty. [...] I żeby oderwać się od trudnego Bacha, poszliśmy [z Anią] do kabaretu studenckiego. To była Anawa”**[24]**.

Wodecki przeszedł później do zespołu towarzyszącego Ewie Demarczyk, natomiast Ania Wójtowicz związała się z Anawą na dłużej. Wyszła za mąż za jednego z braci Jana Kantego, a jej niezwykła uroda spowodowała, że stała się tytułową bohaterką piosenki Skaldów *Prześliczna wiolonczelistka*.

W repertuarze kabaretu pojawiało się coraz więcej aranżowanych przez Pawluśkiewicza piosenek w wykonaniu Grechuty. Było to zupełnie nowe zjawisko na polskiej scenie muzycznej – poetyckie teksty wykonywane z „barokowo-jazzowym” zestawem instrumentów. Wprawdzie krytycy narzekali, że taki repertuar jest bardzo odległy od popularnego bigbitu, ale słuchaczom to nie przeszkadzało. Pawluśkiewicz nie zawsze był zachwycony interpretacjami Grechuty i podobno namawiał go nawet na lekcje śpiewu. Inni członkowie grupy też czasem grymasili, twierdząc, że Marek powinien iść „na zajęcia z choreografii, bo teraz króluje bigbit, trzeba się jakoś ruszać”. Grechuta był jednak uparty, a jego oszczędne zachowanie sceniczne działało wręcz hipnotyzujące na dziewczyny.

„Ja tam nie wiem, co one w nim widziały! – nie mógł się nadziwić kompozytor Zygmunt Konieczny. –

---

24 Za: *Zbigniew Wodecki o muzycznej drodze. Rozmawia Jerzy Kisielewski*, https://www.polskieradio.pl/8/3664/Artykul/1480636,Wodecki-Grechute-poznal-przez-Bacha

Przecież on taki wycofany, nie był duszą towarzystwa, nie bywał na bankietach. No sam nie wiem…”**[25]**.

Podobno żaden facet nie miał szans, aby wcisnąć się do pierwszych dwóch rzędów okupowanych przez wierne wielbicielki. W tej sytuacji pozostali członkowie Anawy zrozumieli, kto jest największą gwiazdą ich grupy.

„[…] wychodził na scenę, nie ruszał się prawie w ogóle – komentował Pawluśkiewicz. – Nieruchome miał ręce, nogi, nie wykonywał żadnych gestów, a wszystkie się w niego wpatrywały. Na początku to jeszcze się łudziliśmy, że one dla kogo innego przychodzą, ale szybko pozbyliśmy się złudzeń”**[26]**.

SŁAWA

Kolegom z zespołu zdarzało się na Marka narzekać, jednak znaleźli się wybitni artyści, którzy przepowiadali mu wielką przyszłość. Ewa Demarczyk, jedna z największych ówczesnych gwiazd polskiej piosenki, z miejsca dostrzegła w nim ogromny talent.

„[…] pojawiła się na przedstawieniu – wspominał Grechuta. – Ze sceny dojrzałem w trzecim rzędzie jej postać – czarne oczy, czarne włosy… Śpiewałem z ogromną tremą, a po koncercie podeszła do mnie i powiedziała: »Bardzo mi się podoba to, co pan robi, proszę nie zmieniać stylu i dalej iść swą drogą«. To była dla mnie wielka zachęta”**[27]**.

W 1967 roku Marek wystartował w eliminacjach do Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenkarzy Studenckich, ale jego występ nie rzucił

---

25 Za: K. Kachel, *op. cit.*

26 Za: *ibidem*.

27 Za: W. Majewski, op. *cit.,* 36.

jurorów na kolana. Z trudem przebrnął przez eliminacje wewnętrzne na Politechnice (zajął drugie miejsce), a jeszcze większe problemy miał podczas regionalnego etapu rywalizacji. Preferowano wówczas studentów szkół aktorskich, a wyjątkowo oszczędna interpretacja Grechuty nie zrobiła na nikim większego wrażenia. O jego losach zadecydowała Ewa Demarczyk, która przekonała jury, że Grechuta zasługuje na występ w finale.

Koncert galowy odbył się w październiku 1967 roku w sali Filharmonii Krakowskiej. Transmitowała go telewizja, a że były to czasy jednego jedynego programu, to Marka zobaczyła cała Polska. Wykonał trzy piosenki: *Serce, Tango Anawa* oraz *Pomarańcze i mandarynki*. To w zupełności wystarczyło, by na jego punkcie oszalały wszystkie słuchaczki i to bez względu na ich wiek.

„Pamiętam ten jego występ i zachwyt mojej babci – relacjonowała Anna Szałapak. – Była Markiem oczarowana. Mówiła o nim: »anielski cherubinek z aureolą blond loków wokół głowy«. Cała Polska oszalała, gdy śpiewał: »będziesz moją panią« i »dam ci serce szczerozłote, dam konika cukrowego«”**[28]**.

Grechuta zajął drugie miejsce (pierwszą nagrodę zdobyła Maryla Rodowicz), ale *Serce* zdobyło Grand Prix. Marek z dnia na dzień stał się gwiazdą, a to był dopiero początek jego drogi na szczyt. Laureatów przeglądu studenckiego zapraszano bowiem na festiwal w Opolu, co oznaczało, że drzwi do wielkiej kariery stoją przed nim otworem…

---

28 Za: K. Kachel, op. *cit.*

OPOLE

Grechuta chyba nie był przygotowany na tak wielki sukces. Nigdy nie lubił zamieszania i szumu wokół swojej osoby, chciał być artystą, a nie celebrytą. Tymczasem jego popularność rosła w zawrotnym tempie.

„Plotkowało się o Grechucie albo o mistrzach jazdy figurowej – wspominała aktorka Iwona Bielska. – Spełniał wszystkie warunki ideału dla lekko egzaltowanych dziewcząt. Był przystojny, inteligentny, poetycki, tajemniczy. Na scenie zawsze z takim fascynującym dystansem. […] Jak słyszałyśmy: »będziesz moją panią«, no to która nie chciałaby nią być? Wszystkie o tym marzyłyśmy”**[29]**.

Dodatkowym problemem było rozstanie z Haliną. Prawdopodobnie jeszcze sylwestra 1967 roku spędzili razem**[30]**., ale później przyszły dla Marka ciężkie dni – załamanie nerwowe, pobyt w szpitalu, zwątpienie w siebie. Ostatecznie zwyciężył w nim profesjonalista i pod koniec czerwca 1968 roku wraz zespołem Anawa pojawił się w Opolu. Mieli zaprezentować *Serce,* gdyż uznali, że „była to niezła piosenka, dobrze skomponowana, zaaranżowana i miała znamiona przeboju”.

„Przed występem w Opolu przez pięć dni po dwie, trzy godziny na okrągło ćwiczyliśmy *Serce* – opowiadał Pawluśkiewicz – każdy detal był wyćwiczony tak, że całość brzmiała perfekcyjnie”**[31].**

---

29 Za: *ibidem*.

30 M. Sztokfisz, op. *cit.,* s. 88.

31 J.K. Pawluśkiewicz, op. *cit.,* s. 144.

Po pierwszym występie zakwalifikowano ich do koncertu *Mikrofon i Ekran,* co członków zespołu wprawiło w stan nerwowej gorączki. Sytuację pogarszał fakt, że ze względu na rozmiary sceny nie słyszeli się wzajemnie, a zdarzyło im się to po raz pierwszy w karierze.

„[…] lekko nie było – kontynuował Pawluśkiewicz. – Altowiolista z nerwów zjadł jajecznicę z dwudziestu pięciu jajek, Tadzio Dziedzic po występie w amfiteatrze był tak rozdygotany, że wracając na bani, próbował roztrzaskać o krawężnik swoją gitarę Jolana, powtarzając: »Kurwa, dość tego, nigdy więcej w życiu«. Ale nie roztrzaskał, bo to była porządna czechosłowacka decha”**[32].**

Było jednak lepiej, niż muzycy się spodziewali – Grechuta dostał nagrodę dziennikarzy, posypały się też oferty koncertów. Zespół nie zaniedbywał również swojej działalności kabaretowej i w tym samym roku zajął drugie miejsce na Festiwalu Artystycznym Młodzieży Akademickiej (FAMA) w Świnoujściu (Marek dołożył do tego pierwszą nagrodę jako piosenkarz), zwyciężył też na cieszyńskim przeglądzie zespołów kabaretowych. Jednak prawdziwy sukces nadszedł podczas kolejnego opolskiego festiwalu, na którym Grechuta otrzymał (wraz z zespołem) nagrodę Telewizji Polskiej za piosenkę *Wesele*. W ciągu kolejnych festiwalowych dni grupa kilka razy pojawiała się na scenie i zawsze była gorąco witana.

Triumfy estradowe sprawiły, że liderzy Anawy zdecydowali się nie kończyć studiów. Według ówczesnych przepisów po zdobyciu dyplomów musieliby przez trzy lata pracować w wyuczonym zawodzie, a do tego w miejscu wyznaczonym przez

---

32 *Ibidem,* s. 143–144.

władze. W praktyce mogło to oznaczać przeniesienie na drugi koniec kraju, zresztą praca na etacie uniemożliwiałaby regularne próby i koncerty. Gdy po latach te przepisy uchylono, Grechuta zmobilizował się i w 1976 roku ostatecznie ukończył studia**[33].** Tematem jego pracy dyplomowej była „adaptacja kamieniczki w rynku zamojskim na dom muzyki", a otwarta obrona magisterium wzbudziła duże zainteresowanie. Przyszło na nią wielu widzów, którzy chcieli zobaczyć, jak słynny Grechuta zdobywa uprawnienia architekta.

Łatwiej poszło z wojskiem, bo ze względu na stan zdrowia Marek miał kategorię „D", co oznaczało, że w warunkach pokoju jest niezdolny do pełnienia służby wojskowej. Ominęły go zatem różnego rodzaju problemy związane z „zaszczytnym obowiązkiem", w tym intensywne szkolenie ideologiczne i praktyka w jednostce wojskowej. W efekcie swoją karierę militarną zakończył na stopniu szeregowego.

Jan Kanty Pawluśkiewicz również planował poświęcić swoją pracę dyplomową miastu rodzinnemu, nie miał jednak w sobie tyle determinacji co kolega. Wprawdzie postanowił zająć się pewną karczmą w Nowym Targu, ale zanim przystąpił do pracy, budynek się zawalił, co Jan uznał „za rozstrzygający" dowód na to, że dyplom architekta nie był mu pisany…

DANUTA

„Marek nie był typem faceta, który jest w stanie poderwać dziewczynę i iść z nią do łóżka – wspominał Zbigniew Wodecki. – […] Był człowiekiem

wstydliwym, nieśmiałym. Rumienił się. Znałem go w jego najlepszym okresie. To romantyk, a nie facet, który czerpie z życia pełnymi garściami. Rumiany blondynek, uroczy, błękitnooki cherubinek, wrażliwiec…”**[34].**

Chociaż stał się idolem dziewczyn i gdyby chciał, to mógłby przebierać jak w ulęgałkach – nigdy nie był tym zainteresowany. Ciężko przeżył zawód miłosny z Haliną, ale jak przystało na romantyka, nigdy nie wymazał jej z pamięci. Skutecznie natomiast zrobiły to matka i późniejsza żona artysty, w których świecie panna Marmurowska nigdy nie istniała. Ale czy można się temu dziwić?

„Moja przyjaciółka Urszula zaprosiła mnie na sylwestra – wspominała Danuta Grechuta. – […] To był dokładnie 31 grudnia 1967 roku. Impreza odbywała się w mieszkaniu przy ulicy Karmelickiej w Krakowie. Marek pojawił się z panią, a ja z panem. […] Tamto spotkanie niczego by nie przesądziło, gdyby nie sytuacja, dzięki której okazało się, że mieszkamy na jednym osiedlu studenckim. […] Nad ranem każde z nas poszło wraz z partnerem w swoją stronę. Bodaj Marek wyszedł z dziewczyną wcześniej. Zaś mój towarzysz wyraźnie nadużył i musiałam odholować go do mieszkania, zlokalizowanego obok mojego akademika”**[35].**

Podczas całej imprezy raczej nie zamienili ze sobą słowa, co było bardzo podobne do Grechuty, tym bardziej że przyszedł tam z inną dziewczyną. Rankiem przypadkowo spotkał Danutę na osiedlu studenckim i wówczas zaczęli rozmowę. Marek chciał

---

34 Za: M. Sztofkisz, *op. cit.,* s. 95.

35 D. Grechuta, J. Baran, *Marek. Marek Grechuta we wspomnieniach żony Danuty*, Kraków 2011, s. 6.

się dowiedzieć, gdzie dziewczyna mieszka, na co ona nie udzieliła mu odpowiedzi.

Czy była to prawda? Niewykluczone. Zapewne Marek po imprezie odprowadził Halinę do pociągu, którym wracała do Lublina lub Zamościa, a gdy później spotkał Danutę, a ona się do niego uśmiechnęła, podjął rozmowę.

Po feriach zaczął jej szukać, ustalił numer jej pokoju i pewnego dnia pojawił się u niej.

„Przywitałam Marka uśmiechem – kontynuowała pani Danuta – on zaś zastygł w drzwiach, bo akurat w radiowęźle studenckim leciała śpiewana przez niego piosenka, czyli *Serce*. [...] Albowiem podówczas jeszcze publikacje Markowych pieśni robiły na artyście Grechucie wrażenie. [...] Marek chwilę posłuchał piosenki, po czym usiadł i zaczął nawijać. Urządził mały, prywatny występ kabaretowy”**[36].**

Zaprosił Danutę na wieczór do Bambuko, a ona miała wrażenie, że wtedy śpiewał tylko dla niej. Czasami się spotykali, a potem Marek wyjechał do Zamościa, bo „chyba przeżywał kryzys”. Prawdopodobnie chodziło o to załamanie nerwowe, które przeszedł po rozstaniu z Haliną.

Regularnie zaczęli spotykać się w maju 1968 roku, a w czerwcu już jako para pojechali na festiwal opolski. Dwa lata później się pobrali.

Danuta Bednarczyk pochodziła z Oświęcimia i była o kilkanaście miesięcy starsza od Marka. Studiowała w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, chciała zostać nauczycielką. Poznanie Grechuty całkowicie odmieniło te plany, gdyż artysta dość szybko ją poinformował, że „to jest sprawa

---

36 *Ibidem,* s. 8-9.

szybciutko do realizacji i zakontraktowania". Nie było formalnych, romantycznych oświadczyn – w życiu osobistym Grechuta najwyraźniej nie hołdował poetyckim schematom.

Koniec studiów oznaczał zarazem koniec zakwaterowania w akademikach, toteż Danuta i Marek wspólnie wynajęli mieszkanie. Natomiast o przyspieszeniu sformalizowania ich związku zadecydowała socjalistyczna ekonomia.

„[...] po kolejnej nagrodzie w Opolu – tłumaczyła Danuta – tym razem za *Wesele,* Rada Miasta Krakowa pozwoliła swemu coraz sławniejszemu mieszkańcowi wykupić bez kolejki [...] mieszkanie w spółdzielni. Jednakże żeby je dostać, artysta Grechuta musiał być żonaty! Wymóg związany był z powierzchnią lokalu. [...] Bez małżonki pan Grechuta też dostałby mieszkanie, ale już zupełnie maleńkie"**[37].**

Marek potrafił myśleć bardzo pragmatycznie, toteż poinformował Danutę, że ze względów lokalowych powinni się pobrać. Nie brał pod uwagę możliwości odmowy i od razu przystąpił do załatwiania formalności. Ślub odbył się w lipcu 1970 roku, a rodziny obojga dowiedziały się o tym dopiero po fakcie.

ZMĘCZENIE MATERIAŁU

Grechuta odnosił sukcesy jako piosenkarz, wciąż jednak działał w kabarecie Anawa. Wprawdzie zespół został wyrzucony z Bambuko, gdyż „władze akademika doszły do wniosku, że z ich powodu odbywają się tam przesadne brewerie", jednak szybko

---

37 *Ibidem,* s. 22-23.

znalazł nową siedzibę. Był nim Teatr 38 przy Rynku Głównym, gdzie kabaret występował przez kilka miesięcy. Ostatecznie także i z tej siedziby ich usunięto, jako że „próby odbywały się nieustająco", a do tego członkowie Anawy „za bardzo zaczęli się panoszyć". Przez pewien czas działali, krążąc po klubach studenckich na terenie kraju, ale to były już ostatnie chwile istnienia kabaretu. Jego członkowie kończyli studia i rozjeżdżali się po Polsce, a Grechutę i Pawluśkiewicza coraz bardziej wciągała kariera muzyczna. Zmieniał się również skład grupy akompaniującej Markowi – do zespołu Ewy Demarczyk odszedł Zbigniew Wodecki, natomiast pojawili się nowi muzycy – gitarzysta Marek Jackowski (późniejszy lider Maanamu) oraz basista i flecista Jacek Ostaszewski (mający za sobą współpracę z Krzysztofem Komedą). W tym składzie nagrano dwie płyty: *Anawa* i *Korowód*.

„Wyglądaliśmy też oryginalnie – wspominał Pawluśkiewicz. – Zbyszek Paleta [skrzypek – S.K.], wykwintny światowiec, zawsze z muszką i w znakomicie uszytym przez ojca – świetnego krawca – fraku. Zjawiskowa wiolonczelistka Ania w pięknej sukni, Marek Grechuta również wytworny, romantyczny, w świetnie skrojonym na miarę surducie. Długowłosy Marek Jackowski był za to w podkoszulku i spodniach wyraźnie zagranicznych (bez gatek, bo mówił, że to niehigieniczne), obok niego Jacek Ostaszewski na biało, wychudzony buddysta, Tadek Kożuch [altowiolista – S.K.] o intrygującej urodzie krwistego Cygana i ja, w przedwojennym wyświechtanym smokingu"**[38].**

---

38 J.K. Pawluśkiewicz, *op. cit.,* s. 150-151.

Początki profesjonalnego życia estradowego nie były jednak łatwe, bo muzycy Anawy nie przywykli do dużej liczby koncertów. Starali się ich grać nie więcej niż dziesięć miesięcznie, obawiając się rutyny i utraty radości z kontaktu z publicznością. Przestrogą były występy w stołecznym klubie Riviera-Remont, gdzie grali dwa razy dziennie przez dziesięć dni.

„Wymarzony kontrakt – przyznawał Pawluśkiewicz. – A ja piątego dnia już miałem dość, szóstego obmyślałem – chociaż wiedziałem, że to niemożliwe – jak by to wszystko odwołać, a siódmego musiałem na siłę zajmować myśli czymś innym, żeby w *Dzikim winie* zagrać solówkę”**[39].**

Zmęczenie coraz bardziej dawało o sobie znać, w efekcie Pawluśkiewicz był kiedyś świadkiem nieprawdopodobnej sceny z perkusistą Anawy w roli głównej. Działo się to podczas jednego z koncertów grupy: „[…] nasz Genio Makówka zasnął, grając solówkę w *Korowodzie*. Przy solówce perkusyjnej – zasnął! Łomotał, łomotał, coraz słabiej, słabiej, aż wreszcie zasnął. Czegoś takiego nie wymyśliłbym, gdybym nie zobaczył na własne oczy”**[40].**

Zmęczenie potęgowały nagrania dla radia i telewizji, zespół ciągle był w drodze. Na dodatek narastały różnice muzyczne pomiędzy dwoma liderami grupy. Pawluśkiewicza interesowały rozbudowane formy, chciał też więcej improwizacji i głośniejszego grania, co nie odpowiadało Grechucie. Dochodził również element rywalizacji. Gdy na pierwszej płycie Anawy pojawił się *Korowód* Jana Kantego, nikt nie zwrócił na ten utwór większej

---

39 *Ibidem,* s. 155.
40 *Ibidem.*

uwagi, natomiast wersja Grechuty z drugiej płyty zespołu natychmiast weszła do kanonu polskiej muzyki rozrywkowej. Na domiar złego odeszli Jackowski i Ostaszewski, zakładając grupę Osjan, a to oni mieli znaczący wpływ na brzmienie zespołu.

Ponadto po pięciu latach przebywania w tym samym gronie nastąpiło normalne zmęczenie towarzyskie. Marek i Jan coraz gorzej znosili swoją obecność i „nawet drobne gesty irytowały".

„Kiedyś w telewizyjnej audycji ktoś, zapowiadając nas, powiedział: »Witamy pana Marka Grechutę i jego chłopców« – żalił się Pawluśkiewicz. – Aż krzyknąłem, i to tak, że musieli zatrzymać rejestrację. »Kurde, co za chłopcy?!«. Ale jeżeli ktoś tak mówi, to znaczy, że z zewnątrz tak to wygląda. To mi kompletnie przestało pasować. Chciałem, aby moje nazwisko też coś znaczyło, a tu zostałem chłopcem""**[41].**

Anawę dopadło to, co często jest problemem zespołów z charyzmatycznym frontmanem. Słuchacze i dziennikarze przestali dostrzegać resztę muzyków, skupiając uwagę wyłącznie na wokaliście. Nie miało znaczenia, kto komponuje, kto jest odpowiedzialny za brzmienie zespołu, liczył się tylko człowiek stojący przy mikrofonie. Pod względem medialnym Grechuta zdominował Anawę niczym Mick Jagger Rolling Stonesów. Markowi chyba to nawet odpowiadało, jednak scena dla niego i Jana Kantego stała się zbyt ciasna.

„Pamiętam – kontynuował Pawluśkiewicz – że Marek bardzo posmutniał, gdy w Pradze na konferencji prasowej najpierw zwrócono się do mnie. Widać było, że jest mu bardzo przykro. W Związku

---

41 *Ibidem,* s. 160.

Radzieckim, w telewizji, też uznano mnie za szefa, na co on zaprotestował. Zawsze był frontmenem, ale to ja kierowałem zespołem”**[42].**

Decyzje zapadły po koncercie we Wrocławiu, kiedy Pawluśkiewicz powiedział – koniec, kropka i „rozstali się w ciągu jednej nocy”. Chciał wszystko uciąć od razu, nigdy „nie lubił paprania się, że coś nie idzie, a to trwa i trwa”. Jako człowiek o „cholerycznych skłonnościach” wołał sprawę zakończyć natychmiast. Miejsce Marka zajął Andrzej Zaucha.

Grupa ruszyła na serię koncertów do RFN, gdzie wzbudziła duże zainteresowanie. Niestety, nie miała szans na prawdziwą karierę za żelazną kurtyną, bo w tamtych czasach monopolistą w kontaktach artystów z zagranicą była państwowa agencja Pagart.

„[…] Sukces spory – komentował Pawluśkiewicz – przez dziesięć dni […] słuchało nas dwa i pół tysiąca osób. I co wieczór ktoś przychodził, proponując: może byście zagrali w Hamburgu, może byście przyjechali w październiku do Tokio, a może cztery koncerty w Lizbonie?... Tyle że wszystko odbywało się przez Pagart, który trzymał łapę na kontraktach, paszportach... To było irytujące. Pamiętam, jak podczas jakiegoś bankietu naubliżałem pracownikowi Pagartu i na tym skończyły się nasze plany koncertów zagranicznych”**[43].**

Po powrocie do kraju Anawa nagrała znakomitą płytę, niestety, dzisiaj już niemal zupełnie zapomnianą. Rewelacyjny, progresywny repertuar, rockowo-jazzowe popisy instrumentalistów,

---

42 *Ibidem.*

43 *Ibidem,* s. 163–164.

fantastyczna forma wokalna Zauchy i poetyckie teksty. Wszystko to było jednak spóźnione, Zaucha wyjechał do Austrii, gdzie przez dwa łata śpiewał w restauracjach. Ostatecznie zespół zawiesił działalność, ale Pawluśkiewicz i Grechuta mieli się niebawem przekonać, że nigdy nie należy mówić „nigdy"...

SCENY Z ŻYCIA RODZINNEGO

Życie z artystą nigdy nie jest łatwe, o czym pani Grechuta miała się szybko przekonać. Po łatach przyznawała, że było to wyjątkowo trudne zadanie: „Przez myśl mi nie przeszło, że zwiążę się dozgonnie z artystą. Wychodziłam za mąż za architekta, a nie za twórcę, mającego całe lata spędzić na estradzie. Kariera sceniczna Marka mogła się przecież skończyć tak szybko, jak prędko się zaczęła (wiadomo, iłu artystów było jedynie efemerydami). Ale los zdecydował inaczej, więc rolę małżonki artysty należało zagrać najlepiej, jak można. Zarówno pan, jak i pani Grechuta uczyli się tego w praktyce"**[44].**

Żona artysty powinna być nie tylko jego partnerką życiową, ale również muzą. Twórca często oczekuje od niej, żeby jako pierwsza oceniała jego dzieła, albo wręcz współpracowała przy ich powstawaniu.

„Marek – kontynuowała Danuta – przeważnie na najlepsze pomysły wpadał nocą, siedząc przy stole albo nagle zrywając się z łóżka, by zapisać myśl, która właśnie przychodziła mu do głowy. Długo nie mógł zasnąć, a ja z kolei wręcz przeciwnie. Co często kończyło się tym, iż w czasie rozmowy z panem

---

44 D. Grechuta, J. Baran, *op. cit.*, s. 139.

mężem porywał mnie w swe objęcia Morfeusz. Szanownego małżonka podobne zachowanie szalenie denerwowało”**[45].**

Oboje mieli jednak szczęście, że zaczynali małżeństwo już we własnym mieszkaniu. Wprawdzie nie było ono specjalnie duże, bo miało niespełna 40 metrów kwadratowych powierzchni, ale zapewniało minimum stabilizacji. Istotna też była jego lokalizacja przy ulicy Bałuckiego na krakowskich Dębnikach, blisko historycznego centrum Krakowa. Niebawem zresztą było ich już troje, gdyż na świat przyszedł syn, Łukasz.

Danuta opowiadała, że pomysłodawcą powiększenia rodziny był Marek, który najwyraźniej uznał, że nigdy nie ma odpowiedniej chwili na dziecko, wobec czego należy postarać się o nie jak najszybciej. Piosenkarz myślał bardzo logicznie – mieli już swoje mieszkanie, dochody też nie były najgorsze, zatem nic nie przeszkadzało w powiększeniu rodziny. Marek po raz kolejny udowodnił, że pomimo romantycznej duszy całkiem nieźle orientuje się w realnym świecie.

Łukasz Grechuta przyszedł na świat w czerwcu 1972 roku, a wtedy szybko okazało się, że dla trzyosobowej rodziny mieszkanie na Dębnikach jest jednak zbyt małe. Nie mając pieniędzy na zakup większego lokum, liczyli na zamianę. Ale w czasach PRL-u nic nie było łatwe, szczególnie gdy dotyczyło kwestii mieszkaniowych. Upatrzone przez Grechutów mieszkanie było lokalem kwaterunkowym (komunalnym), więc o jego losie decydowały władze miejskie, a nie wszyscy włodarze sprzyjali temu projektowi zamiany. Okazało się też, że metraż był

---

45 *Ibidem,* s. 240.

zbyt duży jak na trzyosobową rodzinę, wobec czego Danuta przez pewien czas prowadziła dom kultury, jako że zgodnie z obowiązującymi przepisami pedagodzy mieli prawo do większego lokalu. Ostatecznie w 1973 roku Grechutowie zamieszkali w kamienicy przy ulicy Szlak, gdzie mieli spędzić następne 22 lata.

Prowadzili dom otwarty, co nie zawsze spotykało się ze zrozumieniem sąsiadów. Ale pani Danuta nie uważała, by specjalnie uprzykrzali życie swojemu otoczeniu: „Otwartość wynikała również ze specyfiki życia zawodowego Marka. Często odbywały się u nas próby z zespołem. Do tego spotkania towarzyskie oraz brydże do rana, szczególnie w letnie wieczory przy otwartych oknach, co mogło czasami przeszkadzać sąsiadom. Ale nie byliśmy – chyba! – złymi lokatorami, albowiem po dziś dzień dostaję na święta życzenia od sąsiadów ze Szlaku”**[46].**

Danuta nie mogła podjąć normalnej pracy zawodowej. Wiedziała, że musi dbać o męża-artystę i syna, co całkowicie ją absorbowało. Obecnie uważa, że złożyła swoje ambicje na ołtarzu sztuki, ale nie miała wyboru. Większość żon artystów faktycznie zajmowała się domem, rezygnując z kariery zawodowej.

„Zmagania ze szkołą dziecka – tłumaczyła – odrabianie wspólnie lekcji, zaprowadzanie, odprowadzanie itp. Jak w każdej rodzinie. [...] Przeważnie takie żony nie pracowały na etacie. W moim przypadku byłoby to wręcz niemożliwe. Gdybym poszła do pracy, rodzina nie przetrwałaby, ponieważ wszystko uległoby rozpadowi”**[47].**

---

46 *Ibidem,* s. 31.
47 *Ibidem,* s. 216.

ŁUKASZ

Podobnie jak wielu innych muzyków Grechuta był ojcem „na pół etatu". Wiele czasu zajmowały mu trasy koncertowe, audycje radiowe i telewizyjne oraz sesje w studiu nagraniowym. Również kiedy był w domu, często poświęcał się pracy i rodzina musiała się do tego dostosować.

„Kiedy byłem małym chłopcem, a kariera ojca rozwijała się, zdarzały się takie dni, kiedy ojciec był niedostępny – wspominał Łukasz Grechuta. – Trudno było nawiązać z nim rozmowę, ponieważ sztuka pochłaniała go bez reszty. Siedząc na fotelu, pisał teksty piosenek albo przy fortepianie zapisywał papier nutowy. Ciągle coś zmieniał i przekreślał już napisane nuty. Był w zupełnie innym świecie"**[48].**

Jednakże w wolnych chwilach zajmował się chłopcem, starał się budzić w nim wrażliwość artystyczną. Łukasz nigdy nie zapomniał najszczęśliwszych lat swojego dzieciństwa: „Ojciec rysował jakiś pejzaż albo budynek. Mnie to fascynowało i starałem się go naśladować, tworząc swoją wizję. Ojciec lubił również sklejać mi modele. Kiedyś zobaczyłem na wystawie zabawkę: miasteczko »Dziki Zachód«. I ojciec postanowił, że zamiast zabawki kupi zestaw do modelowania: listewki, kleje, piły. I zaczął kleić makietę domu z westernu. Byłem tak zafascynowany, że budziłem go wczesnym rankiem, żeby dalej pracował"**[49].**

Nigdy jednak nie był na wywiadówce szkolnej – zapewne nie chciał, aby jego osoba absorbowała

---

48 Za: *Marek Grechuta we wspomnieniach syna...*

49 Za: *ibidem*.

zebranych. To pozostawiał żonie, podobnie jak wszelkie sprawy związane z edukacją potomka.

„Dobry tata, ale zbyt łagodny – oceniała Danuta. – Typ zakochanego tatusia: syn mógł ojca okręcić sobie wokół palca. Mnie zaś przypadła rola żandarma. Następstwem była klasyczna męska solidarność, czyli namawianie się na boku, męskie zakupy, zachcianki, zabaweczki itp. Co przeniosło się także w starszy wiek Łukasza. Często knuli przeciwko mnie, szczególnie w sprawie zakupu nowego samochodu”**[50].**

Łukasz zdradzał duży talent artystyczny, dlatego wybrał liceum plastyczne, a potem krakowską ASP. Jednak od najmłodszych lat żył w cieniu sławnego ojca, a jako że „dzieci płacą za popularność rodziców”, zaczęły się problemy z nauczycielami i kolegami ze szkoły.

„Niektórzy rówieśnicy – kontynuowała pani Danuta – odgrywali się na nim za pozycję i popularność ojca. […] Dla młodego chłopaka były to naprawdę trudne sytuacje. Choć synowi w sumie ułożyło się nie najgorzej: miał kolegów i przyjaciół, lubiących go i akceptujących. Ale bywały również przeżycia traumatyczne. Do tego stopnia, że Łukasz bał się chodzić do szkoły”**[51].**

Zapewne właśnie stąd wziął się jego specyficzny dystans do ludzi. Poza tym, patrząc na ojca, nabrał niechęci do bycia osobą publiczną. Uważał, że to „straszne ograniczenie” i że nie chciałby bez przerwy być „na oczach wszystkich”.

„Nigdy się nie wywyższałem – mówił w wywiadzie. – Byłem dumny z ojca, choć może nigdy

---

50 D. Grechuta, J. Baran, *op. cit.*, s. 138.

51 *Ibidem*, s. 142.

tego mu nie okazywałem. Nigdy nie podkreślałem, czyim jestem synem. Jednak gdy otoczenie dowiadywało się, kim jestem, często wykorzystywało to przeciwko mnie, nie mając wtedy wobec mnie nawet cienia kurtuazji, widząc tylko znane nazwisko”**[52].**

Po latach Danuta uważa, że wraz z Markiem popełnili poważne błędy, gdyż w „wychowaniu rygor jest konieczny, należy być wobec potomków bardziej stanowczym”. Patrząc na późniejsze relacje Łukasza z rodzicami, trudno się z tym nie zgodzić…

WIEM

Po rozstaniu z Pawluśkiewiczem i Anawą Grechuta stworzył własny zespół – WIEM (W Innej Epoce Muzycznej) – złożony z doświadczonych muzyków jazzowych. Repertuar grupy miał być kontynuacją stylistyki *Korowodu* – fuzją poezji, rocka i jazzu.

„[…] miała być zaprzeczeniem baroku Anawy – wyjaśniała pani Danuta. – Nastąpiło zerwanie z dawnym stylem, po czym Marek wszedł w muzyczną komitywę z jazzmanami. Wtedy objawił się Paweł Ścierański wraz ze swoją gitarą i bratem Krzysztofem – basistą. Pamiętam, kiedy pierwszy raz weszli do naszego mieszkania przy ulicy Szlak. Od razu zaczęła się próba”**[53].**

Na koncertach utwory Grechuty i WIEM nabierały nowego wyrazu. Rozbudowane, improwizowane partie instrumentalne, piosenki znacznie dłuższe od wersji studyjnych. Niemal każdy

---

52 Za: *Marek Grechuta we wspomnieniach syna…*

53 D. Grechuta, J. Baran, *op. cit.,* s. 256.

utwór miał otwarty charakter i sami muzycy nie wiedzieli, w jakiej formie zostanie przedstawiony publiczności. Do tego dochodziły eksperymenty brzmieniowe, takie jak gra smyczkiem na strunach gitary elektrycznej. Słynął z tego Jimmy Page z Led Zeppelin, ale nad Wisłą stanowiło to zupełną nowość. Koncerty Marka z nowym zespołem były dla publiczności zupełnym zaskoczeniem, nie wszystkim też podobał się ich przebieg. Znaczna część publiczności przychodziła posłuchać starych przebojów Grechuty i nie akceptowała jazzowo-rockowego misterium.

„Każdy koncert był inny – wspominał perkusista, Kazimierz Jonkisz – ale wszystkie bez wyjątku były energetyczne i emocjonujące. Nigdy nie wiedzieliśmy, co może się zdarzyć, a ze sceny schodziliśmy zlani potem. Marek niczego nam nie narzucał, wręcz przeciwnie – dawał wiele swobody. Jednocześnie silny ładunek emocjonalny wierszy, które śpiewał, i charyzma, z jaką to zrobił, rzutowały na muzykę, podpowiadały nam, jak mamy grać”**[54]**.

Grechuta tłumaczył, że wprawdzie rozumie, że poezja i jazz nie pasują do siebie, jednak „pewne elementy muzyki poważnej i rozrywkowej (w tym i jazzu) usiłuje łączyć z najnowszą poezją, aby uzyskać »całość współczesności«”. Efekt był zaskakujący, czego dowodem są dwie płyty nagrane z WIEM: *Droga za widnokres* i *Magia obłoków*. Niestety, na obu albumach było zdecydowanie mniej przebojów niż na płytach z Anawą i z tego powodu utwory z nich pochodzące rzadko pojawiają się na składankach artysty z jego największymi hitami.

---

54 Za: W. Majewski, *op. cit.,* s. 87.

Zdawał sobie z tego sprawę sam Grechuta, który w 1975 roku zakończył współpracę z WIEM, planując powrót do kameralnego brzmienia. Niestety, rozwiązanie zespołu odbyło się w sposób, który trudno uznać za specjalnie kulturalny.

„Rozstał się z nami nieelegancko – skarżył się Jonkisz. – […] zapomniał o nas, jakbyśmy byli kukułczym jajem albo jakimś niewypałem. […] Nie rozwiązał zespołu, mówiąc: – Dziękuję wam, mam inne plany, każdy idzie w inną stronę. On się nie odezwał. Zostawił nas, odpłynął na swoją planetę i zapominając o grających z nim muzykach, wrócił do swojego dawnego zespołu. Poczułem się okropnie”**[55]**.

SZALONA LOKOMOTYWA

Trudno się oprzeć wrażeniu, że na płytach Grechuty z WIEM wyraźnie brakowało Jana Kantego Pawluśkiewicza. Obaj doskonale się uzupełniali, wspólnie potrafili stworzyć znakomite kompozycje.

„Twórca Grechuta często wraz z tekstem przynosił także zaczątki melodii – opowiadała Danuta. – Wówczas z wielką energią przystępował do pracy Kanty, dopisując nutki, wymyślając aranże. Pierwsze piosenki są ich wspólnym komponowaniem: Janek siadał do fortepianu, Marek stał obok i dogrywał albo dośpiewywał”**[56]**.

Współpracę obu panów można przyrównać do duetu Lennon – McCartney. Liderzy Beatlesów inspirowali się wzajemnie i nie bez przyczyny ich solowe dokonania nigdy nie zbliżyły się do poziomu

---

55 Za: M. Sztokfisz, *op. cit.,* s. 151.

56 D. Grechuta, J. Baran, op. *cit.,* s. 125.

prezentowanego pod wspólnym szyldem. Inna sprawa, że w przypadku Grechuty i Pawluśkiewicza trudno było mówić o prawdziwej przyjaźni, to był specyficzny układ partnerski.

„Nasze kontakty nie opierały się na kumplostwie – tłumaczył Pawluśkiewicz – nie byliśmy ze sobą blisko zaprzyjaźnieni. Spotykaliśmy się codziennie, ale to był pewien rytuał. Marek miał swój świat, który ja szanowałem. Nigdy się wspólnie nie upiliśmy, to nie był ten typ znajomości. Myślę, że ta nasza powściągliwość towarzyska, delikatność naszych kontaktów, pewna osobność były niesłychanie kreacyjne”**[57]**.

Czas jednak leczy rany, a poza tym przyjaźniły się żony obu artystów. Gdy zatem Pawluśkiewicz rozpoczął pracę nad musicalem opartym na tekstach Witkacego, to zdecydował się zaprosić Grechutę.

„[…] zacząłem pisać muzykę – wspominał Jan Kanty. – W pewnym momencie nie mogłem dalej ruszyć i zatęskniłem za Markiem. Pisałem już muzykę do teatru, filmu, ale jednak brakowało mi muzyki na żywo… I jak zatęskniłem za spotkaniem z Markiem, to nasze dziewczyny szybko to podchwyciły…”**[58]**.

Kilkuletnia przerwa „spowodowała ogromne łaknienie współpracy”, co przyniosło znakomite efekty. Panowie siadywali w mieszkaniu Grechutów przy Szlaku, gdzie Pawluśkiewicz grał, a Grechuta „od razu śpiewał”. Część muzyki pisali osobno, większość jednak wspólnie, a w nagraniach towarzyszyli im znakomici jazzmani z braćmi Ścierańskimi na czele. Materiał zaprezentowano na żywo w Teatrze imienia Kochanowskiego w Opolu, w ramach imprezy

---

57 Za: W. Majewski, *op. cit.,* s. 59.

58 J.K. Pawluśkiewicz, op. *cit.,* s. 221.

towarzyszącej kolejnemu festiwalowi piosenki. Jerzy Stuhr „latał po teatrze i mówił teksty", śpiewali: Grechuta, Maryla Rodowicz i Magda Umer. A dwa lata później pochodząca z tego musicalu i śpiewana przez Grechutę piosenka *Hop, szklankę piwa* zdobyła Grand Prix festiwalu opolskiego.

Musical miał swoją oficjalną premierę w sierpniu 1977 roku w krakowskim Teatrze STU, a jego przedstawienia odbywały się w specjalnym namiocie rozstawionym obok teatru. To było widowisko, jakiego Polska jeszcze nie widziała, ale teraz miała szansę zobaczyć, bo twórcy nie ograniczali się do przedstawień pod Wawelem.

„Były głosy, że nawet czasopismo »Koń Polski« wspomniało o *Szalonej lokomotywie* – opowiadał Pawluśkiewicz w jednym z wywiadów. – [...] Gdy graliśmy w Warszawie w namiocie przy Chłodnej, przyszło [wyjątkowe] towarzystwo, nawet słynny krytyk Konstanty Puzyna. I stwierdził, że to chyba jakaś banda wariatów"**[59]**.

W tamtym czasie Witkacy nie był jeszcze specjalnie popularny, tym większe słowa uznania należą się Pawluśkiewiczowi i Grechucie, a także Krzysztofowi Jasińskiemu, dyrektorowi Teatru STU, który zdecydował się wystawić musical.

„To był bardzo wesoły spektakl – wspominał były prezydent Krakowa, Józef Lassota. – Rozpędzona lokomotywa ze skrzydłami wjeżdżała na sam środek areny. Były tam drezyny, rowery, no i

---

59 Za: *Jan Kanty Pawluśkiewicz o Marku Grechucie,* https://www.youtube.com/watch?v=THpvYOmPbls

Maryla Rodowicz w tak niecodziennej roli. Ale dokładnie nie pamiętam, o co chodziło”**[60]**.

Dla Maryli Rodowicz udział w musicalu stanowił początek nowego życia, gdyż na kilka lat związała się z Jasińskim, natomiast dla Jana i Marka oznaczał on definitywny koniec współpracy. Ponownie do głosu doszły ambicje twórcze, na domiar złego Grechuta zdecydowanie pomniejszał rolę partnera.

„Kiedy nagraliśmy płytę *Szalona lokomotywa* – wyjaśniał Pawluśkiewicz – Marek na jakiś czas zapomniał, że jestem współautorem tych kompozycji, i podał siebie jako jedynego autora. Sprawa została odkręcona, ale już nie wróciliśmy do współpracy”**[61]**.

I rzeczywiście, na festiwalu opolskim piosenkę *Hop, szklankę piwa* prezentowano jako kompozycję Grechuty, a Jan figurował tylko jako aranżer (w rzeczywistości autorstwo było wspólne). Zmieniono też okładkę płyty, na której pojawił się „naklejony opis informujący o twórcach piosenek”. W pierwotnej wersji dwanaście (na siedemnaście) piosenek przypisywano wyłącznie Markowi, a po zamianach pozostało ich tylko cztery. Dwie skomponował Pawluśkiewicz, a jedenaście było wspólnego autorstwa.

Jan Kanty nie chce dzisiaj o tym mówić zbyt wiele, uważając, że „lata minęły”, a „najważniejsze były efekty”, które obu artystów „wielce satysfakcjonowały”.

---

60 Za: W. Mrozek, Witkacy na szynach, http://www.dwutygodnik.com/artykul/4432-witkacy-na-szynach.html

61 J.K. Pawluśkiewicz, *op. cit.,* s. 229.

Niestety, spektakl nie został zarejestrowany przez kamery, a żadne opisy nie oddadzą atmosfery, jaka towarzyszyła kolejnym przedstawieniom. Marek Grechuta jako Belzebub w białym fraku, Jerzy Stuhr w roli dróżnika kolejowego, Maryla Rodowicz jako Hilda, Zofia Niwińska grająca matkę jeżdżącą „na czymś, co przypominało karykaturę roweru na ogromnych kołach". I atrapa lokomotywy sunąca po szynach i poruszająca skrzydłami, a w tle teksty Witkacego oraz hipnotyzująca muzyka Grechuty i Pawluśkiewicza...

MALARZ MAREK GRECHUTA

„[Ojciec] lubił mnie rysować, kiedy spałem – wspominał Łukasz. – Dlatego często prosił, żebym zasypiał przy zapalonym świetle. Rano budziłem się, a na szafce stał obrazek, który tata namalował w nocy. Ludzie nie pamiętają, że ojciec był też malarzem. To nie znalazło miejsca w jego biografii jako artysty, ale cała sfera zainteresowań ojca sztukami plastycznymi w życiu rodzinnym, domowym była równie ważna, jak muzyka i poezja"**[62]**.

Nawet najzagorzalsi wielbiciele Grechuty piosenkarza niewiele wiedzą o tym nurcie jego twórczości. Tymczasem Marek faktycznie miał duży talent plastyczny, chociaż traktował go raczej hobbystycznie. Nigdy też chyba nie myślał, aby zająć się malarstwem profesjonalnie, chociaż na swój sposób był bardzo dumny ze swoich osiągnięć.

„Myślę, że jako malarz troszeczkę naśladował Stanisława Wyspiańskiego – twierdziła Danuta. – [...]

---

62 Za: *Marek Grechuta we wspomnieniach syna...*

Były momenty, iż chwalił się jak dziecko, pokazując swoje obrazy. Sukcesy na estradzie miał zaklepane, lecz wciąż i wciąż pragnął jeszcze czegoś. [...] Rozpierało go szczęście, gdy komuś podobał się owoc jego fantazji malarskich. W pewnym momencie mieszkanie na Szlaku miało jedną ścianę obwieszoną Markowymi pracami. Ów widok dawał wielce artystyczne wrażenie, ocieplając dom"**[63]**.

Nie myślał o komercyjnych wernisażach, chociaż nigdy nie ukrywał, że zależy mu na uznaniu odbiorców. Ale to był prywatny nurt jego życia artystycznego i Marek chciał, aby takim pozostał. Pod tym względem wyraźnie różnił się od Danuty, która znacznie bardziej realistycznie traktowała te sprawy.

„[...] bez pietyzmu podchodził do swojego malarstwa – potwierdzała małżonka. – [...] Twórca się nie liczył – tylko dzieło. Pierwsza wystawa prac Marka Grechuty, zorganizowana w Piwnicy pod Różą, zakończyła się tym, że dwa najlepsze – do dziś nieodżałowane – obrazy zginęły. Czyli publiczność – mówiąc delikatnie – obrazki zakosiła. Małżonka się denerwowała, a Marek promieniał szczęściem. Albowiem uważał, że dobrze wykonał swą robotę. Kradną? Znaczy: podoba się"**[64]**. Dlatego też nie miał żadnych oporów i rozdawał swoje prace na prawo i lewo. Uznanie odbiorcy uważał za wystarczającą satysfakcję. Czasami było to przyczyną nieporozumień domowych, ale Grechuta nie zwracał uwagi na podobne drobiazgi.

„Ktoś się zachwycił – natychmiast miał obraz w prezencie. Zaś pani żona była wściekła. Nie dość, że pozbywał się najlepszych rzeczy, to na ścianie

---

63 D. Grechuta, J. Baran, op. *cit.*, s. 341.

64 *Ibidem,* s. 342.

zostawał ślad. Bo niby dlaczego ktoś miał mieć te prace, a nie rodzina Grechutów?”**[65]**.

Marek używał wielu technik, bardzo lubił kredki, chętnie też „posługiwał się pastelami, zarówno suchymi, jak i tłustymi”. Używał pisaków, a potem zainteresował się flamastrami żelowymi, za pomocą których tworzył dzieła abstrakcyjne. Chętnie portretował znajomych i przyjaciół, nigdy jednak nie udało mu się stworzyć takiego portretu żony, który by ją zadowolił.

„[Wprawdzie] istnieje portret Danuty G., ale taki bardziej odrealniony – tłumaczyła żona artysty. – Niezbyt dobrze widać na nim, że ja to ja. Dzieło nazwane zostało *Żona Dana*. Dla odmiany, kiedy pewnego dnia w Bułgarii mnie namalował, emanowałam niekłamanym zadowoleniem. A malarz Grechuta – wręcz przeciwnie. W związku z tym zaczął dzieło zmieniać, czym doprowadził do zniszczenia dobrego portretu. […] Powtórzę ze smutkiem, iż nie załapałam się na udany obrazek, w przeciwieństwie do wielu osób, sportretowanych naprawdę rewelacyjnie”**[66]**.

Grechuta pojawiał się również w filmie, zagrał dwie epizodyczne role na dużym ekranie. W *Tumorze Witkacego* wcielił się w rolę pianisty-piosenkarza, ciekawszy był jednak jego udział w *Polowaniu na muchy* Andrzeja Wajdy. Zagrał tam w kultowej scenie imprezy w Domu Pracy Twórczej w Nieporęcie, wcielając się w rolę zblazowanego playboya oferującego intymne spotkania w stylu „psychodelic”. Obok niego pojawił się Jacek Fedorowicz jako reżyser telewizyjny poszukujący łatwych podbojów,

---

65 *Ibidem.*

66 *Ibidem,* s. 343.

natomiast do tańca przygrywali Trubadurzy (wystąpili jako zespół: Bliscy Płaczu), którzy wykonując utwór *Mamo, coja robię,* rzeczywiście szlochali na scenie...

KAPRYSY ARTYSTY

Czytając wspomnienia żony i syna, trudno oprzeć się wrażeniu, że niemal wszystko w domu Grechutów było zorganizowane pod tryb życia Marka. Pani Danuta nie ukrywała, że małżonek czasami wracał z tras koncertowych w złym humorze, przejawiał też częste u artysty poczucie własnej nieomylności. Co prawda domagał się recenzowania swoich utworów, ale w głębi ducha oczekiwał pochwał i zachwytów.

„[...] najtrudniejszy wątek w mojej życiowej roli wiązał się z koniecznością bycia pierwszym słuchaczem – powiadała pani Danuta. – [...] Bywało tak, że on się upierał, iż jakiś wers jest w porządku, że dobrze brzmi, że ma sens, podczas gdy ja miałam odmienne odczucia. Stąd dość częste spory i wynikające z tego mężowskie naburmuszenie. Zapowiadał, że nie przyjmuje krytyki, ale widziałam, iż zasiałam ziarno zwątpienia; czasami męczył się kilka dni, po czym następowało olśnienie i poprawa tekstu”**[67]**.

Gdy Grechutowie kupili samochód, Marek zapałał miłością do kierownicy, chociaż zupełnie nie miał do tego predyspozycji. Już pierwsza podróż własnym samochodem – choć na razie w charakterze pasażera – zakończyła się dla niego raczej nieprzyjemnie. Marek nie miał jeszcze prawa jazdy,

---

67 *Ibidem,* s. 377.

toteż zakupionego od Maryli Rodowicz Fiata 127 Sport w drodze do Krakowa prowadziła Krystyna Janda. Grechuta siedział obok, ale po drodze zasnął.

„W połowie drogi – wspominała Janda – na desce rozdzielczej zaczęły się palić na czerwono różne lampki. Marek spał, mnie te światła raziły, więc zatrzymałam się na stacji benzynowej, kupiłam plaster na skaleczenia, zakleiłam nim wszystkie światełka i tak dojechałam”**[68]**.

Gdy pojazd trafił w ręce mechaników, nie chcieli oni uwierzyć własnym oczom. Uznali oboje artystów za „idiotów” i mieli dużo racji, gdyż Krystyna „zarżnęła Markowi silnik, zrobiła dziurę w tłokach, rozwaliła chłodnicę”…

Grechuta otrzymał prawo jazdy, chociaż na egzaminie „wjechał w ulicę jednokierunkową pod prąd” – zadziałała magia nazwiska. Niestety, podczas codziennej eksploatacji samochodu okazało się, że jednak nie powinien bawić się w kierowcę. Wrażliwy artysta zachowywał się w samochodzie w sposób daleki od swojego scenicznego wizerunku. Podobno „za kierownicą zamieniał się w innego człowieka i przeklinał jak kibice na meczach piłkarskich”.

„Ambicja bycia macho zmusiła Marka, by zrobił prawo jazdy, lecz prowadzenie samochodu kompletnie mu nie szło – przyznawała żona. – Nie miał ku temu talentu. Na drodze źle się czuł. Wszyscy mu przeszkadzali, zagrażali. Jeżeli ktoś pana Grechutę – nie daj Bóg! – wyprzedził, okazywał ogromne zdenerwowanie”**[69]**.

Problem znalazł swoje rozwiązanie pod Jędrzejowem, gdzie Grechuta wpadł w poślizg, w

---

68 Za: M. Sztokfisz, op. *cit.,* s. 169.

69 D. Grechuta, J. Baran, op. *cit.,* s. 352–353.

efekcie czego trafił na miesiąc do szpitala. Potem „nie miał odwagi usiąść za kierownicą", chociaż pani Danuta musiała „użyć nie małej dozy dyplomacji", aby „definitywnie odsunąć Marka od kółka". Ostatecznie rolę kierowcy przejęła małżonka, co artysta przyjął z zadowoleniem.

Żonina dyplomacja przydawała się również w sprawach kontaktów artystycznych, bo to właśnie pani Danuta sprawiła, że Marek zdecydował się nagrać z grupą Myslovitz piosenkę *Kraków*. Pani Grechutowa była zdania, że tekst „zawiera bardzo ładne, pełne nostalgii słowa o Krakowie i miłości", podczas gdy pan Grechuta twierdził, że twórczość Myslovitz „pochodzi z innej bajki". Dlatego Danuta „jako doświadczona żona podjęła pewną grę psychologiczną", a najlepszą metodą było skrytykowanie nadesłanego tekstu.

„Zatem mówię; »Przysłali, ale to chyba niezbyt dobre«. Szanowny małżonek zawsze chętnie czytał teksty, więc natychmiast pogrążył się w lekturze. Pytam po chwili o wrażenia. Marek: »Nie jest zły«. Myślę: »Jest nieźle« – a na głos: »To może zaśpiewasz?« A małżonek – zacytuję dosłownie: »Nie, co to komuś do głowy przyszło«. Po pewnym czasie objawił się telefonicznie menedżer i od razu poprosiłam o przysłanie płyty [z pierwotną wersją – S.K.], żeby Marek usłyszał, jak brzmi piosenka"**[70]**.

Ostatecznie wszystko skończyło się po myśli Danuty. Grechuta wszedł do studia, nagrał piosenkę z własnym zespołem, a z Myslovitz towarzyszyli mu tylko wokalista i gitarzysta. Efekt tego przedsięwzięcia był znakomity, chociaż Markowi głos już wyraźnie nie służył…

---

70 *Ibidem,* s. 359.

Wspomnienia Danuty obfitują w wiele podobnych historii i nie ma powodu, aby podawać je w wątpliwość. Zapewne jednak nigdy się nie dowiemy, jak wyglądały układy rodzinne za zamkniętymi drzwiami, żona artysty ujawniła bowiem tylko to, co chciała ujawnić. Na pewno życie z Markiem nie było łatwe, rodzina nieraz musiała podporządkowywać się jego kaprysom. Wspomnienia moich znajomych, którzy słyszeli opowieści o rodzinie Grechutów przyjeżdżających regularnie w latach 70. i 80. do Kazimierza Dolnego, dają dużo materiału do przemyśleń. Niemal zawsze spędzali tam miesiąc, zatrzymując się u Dobrowolskich przy ulicy Góry. Nie udzielali się towarzysko, byli „cisi i spokojni, nie rzucali się w oczy", Grechuta większość czasu spędzał samotnie na leżaku w ogrodzie. Małżonka raczej przebywała w domu, nie przerywając zadumy mężowi. Czasami Marek wychodził wieczorami, ale z reguły bez żony. Po miasteczku krążyły jakieś wieści o nieporozumieniach małżeńskich, ale być może były to tylko plotki spowodowane nietypowym zachowaniem partnerów**[71]**. Tymczasem Grechutowa w swojej książce nie wspomniała nawet słowem o pobytach w Kazimierzu, któremu mąż poświęcił piosenkę na płycie *Niezwykłe miejsca,* chociaż inne miasta z tego albumu – Lanckoronę, Zamość, Zakopane, Sydney i Wenecję – chętnie wspominała. Przy tej okazji warto zauważyć, że regularnie wypoczywająca w tym samym domu Magdalena Zawadzka równie konsekwentnie milczała w swoich wspomnieniach na

71 Rozmowa z Marzeną Jóźwik z dnia 16.02.2017 oraz mail z 17.02.2017.

temat wakacji spędzanych w Kazimierzu w towarzystwie Gustawa Holoubka...

CZŁOWIEK INSTYTUCJA

Po *Szalonej lokomotywie* Grechuta napisał muzykę do oratorium opartego na tekstach Tadeusza Nowaka *(Zapach łamanego chleba)*. Premiera widowiska była wielkim sukcesem, jednak płyta cieszyła się umiarkowanym zainteresowaniem. Ponownie zabrakło przebojów, utwory nie należały do najłatwiejszych w odbiorze, niewiele też pomogło zaangażowanie Teresy Iwaniszewskiej-Haremzy i Magdy Umer w charakterze wokalistek.

Prawdziwym hitem natomiast okazała się kolejna płyta. *Śpiewające obrazy* z 1981 roku. Fantastyczne teksty i muzyka, znakomicie śpiewające aktorki Starego Teatru w Krakowie (Dorota Pomykała i Urszula Kiebzak). Sam dobrze pamiętam, że w latach 80. płyta była prawdziwym białym krukiem i że miałem ją tylko w postaci kasety nagranej z radia. Niestety, zabranie jej ze sobą na imprezę okazało się przedsięwzięciem podwyższonego ryzyka, gdyż do domu wróciłem już bez niej. Siódme przykazanie najwyraźniej złamał ktoś, kto pierwszy raz wysłuchał tej muzyki i – oczarowany – nie potrafił pohamować chęci częstszego z nią obcowania. A Marek Grechuta zapewne uznałby ten incydent za dobrą recenzję, zgodnie z zasadą „Kradną? Znaczy: podoba się".

Podobne sukcesy odniosły kolejne jego płyty, a on sam stał się prawdziwą instytucją w polskim świecie muzycznym. Sprawdził się pomysł na damskie głosy wspomagające, a współpraca z nowym wcieleniem Anawy przynosiła dobre efekty. Marek

znów pisał przeboje i regularnie, co dwa–trzy lata wydawał nowe płyty, wśród których znalazł się zadedykowany Łukaszowi album *Piosenki dla dzieci i rodziców*. Wydawało się, że Marek Grechuta jeszcze przez długie lata będzie jedną z najważniejszych postaci polskiego świata muzycznego, ale niestety – wszystko przekreśliła choroba.

CYKLOFRENIA

Ja sam miałem okazję być tylko na jednym koncercie Grechuty. Pamiętam, jak niecierpliwie czekałem na spotkania z człowiekiem, którego muzyka towarzyszyła mi przez wiele lat. Niestety – koncert, który miał miejsce wiosną 1989 roku w warszawskiej Rivierze, bardzo mnie rozczarował. Co prawda trudno było coś zarzucić przedstawionemu repertuarowi czy interpretacji, ale na scenie Grechuta zachowywał się dość nieprzyjemnie. Wypowiadał nieprzychylne komentarze na temat Warszawy i publiczności, która przyszła na koncert, narzekał też na salę, w której śpiewał. Na domiar złego odmówił bisów, co zrobiło bardzo niekorzystne wrażenie. Byłem zdegustowany jego zachowaniem, uznając je za przejaw kaprysów artysty lekceważącego publiczność. Ale wówczas nie wiedziałem jeszcze o chorobie, która wiele mogła tłumaczyć.

Po kraju rozchodziły się plotki o nadużywaniu alkoholu przez artystę, czasami widziano go, jak podczas koncertów zataczał się lub miał problemy z własnymi tekstami. Jednak opinie osób, które go znały, jednoznacznie przeczą tym pogłoskom. Grechuta praktycznie w ogóle nie pił alkoholu, co potwierdza Jan Kanty Pawluśkiewicz. Trunki źle na niego działały, nawet w homeopatycznych dawkach:

„U nas w ogóle rozpasania z wódką nie było – wyjaśniał Pawluśkiewicz. – Ostaszewski używał jej skromnie, wręcz schyłkowo, Marek Grechuta wcale. Raz w Grandzie mu się zdarzyło. Chcieliśmy coś zjeść, a kelner mówi, że nic nie ma. To znaczy jest szczupak w galarecie, ale nie poleca. No to zamówiliśmy jakąś wódkę i pewnie z tej bezradności Marek też ją wypił. Skutki nie dały długo na siebie czekać. Wszedł na krzesło, przebiegł tanecznym krokiem po stole, po czym wrócił na swoje miejsce i chyba nie dokończył tej pięćdziesiątki. Pewnie jedynej w życiu”**[72]**.

Pawluśkiewicz nie chciał o tym mówić, ale przyczyną większości problemów Grechuty była nękająca go przez wiele lat choroba afektywna dwubiegunowa. Cyklicznie pojawiały się u niego stany depresyjne, nad którymi nie potrafił zapanować. Schorzenie to w znacznym stopniu utrudniało jego karierę artystyczną, nie pomagały mu w niej również silne środki farmakologiczne, które regularnie zażywał. Artysta potrafił przerwać występ lub próbę bez słowa wyjaśnienia, co często i niesłusznie brano za objawy alkoholizmu.

„Kiedy następował rzut – wspominała Magda Umer – trudno było z Markiem współpracować i chyba dlatego nastąpiło rozstanie z Anawą, z Janem Kantym Pawluśkiewiczem”**[73]**.

Podejrzenia o nadużywanie trunków nasilały się w związku ze zmianami w wyglądzie artysty. Z upływem lat sporo przytył, miał spuchniętą twarz, znacznie obniżył się jego głos, co sugerowało problemy z alkoholem. Jednak wszystkie relacje wskazują na kłopoty natury psychicznej.

---

72 Za: J.K. Pawluśkiewicz, *op. cit.*, s. 155-156.

73 Za: M. Sztokfisz, *op. cit.*, s. 124.

Cyklofrenia bywa chorobą dziedziczną, a pierwsze jej objawy mogą się pojawić pod wpływem silnych przeżyć emocjonalnych. Grechuta zawsze był nadwrażliwy, ale pomimo nawrotów choroby przez wiele lat prowadził czynne życie artystyczne, w czym duża zasługa jego żony.

„Niebywałą siłę dającą mu nadzieję powrotu do normalności czerpał od żony – tłumaczyła Umer – zawsze mógł liczyć na jej pomoc. I tak naprawdę nikt poza Danusią nie wytrzymywał jego lęków, trudnych okresów”**[74]**.

Negatywny wpływ na stan zdrowia artysty miały trasy koncertowe. Początkowo bez problemów akceptował duże audytoria (np. na festiwalu w Opolu), potem zdecydowanie preferował mniejsze sale. Występ w amfiteatrze, przed wielotysięczną publicznością, stanowił dla niego poważne ryzyko.

„Trasy, przeciążenia, koncerty, noclegi w obcych miejscach – tłumaczyła Kora Jackowska. – Takie życie człowieka rozwala, naraża na olbrzymi stres. Trzeba być Madonną, chyba pozbawioną systemu nerwowego, żeby znosić tę wirówkę. Marek, jej przeciwieństwo […], śpiewając emocjonalne piosenki, oglądany z bliska, odczuwał ogromne obciążenie”**[75]**.

Z upływem czasu stawał się też coraz bardziej wrażliwy na negatywne opinie na swój temat. Chociaż nawroty choroby w sposób oczywisty dezorganizowały jego życie artystyczne, nie potrafił zrozumieć osób wygłaszających negatywne opinie. Często zresztą przerzucał się z jednej skrajności w

---

74 Za: *Ibidem,* s. 136.

75 Za: *Ibidem,* s. 130.

drugą – albo uważał się za wielkiego artystę, albo dyskredytował swoją twórczość.

„Źle tolerował krytykę – kontynuowała Jackowska. – Ci, którzy wiedzieli o jego chorobie, zawsze się jej wystrzegali. Nie chcieli go irytować. Marek był bardzo wrażliwy i to się nasiliło, kiedy zachorował. Nie przyjmował krytyki, nawet delikatnej. [...] Reagował niespokojnie. Może pod wpływem stresu, emocji coś się naruszyło w jego systemie psychicznym”**[76]**.

DO KOŃCA WIERNY SOBIE

Przemiany ustrojowe po 1989 roku nie zagroziły pozycji Grechuty. W nowej rzeczywistości jego menedżerem została żona, która tę rolę nieformalnie spełniała już wcześniej. Marek nadal regularnie wydawał płyty, jednak po premierze *Dziesięciu ważnych słów w* 1994 roku nastąpiła kilkuletnia przerwa. Choroba coraz bardziej dawała znać o sobie.

„Był już ciężko chory – wspominała Magda Umer – drżał z lęku, nie mógł śpiewać. Pomyślałam, że nie wezmę go już do żadnego koncertu, bo wiem, jak dużo go to kosztuje. A jednak w 2000 roku Marek wystąpił na jubileuszowej FAMIE. Krzysiek Jasiński musiał mu zasznurować buty, sam nie był w stanie ich włożyć.

I Marek wtedy nie zaśpiewał. Śpiewała za niego cała publiczność. W tej chorobie czuł jakąś niezwykłą potrzebę bycia kochanym”**[77]**.

---

76 Za: *Ibidem*.

77 Za: *Ibidem,* s. 198.

Rok później zdecydował się jednak na trasę koncertową po USA. Pojechał z nim Łukasz, który na koncertach grał na gitarze w zespole towarzyszącym. Niewykluczone, że dla obu panów była to forma pogodzenia się po traumatycznych przejściach związanych ze zniknięciem syna.

„Przez półtora miesiąca zagraliśmy łącznie 40 koncertów w USA i Kanadzie – opowiadał Łukasz. – [...] Po raz pierwszy wystąpiłem przed publicznością i zagrałem solo do utworu *Korowód*. Fakt, że akompaniowałem ojcu, odnotowała nawet prasa polonijna. [...] Zrozumiałem wtedy, czym było 35 lat kariery ojca, czym było jego życie artysty. Cieszyłem się, że pojechałem w tę trasę, bo ojcu bardzo na tym zależało. A ja chciałem mu zrobić przyjemność, kiedy wróciłem do domu po dwóch latach nieobecności”**[78]**.

Grechuta potrafił zmobilizować się na tę trasę, jednak kosztowało go to bardzo wiele. Znajomi, którzy nie widzieli go przez ostatnich kilka lat, byli przerażeni jego wyglądem i zachowaniem.

„Marek nie był już cherubinkiem i nie wyglądał na ucznia gimnazjum – relacjonował Bogusław Kaczyński. – Bardzo utył, twarz mu się zmieniła. [...] Nic nie wiedziałem o jego chorobie aż do momentu, gdy w rozmowie pojawiły się niepokojące sformułowania. Powiedział:

– Wiesz, mam syna.

– Tak, słyszałem.

– Ale on ma kwadratową głowę.

Oniemiałem. Żeby poważny człowiek, którego darzę sympatią...

---

78 Za: *Marek Grechuta we wspomnieniach syna...*

– Jak to? – pytam.

– Kiedy spał, usiadłem przy łóżku i patrzę, a głowa kwadratowa.

Mówił to z największą powagą. Krew odpłynęła mi do stóp. Wiedziałem, że z Markiem jest niedobrze, jeśli opowiada takie rzeczy”**[79]**.

Ze względu na stan zdrowia Marek nie nagrywał nowych płyt, na rynku pojawiały się jednak albumy kompilacyjne i koncertowe. Na nowy materiał trzeba było poczekać aż do 2003 roku, kiedy ukazała się płyta *Niezwykłe miejsca,* poświęcona jego ulubionym miastom. Album zawierał wspaniałą muzykę, ale od strony wokalnej okazał się klęską i właściwie można go uznać za zapis postępującej choroby artysty, który nie chciał się poddać i walczył do końca. Ucierpiała jednak muzyka, o czym można się przekonać, porównując utwory zarejestrowane wcześniej (*Widok z balkonu, Mój zaczarowany świat*) z wersjami zamieszczonymi na płycie. Zapewne sam Grechuta bardzo chciał wydać tę płytę, szkoda jednak, że ukazała się ona w takiej postaci.

„Czy nie lepiej pozostawić swoją legendę? – pytała Iwona Thierry z Polskich Nagrań. – Zejść ze sceny niepokonanym? Świetnie rozumiem Ewę Demarczyk, która od dawna nie występuje, nie pokazuje się publicznie. […] Dlatego zastanawiam się, czy walka o bycie na scenie za wszelką cenę ma sens. Odpowiedzi nie znam”**[80]**.

Marek Grechuta zmarł 9 października 2006 roku w Krakowie. Bezpośrednią przyczyną śmierci była niewydolność krążenia.

---

79 Za: M. Sztokfisz, op. *cit.,* s. 200.

80 Za: *Ibidem,* s. 219.

Rozdział 2
Życie i śmierć króla polskiego bluesa

„Ten człowiek cały czas uciekał przed przymusem – wspominał **Ryszarda Riedla** *jego znajomy, Bogdan Lisek – szkołą, pracą od siódmej do piętnastej. Chciał skonstruować swoje życie wolne od przymusu, uciec między innymi poprzez narkotyki, ale one wytworzyły jeszcze ostrzejszy przymus […] i Riedel był w matni”.*

Byłem w tym kanale i to jest opis pewnych sytuacji – mówił Ryszard Riedel w jednym z wywiadów. – Robię to w taki sposób, żeby słuchacze wiedzieli, że to jest złe, a oni odbierają to odwrotnie. To straszne! Przecież rozumieją, o czym śpiewam, potem jakby zapominali i ograniczają się do naśladowania faceta, który to przeżył"**[81]**.

Niestety, ta wypowiedź Ryszarda Riedla, sugerująca jego wyjście z nałogu narkotykowego, okazała się zbyt optymistyczna. Jeden z najwybitniejszych polskich wokalistów, frontman kultowej grupy Dżem, człowiek, bez którego nie można sobie wyobrazić polskiego bluesa, ostatecznie przegrał walkę z nałogiem. Kilka razy próbował z nim zerwać, ale zawsze wracał do narkotyków, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że staną się one przyczyną jego przedwczesnej śmierci. Śpiewał o tym otwarcie w swoich piosenkach, przestrzegał innych przed takim losem, ale sam niczego chyba nie chciał zmienić. Pragnął żyć tak jak dotychczas, bez względu na cenę, jaką będzie musiał zapłacić.

---

81 Za: M. Boroń, *Ostatnie dni Ryśka Riedla. 20 rocznica śmierci,* http://muzyka.interia.pl/rock/news-ostatnie-dni-ryska-riedla-20-rocznica-smierci,nId,1666865

SAMOTNOŚĆ W TŁUMIE

Riedel właściwie nigdy nie potrafił wytrzymać kuracji odwykowej i powracał do dawnego trybu życia. Koledzy z Dżemu często grali bez niego, czasami towarzyszył im Tadeusz Nalepa, ewentualnie Monika Adamowska lub Ireneusz Dudek. Na znakomicie płatne tournée po ZSRR wybrali się razem z Martyną Jakubowicz. Miała to być kara dla niesubordynowanego wokalisty, przy czym chyba niezbyt dotkliwa, bo on sam niespecjalnie chciał tam jechać. Obawiał się, że na wschód od Bugu nie znajdzie dostawców narkotyków, a ich przemyt przez granicę groził bardzo surowymi konsekwencjami.

Pomimo tych wszystkich problemów zespół nie myślał wtedy poważnie o poszukiwaniach nowego, stałego wokalisty. Rysiek był idolem i człowiekiem, którego uznawano za absolutnego geniusza. Dla fanów pozostawał najważniejszą postacią w zespole. Dlatego wciąż tolerowano jego zachowanie.

„Przyjechał zielony, zieloniutki – opisywał sesję nagraniową płyty *Najemnik* menedżer zespołu, Marcin Jacobson – już nie tylko bez tekstów (o których od roku mówił, że ma gotowe), ale właściwie nawet bez szkiców, jedynie z jakimiś pourywanymi myślami, lecz nie dało się ich poskładać. Chłopaki jechali do studia nagrywać podkłady, a ja go – dosłownie – zamykałem na klucz w hotelu, żeby coś napisał”**[82]**.

Będąc w takim stanie, raczej nie mógł pisać dobrych tekstów, ale jego interpretacja maskowała niemal wszystkie niedoskonałości. Nawet najbardziej błahe slogany brzmiały w jego wykonaniu

---

82 Za: J. Szkaradziński, *Rysiek,* Czerwonak 2014, s. 112.

interesująco, bo kiedy był w formie, potrafił tak oczarować publiczność, że zespołowi zdarzało się aż piętnaście (!!!) bisów.

Nie zmienia to jednak faktu, że podczas tej samej sesji Dżem zarejestrował jeszcze jedną płytę studyjną, tym razem wyłącznie z materiałem instrumentalnym. Dzięki temu zespół mógł występować na koncertach bez awaryjnie zatrudnianych wokalistów, gdy Rysiek znów gdzieś się zawieruszył.

„Ten człowiek cały czas uciekał przed przymusem – wspominał jego znajomy, Bogdan Lisek – szkołą, wojskiem, pracą od siódmej do piętnastej. Chciał skonstruować swoje życie wolne od przymusu, rygorów, obowiązku. Nie wiedział, że jest to niemożliwe. Bo pojawił się następny przymus – terminy zakontraktowanych koncertów, opłaconego studia. Chciał od niego uciec między innymi poprzez narkotyki, ale one wytworzyły jeszcze ostrzejszy przymus, który nałożył się na pierwszy – i Riedel był w matni”**[83]**.

Uzależnienie od narkotyków sprawiało, że z każdym rokiem coraz bardziej oddalał się od pozostałych członków grupy. Coraz częściej też „miał wszystkiego dość” i uciekał od „bagażu wymagań, oczekiwań, całej otoczki gwiazdorstwa”, a nawet od fanów, bo „ludzie po koncercie go męczyli”.

Wolał wtopić się w tłum i zachować anonimowość. Lubił kontakty z ludźmi, ale chciał, aby miały one miejsce tylko wtedy, gdy ich naprawdę pragnął.

„Ja go nie kojarzę jako faceta bawiącego się, rozkręconego gwiazdora – opowiadał Jurek Owsiak.

---

83 Za: *ibidem,* s. 110.

– […] Nie widziałem też jakichś lasek obok niego, nie widziałem tego szumu, który był przy niektórych muzykach. Był facetem skromnie ubranym, z tą przepaską na włosach, zamkniętym w sobie […]”**[84]**.

Wielu fanów chciało go naśladować, wytworzyła się też specyficzna moda na „ćpanie z Riedlem”. Mnóstwo wielbicieli marzyło o wzięciu dawki narkotyku razem ze swoim idolem, a on okazał się zbyt słaby, aby się temu oprzeć.

„To było ważne tak zaćpać z wielkim Ryśkiem – tłumaczył inny znajomy Riedla, Waldemar Łata – to było nobilitacją dla nich. […] To oni oczywiście go sprowadzali na pewien niższy poziom… facet, który przed koncertem musi zaćpać, […] wziąć dwa centy kompotu, żeby wyjść i zaśpiewać dobry koncert”**[85]**.

Chociaż w wielu tekstach przestrzegał przed braniem narkotyków, jego fani rozumieli to całkiem inaczej. Opisy cierpienia uważali za element kreacji scenicznej i nie rozumieli, że ich idol od pewnego czasu chciał zerwać z nałogiem, ale nie miał na to siły i tracił resztki kontroli nad swoim życiem…

„Nie docierało do niego – skarżyła się żona Ryśka – że życie to walka, obowiązki, podejmowanie decyzji, kolejne sprawy do załatwienia […]. Umawiał się na zasadzie »będę jak przyjdę«. Dosłownie jedynym terminem, o którym nie zapominał, był telefon do ZAiKS-u, kiedy przyślą pieniądze. Jeśli po przyjściu z pracy pytałam, czy załatwił, co miał załatwić, odpowiadał: »Wiesz – nie, już było za późno, nie zdążyłem« […]”**[86]**.

---

84 Za: *Sie macie, ludzie,* reż. K. Magowski, TVP 2 2004.

85 Za: *ibidem*.

86 Za: J. Szkaradziński, *op. cit.,* s. 135.

Pamięć o telefonie do ZAiKS-u nie powinna specjalnie dziwić, gdyż nawet Ryszard Riedel zdawał sobie sprawę z tego, że na narkotyki potrzebne są pieniądze. A jego narkotykowe wydatki ciągle rosły, bo do brania przyuczył również żonę.

WOLNY CZŁOWIEK Z TYCHÓW

„Pierwszy raz zobaczyłem Ryśka, kiedy szedł ulicą, tuż obok mojej szkoły – wspominał jego znajomy, Maciej Sikorski. – Mieliśmy przerwę i byliśmy na podwórku, a jego widok był tak niezwykły, że podbiegliśmy w kilka osób do metalowej siatki [...]. My, czternastoletni chłopcy, ubrani w mundurki z plastiku i bisiorowe spodnie. On – jak kolorowy ptak, tak bardzo inny od wszystkich ludzi, których mogliśmy wtedy zobaczyć”**[87]**.

Niechęć do życia zgodnego z ówcześnie obowiązującymi normami była rodzajem buntu przeciwko stosunkom panującym w domu rodzinnym. Ojciec preferował tradycyjny model rodziny, nie okazywał też uczuć. Ryszard i jego siostra mieli czasami wrażenie, że Jan Riedel ich wręcz nie lubił.

„[...] Ojciec, jak byliśmy mali – wspominała Małgorzata Riedel – przychodził o godzinie 7 z pracy i pierwsze jego zdanie [brzmiało], dlaczego one jeszcze nie śpią. On nie chciał nas widzieć. On był szczęśliwy, że do domu przyszedł, wiadomo – zmęczony był, chciał być tylko z moją mamą, bo w

87 Za: Abym mógł przed siebie iść. Opowieść o Ryśku Riedlu, https://stacja7.pl/kultura/abym-mogl-przed-siebie-isc-opowiesc-o-rysku-riedlu/

zasadzie moja mama to dla niego była zastępczą matką”**[88]**.

Do tego okazał się człowiekiem wyjątkowo oszczędnym, przez co dzieci nie opływały w dostatki – chodziły w mocno znoszonych ubraniach, a Rysiek nawet zimą nosił trampki. Jan Riedel miał swoje ambicje, jego największym marzeniem zaś był zakup samochodu marki Syrena. A kiedy kupił już to wymarzone auto, zaczął intensywnie myśleć o tym, by zmienić je na lepsze. Ponadto uznał, że prawdziwy kierowca musi wybudować garaż.

„Pieniędzy nie było – kontynuowała Małgorzata – [...] kiedyś miałam problem i poszłam do koleżanki pożyczyć pieniądze, bo musiałam sobie kupić środki opatrunkowe i ona tak popatrzyła na mnie. Jak to? Wy nie macie pieniędzy? Przecież wy macie auto. To mi się w tym momencie zrobiło tak wstyd, mówię: »kurczę pieczone, w zasadzie ona miała rację«. Ale ojcu to było obojętne, on chciał ten swój cel osiągnąć, obojętnie jaką drogą. Dlatego też Rysiek nigdy nie interesował się dla pieniędzy, bo on nie chciał być podobny w tym do ojca”**[89]**.

Inna sprawa, że przyszły muzyk w ogóle nie był stworzony do życia w otaczającym go świecie. W szkole interesowały go wyłącznie zajęcia z plastyki i faktycznie przejawiał duży talent w tej dziedzinie. Ale nawet z tego przedmiotu nie otrzymywał dobrych ocen, a jego matka po latach wyrażała zdumienie, że „w ogóle nauczył się czytać i pisać”.

Trudno jednak powiedzieć, że nauka mu „nie szła” – raczej w ogóle nie był nią zainteresowany.

---

88 Za: *Sie macie...*

89 Za: *ibidem*.

Dwa razy powtarzał klasę, a edukację ukończył na klasie siódmej.

Nie przepadał też za sportem, a złośliwi twierdzili nawet, że najwięcej miał z nim do czynienia, gdy palił papierosy o tej nazwie. Już w późniejszym okresie nie mógł się nadziwić, że jego koledzy z zespołu tak bardzo lubią ping-ponga, i zastanawiał się głośno, czy kiedykolwiek zrozumie zasady tej gry.

W Tychach, gdzie mieszkał wraz z rodziną, uważano, że „na niczym mu nie zależy". Wprawdzie pod naciskiem ojca wielokrotnie próbował znaleźć stałe zatrudnienie, ale okazało się to beznadziejną sprawą. W nowych miejscach pracy pojawiał się tylko przez kilka dni, po czym – znudzony – „przestawał przychodzić", a jego osobistym rekordem było dwugodzinne zatrudnienie w charakterze pomocnika murarza.

„O normalnej pracy nie było mowy – wspominał jego kolega, Wojciech Denkiewicz. – Pamiętam, jak kiedyś wracaliśmy skądś nad ranem i mijaliśmy człowieka w kolejarskiej czapce z teczką, w której pewnie trzymał zawinięte w papier śniadanie. »Wiesz – powiedział wtedy do mnie Rysiek – wolałbym sobie w łeb strzelić, niż tak jak on codziennie do tyrki«"**[90]**.

Riedel „zaliczał" kilka firm miesięcznie, przez co data wypłaty była dla niego pewnym problemem. Właśnie tego dnia musiał odwiedzić parę przedsiębiorstw, aby otrzymać należne pieniądze, co stanowiło pewien kłopot logistyczny. Wprawdzie jego wypłaty nigdy nie były zbyt duże, ale nie zamierzał z nich rezygnować, tym bardziej że wystarczały na

---

90 Za: J. Szkaradziński, *op. cit.,* s. 48.

zakup niemałej ilości piwa i wina patykiem pisanego. Żył z dnia na dzień i nie przejmował się przyszłością.

„Stoję w barze Pod Jesionami – opowiadał jego znajomy, Wojciech Senkiewicz – a on przychodzi do mnie cały biały, z mąki, bo okazało się, że on musi teraz – tatuś kazał mu – pracować w młynie w Tychach. Powiedział: »Nigdy więcej – raz, raz jeden i ostatni. Koniec«"**[91]**.

Początkowo Riedel przeżywał wielką fascynację Dzikim Zachodem i kulturą indiańską, potem pierwsze miejsce zajęła muzyka, której bardzo często słuchał. Chciał mieć własny zespół i razem z nim grać. Wiele czasu poświęcał na doskonalenie gry na harmonijce ustnej, marzył też o karierze wokalisty. Harmonijka była stałym atrybutem śpiewających bluesmanów, a najlepsi specjaliści tego gatunku w Polsce pochodzili ze Śląska. Podobno przyczyną tego był fakt, że kiedy górnicy wychodzą po szychcie, są czarni jak Murzyni…

„[…] opowiadał, że pracował kiedyś w fabryce malucha – relacjonował perkusista, Michał Giercuszkiewicz. – Na jakiejś sztancy, która odbijała wielkie blachy maluchopodobne. Strasznie chciał grać na organkach, tam był hałas niesamowity, i jak tylko była chwila przerwy, to gdzieś na tych organkach ćwiczył"**[92]**.

Matka ze smutkiem przyznawała, że Rysiek „nie był stworzony do pracy" i nie potrafił się poddać żadnym rygorom. Idealnie wpisywał się w ideologię dzieci kwiatów – miał duszę hipisa i najwyżej cenił

---

91 Za: *Sie macie…*

92 Za: *Sen o Victorii, reż.* T. Nowak, A. Szymanek, TVP Łódź 1994.

wolność osobistą. Fatalnie to zaważyło na jego życiu prywatnym i karierze muzycznej.

„Rysiek w ogóle był pozbawiony dyscypliny – potwierdzał pierwszy menedżer Dżemu, Marek Hanke. – Mnie osobiście to bardzo nie pasowało, gdyż musiałem pewne rygory narzucać. I między nami bardzo często były takie sytuacje, ja mówię: »Rygiel! Jak Ty mi jutro nie przyjdziesz, kurwa, na tę próbę, to cię zabiję«”**[93]**.

A on, jeśli nawet przychodził, to z reguły bardzo niepunktualnie. Nigdy nie nosił zegarka (jedyny posiadany egzemplarz szybko sprzedał), czas był dla niego pojęciem abstrakcyjnym. Nie miał też zwyczaju się spieszyć, a muzykę postrzegał jako przyjemność, a nie obowiązek.

„Niby próbował grać na gitarze, ale nie wyszedł poza szczeniackie próby złożone z trzech akordów na krzyż – wspominał kolejny z jego znajomych, późniejszy rzeźbiarz. Piotr Boroń. – Bo żeby grać porządnie, trzeba poćwiczyć. Dlatego wracał do harmonijki – instrumentu prostego nie tylko jeśli chodzi o noszenie, w obsłudze też”**[94]**.

W czasach PRL brak pieczątki o stałym zatrudnieniu w dowodzie osobistym był jednak poważnym problemem. Milicja z reguły zatrzymywała takie osoby do wyjaśnienia, a długie włosy i nietypowy strój również nie budziły sympatii funkcjonariuszy.

„Jak nas zamykali, tak nas zamykali – przyznawał szkolny przyjaciel Ryśka, Zygmunt Pyduch (»Pudel«). – My się do tego już przyzwyczailiśmy, bo w ich oczach byliśmy

---

93 Za: *Sie macie...*

94 Za: J. Szkaradziński, op. *cit.,* s. 49.

niebieskimi ptakami. Nie pracowaliśmy, a ich to, kurwa, bolało, że mieliśmy na piwo, a nic nie robiliśmy. I oni tego nie mogli zrozumieć, chociaż »Rygiel« im mówił, że my są artyści, wolny zawód tak zwany, a oni nic i tylko 48 godzin bez przesłuchań, bez niczego, od dechy do dechy”**[95]**.

„Pudel” zawsze twierdził, że Rysiek „to chyba wolność miał na drugie imię” i chciał żyć zupełnie inaczej niż jego ojciec i sąsiedzi. Razem regularnie uciekali z domu, raz postanowili nawet poszukać wolności w Szwecji, a dzieje ich wyprawy znamy z relacji „Pudla”:

„[…] powiedział: »Pudel, dalej się nie da«. A był to rok 73. Jechaliśmy – tak nam się jakoś udało – 36 godzin stopem. Dojechaliśmy do tego Kołobrzegu, no i wtedy Rygiel stwierdził, że »dalej się nie da, Szwecja za daleko«”**[96]**.

Upodobanie do wędrownego trybu życia miał przejawiać do końca życia, bez względu na swoją pozycję zawodową i obowiązki rodzinne. Miał duszę trampa i nigdy nie chciał tego zmienić.

Pod koniec lat 70. wraz z »Pudlem« przeżył inicjację narkotykową, a w roli wprowadzającego wystąpił niejaki „Słoniu” (Sławomir Olczak), będący już wtedy doświadczonym narkomanem.

„Usiedli sobie – wspominał »Słoniu« – a ja akurat wróciłem z pola, miałem troszeczkę tego zielonego, na łyżce sobie to robiłem. Zapytałem się: »chcecie sobie przyćpać?«, a oni: »no, ja« [tak – S.K.]. No, to dałem im przyćpać i tak się zaczęło. […]

---

95 Za: *Sie macie…*

96 Za: *ibidem*.

Mnie też ktoś tego nauczył, nie wzięło się to z powietrza”**[97]**.

Trzy lata później Rysiek był już uzależniony, a zadecydował o tym nie tyle tryb życia muzyka (zespół Dżem zdobywał już popularność), co raczej charakter „Rygla”. „Pudel” uważał, że gdyby „Słoniu” nie dał im wtedy narkotyku, to i tak obaj „doszliby do tego”, tym bardziej że „grzanie zielonego maku, a później kompotu” stawało się coraz bardziej popularne.

„Polska heroina pojawiła się w życiu Ryśka na początku lat 80. – wspominał autor tekstów Dżemu, Kazimierz Galaś (»Filo«). – Sięgnął po nią z ciekawości. Wówczas nie przypuszczał, że był to najgorszy wybór, jakiego dokonał w życiu”**[98]**.

GOLA

Przyszłą żonę, Małgorzatę Pol (kuzynkę słynnego piłkarza, Ernesta Pohla), poznał w wieku piętnastu lat. Byli rówieśnikami, a ona właśnie kończyła szkołę podstawową i zamierzała podjąć dalszą naukę w technikum. Chociaż doskonale zdawała sobie sprawę z faktu, że Riedel kompletnie nie nadawał się na męża i ojca rodziny, to jednak była w nim zakochana bez pamięci. Pogodziła się z jego przyzwyczajeniami i nagłymi wypadami „w Polskę”, ale zawsze starała się go odnaleźć, za co on nazywał ją „Szpiegiem Szoguna”. Czasami starał się ją wręcz zniechęcić do dalszej znajomości, choć przecież nie wyobrażał sobie bez niej życia.

---

97 Za: *ibidem*.

98 Za: E. Kaszyca, *Biała i czarna legenda Ryszarda Riedla*, Katowice 2008, s. 29.

„Gola, prosta dziewczyna – wyjaśniał Hanke – tolerowała jego tryb życia, jego wyskoki. Gdzie on się pojawił, ona za nim. Ale również dzięki temu doszedł, jako artysta, tam gdzie doszedł”**[99]**.

Wiele wyjaśnia wyznanie Małgorzaty, że kiedy Rysiek był tylko z nią, to „potrafił być normalny, nawet romantyczny”. Wszystko jednak miało się zmieniać, gdy przebywał „w towarzystwie kolegów”, gdyż z „natury był uległy”. Trudno nie odnieść wrażenia, że w ten sposób wiele kobiet tłumaczy wady swoich partnerów.

W filmie Jana Kidawy-Błońskiego *Skazany na bluesa jest* scena, w której ciężarna Gola mdleje podczas szkolnego koncertu Ryśka, a ten natychmiast przestaje śpiewać i rusza ratować swoją dziewczynę. Scena bez wątpienia poruszająca, ale niemająca nic wspólnego z rzeczywistością, gdyż Riedel w takiej sytuacji zachowałby się zupełnie inaczej.

„To czysta fantazja reżysera – mówiła Gola po latach. – Nie było czegoś takiego. Była [natomiast] taka sytuacja, że mając kilkanaście lat, Rysiek grał na akademii szkolnej, a ja tam przyszłam, ale nie byłam wtedy w ciąży. Zresztą ja sobie nie wyobrażam, żeby Rysiek zeskakiwał ze sceny, bo Gosia zemdlała. Nie, on by to zostawił w spokoju, powiedziałby, »da sobie radę« i dokończyłby spokojnie koncert”**[100]**.

W rzeczywistości Gola zaszła w ciążę w połowie 1977 roku, w związku z czym na listopad wyznaczono termin ślubu. Jednak takie drobiazgi jak odmienny

---

99 Za: J. Szkaradziński, *op. cit.,* s. 53.

100 Za: *Wywiad z Golą Riedel,* http://dzemfc.blogspot.com/2013/11/wywiad-z-gola-riedel.html

stan narzeczonej i zbliżająca się uroczystość nie potrafiły oderwać Riedla od „ważniejszych spraw".

„[…] przed samym ślubem nie było go miesiąc w domu… nie wiem, może z radości? – wspominała Małgorzata. – Aż tak długo trwało jego »kawalerskie«. I w dniu, kiedy ślub braliśmy, wciąż go nie było"**[101]**.

Przyszła panna młoda nie wiedziała nawet, czy ma udać się do fryzjera, czy też odwołać umówioną już wizytę. Ostatecznie doszła do wniosku, że nowa fryzura nie zaszkodzi, tym bardziej że dobrze znała Ryśka i podejrzewała, że pojawi się w ostatniej chwili… albo trochę później.

„Była jakaś taka impreza z piątku na sobotę – opowiadał Marek Hanke. – Rano, sobota. Rygiel nagle wstaje, budzi mnie i mówi: »Ty, słuchaj, Marek, co to dzisiaj jest?« Ja nie bardzo jeszcze przytomny odpowiadam, że chyba sobota. On mówi: »Kurwa! Ty, ja mam dzisiaj ślub«. I szybko, nerwowo założył trampki i pobiegł na ten ślub. A ja, jeszcze będąc na klatce, mówię: »Ale, Rygiel, my mieliśmy jeszcze do Kołobrzegu dzisiaj jechać«. On mówi: »Dobra, dobra, toja zaraz wrócę«"**[102]**.

Oczywiście nie wrócił i do Kołobrzegu nie pojechał, ale za to następnego dnia zniknął z domu. Najwyraźniej fakt, że właśnie poślubił Małgorzatę, nic w jego życiu nie zmienił.

„Pamiętam, jak dzień po ślubie poszedł odprowadzić Danka [Bogdana Lisika – S.K.] na dworzec i wrócił po dwóch tygodniach – wspominała

---

101 Za: *Sie macie…*
102 Za: *ibidem*.

Gola. – Okazało się, że oni przez dwa tygodnie siedzieli na działkach i pili”**[103]**.

Lisik miał na ten temat odmienne zdanie. Dla niego był to przejaw łączącej go z Riedlem głębokiej więzi, której nawet małżeństwo przyjaciela nie mogło zerwać.

„Te dwa tygodnie – opowiadał – potwierdziły pewną bliskość moją i jego. […] Nie było żadnego rodzaju męczarni. Ludzie z sobą przebywają latami […] i nieraz pojawia się jakaś nuda, pojawiają się jakieś konflikty różnego rodzaju. A ja zwykle potrafiłem milczeć, a milczenie jest pewnego rodzaju porozumieniem i formą przyjazni”**[104]**.

Podobnie Riedel zachował się przed nadchodzącym porodem żony. Kilka dni wcześniej wyszedł z domu „opić sprawę”, a o narodzinach Sebastiana dowiedział się od teściowej. I oczywiście uznał to za znakomity powód, aby „dalej opijać”…

W tym czasie toczył zacięty bój z Wojskową Komendą Uzupełnień, gdyż groziło mu powołanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Nie odbierał kolejnych wezwań, a kiedy wreszcie doręczono mu jedno z nich, wykorzystał fakt, że zaszła pomyłka w imieniu, bo zaadresowano je do Henryka Riedla (w rzeczywistości było to jego drugie imię). Szansą na uniknięcie służby stała się ciąża Goli, a potem narodziny syna. Jedynych żywicieli rodzin nie powoływano do wojska, ale on przecież nigdzie nie pracował. Wobec tego pozwolono mu odpracować wojsko w jednej z fabryk, co nie do końca się udało, bo zgodnie z tradycją szybko porzucił ten obowiązek. Znów przychodziły kolejne wezwania, aż wreszcie

---

103 Za: *Sen o Victorii…*
104 Za: *ibidem*.

wojsko dało za wygraną i przeniosło go do rezerwy w stopniu szeregowego. Wpływ na to miało przyjście na świat drugiego dziecka Riedlów – Karoliny. „Pudel" widział to jednak zupełnie inaczej: „Nas nawet do wojska nie chcieli wziąć, kurwa! Te majory na nas patrzeć nie chciały. [...] Wszyscy byli w wojsku, a Rygiel i ja – nie, bo nas nie chcieli, bo my byśmy im, kurwa, to wojsko zdemoralizowali"**[105]**.

DŻEM

Pierwszy zespół założył już w szkole podstawowej, a potem przyszedł czas na Horn i Festus, a właściwie na jedną formację, która na przemian używała obu tych nazw. W jej repertuarze dominowały covery zachodnich wykonawców, jednak większość z nich przekraczała możliwości młodych instrumentalistów. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę sam Riedel, który nie wiązał ze swoimi zespołami większych nadziei: „Mówił mi, że to nie to – wspominał »Pudel«. – Że gitarzysta cały czas chciał grać solówki, a bębniarz nie umiał nie zagłuszać kapeli. Poza tym mieli bardzo marny sprzęt, to znaczy nie mieli go w ogóle. Na radiach grali.... Pamiętam, jak ciągle powtarzał: »To nie może tak być«"**[106]**.

O dalszych losach Ryśka zadecydował przypadek, a właściwie wizyta w Zakładowym Domu Kultury „Górnik" w Tychach. Właśnie tam jesienią 1973 roku razem z „Pudlem" po raz pierwszy usłyszał grupę Dżem. Wprawdzie zespół nie nosił jeszcze żadnej nazwy, ale grał już bardzo dobrze.

---

105 Za: *Sie macie...*
106 Za: J. Szkaradziński, op. *cit.*, s. 64-65.

„[…] odpadliśmy – przyznawał Pyduch – bo faceci grali niesamowicie. Adam [Otręba] już ciął takie solówki, że mózg się lasował… »Ryglowi« bardzo spodobał się bębniarz – Olek Wojtasiak. […] Pamiętam, jak powiedział ni to do mnie, ni to do siebie: »Kurde, z tą kapelą byłoby niesamowicie«”**[107]**.

W zespole śpiewał wówczas pianista Paweł Berger, który dysponował niezłym głosem, ale nie mógł się równać z Ryśkiem. Członkowie grupy przekonali się o tym w czasie przesłuchania „Rygla”.

„Buty nam spadły, jak dał głos – opowiadał Berger – ale niczego po sobie poznać nie daliśmy, żeby małolatowi się w głowie nie poprzewracało”**[108]**.

Rysiek był młodszy od swoich nowych kolegów o kilka lat, ale jego głos idealnie pasował do muzyki zespołu, wobec tego zaproponowano mu rolę wokalisty. Grupa niebawem przyjęła nazwę Jam, ale ktoś kiedyś na plakacie przypadkowo ją spolszczył i tak już zostało.

„[…] jako muzyk był genialny – wspominał gitarzysta, Adam Otręba. – […] Potrafił imitować głosy wszystkich wokalistów, których lubił. Od Cockera przez Paula Rodgersa, ale potrafił też zaśpiewać jak Stevie Wonder. Pamiętam, że kiedyś przyszedł na próbę i powiedział: »A zaśpiewać wam jak Czesław Niemen, na przykład?«. I śpiewał jak Czesław Niemen”**[109]**.

Chociaż członkowie zespołu coraz lepiej się rozumieli, to przez kilka kolejnych lat grupa miała

---

107 Za: *ibidem,* s. 65.
108 Za: *ibidem,* s. 66.
109 Za: *Sen o Victorii…*

status całkowicie amatorskiej. Jej skład ulegał częstym zmianom, muzycy (łącznie z Riedlem) udzielali się w innych śląskich formacjach, mających wówczas wyższe notowania. Niektórzy od czasu do czasu wyjeżdżali za granicę grać „do kotleta". Decydujący dla losów Dżemu okazał się występ na festiwalu w Jarocinie w 1980 roku, gdzie zespół dosłownie poderwał na nogi całą widownię i chociaż nie wygrał imprezy, to dostał zaproszenie na Pop Session w Sopocie.

„Tam właśnie po raz pierwszy – relacjonował publicysta muzyczny, Roman Radoszewski – wobec ogromnego audytorium amfiteatralnego. Dżem kupił sobie ogólnopolską publiczność, która przyjechała posłuchać laureatów reprezentujących bardzo różne gatunki muzyczne, a wychodziła z koncertu przekonana, że największą osobowością i największym objawieniem festiwalu jest właśnie Dżem"**[110]**.

Nie oznaczało to jeszcze stabilizacji, gdyż grupa niebawem zawiesiła działalność, a osobą, która najbardziej nalegała na jej wznowienie, okazał się Riedel. Chociaż nie brakowało mu ofert z innych zespołów, to uznał, że właśnie z Dżemem może osiągnąć najwięcej, bo w nim ma największą swobodę twórczą.

„[...] był wielkim artystą – zachwycał się Zbigniew Hołdys. – Wielkim talentem. Gdy śpiewał, dostawał spazmów, a ludzie truchleli. I ja też truchlałem. Gdyby urodził się bardziej na zachód,

---

110 Za: *Sie macie...*

byłby kimś ważnym dla całego rockowego świata”**[111]**.

Rok później Dżem ponownie wystąpił w Jarocinie, tym razem już w roli gwiazdy. Wykrystalizował się też jego ostateczny skład i od tej pory przez wiele lat zmieniali się tylko perkusiści. Rysiek znakomicie rozumiał się z kolegami pod względem muzycznym, jednak jak zwykle chodził swoimi ścieżkami. Prawdziwe więzy przyjaźni połączyły go tylko z ówczesnym bębniarzem, Michałem Giercuszkiewiczem, gdyż obaj prezentowali podobne podejście do życia.

„Pamiętam, jak jechaliśmy na koncert do Jarocina – wspominał ich wspólny znajomy, Waldemar Łata. – […] Członkowie Dżemu zawsze byli racjonalni, zawsze byli stabilni. Zawsze też mieli pieniądze na życie. A my – z Ryśkiem i Michałem, perkusistą – nie mieliśmy nic. Nie byliśmy zorganizowani ani coś umiejący zorganizować. […] W Jarocinie czekało kilka tysięcy ludzi, a my jedliśmy w barze, gdzieś tam na trasie, jedną pomidorówkę i trzy bułki. Ja, Michał i Rysiek. Byliśmy głodni i zmaltretowani, ale było fajnie”**[112]**.

Pomimo ubóstwa i braku dyscypliny to właśnie Riedel miał wówczas największe ambicje – albo raczej marzenia – o których nie wahał się głośno mówić. Koledzy z zespołu byli zwolennikami małych kroków, wobec czego cieszył ich każdy, nawet niewielki sukces, natomiast on nie ukrywał, że marzy o tysiącach fanów, wielkich koncertach i milionach sprzedanych płyt.

---

111 Za: J. Szkaradziński, *Dżem. Ballada o dziwnym zespole,* Poznań 2009, s. 38.

112 Za: *Sie macie…*

NAJLEPSZA GRUPA KONCERTOWA W KRAJU

Dżem zdobywał coraz większą popularność, co jednak nie przekładało się na sukcesy fonograficzne. W czasach PRL nic bowiem nie było normalne, przez co grupa, która budziła zachwyt na koncertach, wcale nie mogła być pewna tego, że wyda płytę długogrającą. O wszystkim decydowały władze, a one, choć uważały rock za swoisty „wentyl bezpieczeństwa", nie popierały grup tak wyraźnie nawiązujących do zachodnich wzorów. Blues, jako muzyka o amerykańskim rodowodzie, nie był mile widziany nad Wisłą, wobec tego grupy grające w tej konwencji były dyskryminowane. Poza tym Dżemowi brakowało profesjonalnego menedżera, który zadbałby o interesy zespołu.

Początkowo muzykom udało się zarejestrować nagrania dla radia, a dopiero w 1982 roku ukazał się ich pierwszy singiel, na którym znalazła się słynna *Whisky* oraz utrzymany w rytmie reggae *Paw*. Przyznam, że gdy po raz pierwszy usłyszałem ten utwór w radiu, nie mogłem zrozumieć, na czym polega fenomen tej grupy. Podobnego zdania była większość moich znajomych, z wyjątkiem tych, którzy bywali na koncertach Dżemu i twierdzili, że jest to zespół stworzony do tego, by słuchać go na żywo.

O sile oddziaływania grupy w dużym stopniu decydował Rysiek, który bez względu na to, czy śpiewał własne, czy cudze utwory, zawsze był w tym autentyczny.

„Zdecydowanie był tym twórcą duchowym zespołu – wyjaśniał Hanke. – Dżem nie miałby duszy, gdyby nie było Ryśka. Dżem był wykonawcą, rzemieślnikiem [...], ale zdecydowanie liderem artystycznym był »Rygiel«. On przynosił teksty, on

pracował nad tekstami innych, zwracał bardzo dużą uwagę na to, co w tych tekstach jest”**[113]**.

Chociaż muzycy Dżemu konsekwentnie unikali tematów politycznych, nie obyło się bez pewnych problemów. Otóż gdy do Programu III Polskiego Radia trafił znakomity utwór *Dzień,* w *którym pękło niebo,* Marek Niedźwiecki stwierdził, że cenzura na pewno go zatrzyma. I nie chodziło wcale o tekst Riedla, ale o to, że nagranie uzupełniono krakaniem wron, które mogło się kojarzyć z Wojskową Radą Ocalenia Narodowego (WRON).

W lipcu 1984 roku podczas FAMY w Świnoujściu muzycy nagrali materiał, który niebawem ukazał się na ich kasecie. Miesiąc później wystąpili podczas pierwszej edycji Olsztyńskich Nocy Bluesowych, gdzie fani przyjęli ich jak absolutnych gwiazdorów. Pamiętam, że w dniu koncertu wszyscy od rana czekali tylko na Dżem, choć występowali tam również Tadeusz Nalepa, Stanisław Soyka i Kasa Chorych.

Koncert w Olsztynie miał dodatkowe konsekwencje. Doszło wówczas do decydujących rozmów z Marcinem Jacobsonem, byłym menedżerem nieistniejącej już grupy Krzak. Wkrótce został on pierwszym profesjonalnym kierownikiem Dżemu i odegrał niezwykle ważną rolę w dziejach tej grupy.

„Był to zespół wulkan – opowiadał Jacobson – na scenie chyba tylko TSA miało taką energię. Potem, jak zaczęliśmy pracować, okazało się, że poza znakomitym poziomem muzycznym są pełnymi amatorami”**[114]**.

---

113 Za: *ibidem*.

114 Za: *Dżem,* reż. P. Aleksowski, 1994.

Jacobson, wykorzystując swoje kontakty w Polskich Nagraniach, załatwił Dżemowi rejestrację pierwszego longplaya, który okazał się ogromnym sukcesem. Płyta *Cegła* zawierała zestaw najbardziej popularnych utworów, co było normalną praktyką w tamtych latach, jednak wytrawni znawcy twórczości Dżemu narzekali, że zespołowi nie udało się osiągnąć swojego niepowtarzalnego, koncertowego brzmienia.

„Jeśli chodzi o płytę *Cegła* – tłumaczył lider Nocnej Zmiany Bluesa, Sławek Wierzcholski – to są płyty Dżemu, których słucham chętniej. Dżem to przede wszystkim zespół koncertowy, byłem na ich wielu koncertach i wiem, co potrafią robić z publiką [...]. I na niektórych [późniejszych] płytach potrafili oddać atmosferę koncertu, natomiast na *Cegle jej* brakuje. To nagranie jest zbyt wycyzelowane [...], a przez to zatracił się pewien klimat”**[115]**.

Po latach muzycy przyznawali, że podczas nagrań debiutanckiego longplaya zapłacili frycowe i zapewne dlatego ich następny album był wydawnictwem koncertowym. Płytę *Absolutely live,* która ukazała się na rynku w rok po *Cegle,* zarejestrowano na dwóch koncertach w Teatrze STU w Krakowie. Tym razem niemal wszyscy fani byli zadowoleni, bo grupa i jej wokalista zaprezentowali się od jak najlepszej strony. Kolejny album, *Zemsta nietoperzy,* był wprawdzie wydawnictwem studyjnym, ale w nagraniach udało się zachować koncertowe brzmienie zespołu. Niestety, nie zagrał już na nim najlepszy perkusista, jakiego Dżem miał w swojej historii, Michał Giercuszkiewicz. Usunięto go z grupy, próbując ratować Riedla, z którym dzielił on upodobanie do narkotyków.

---

115 Za: *ibidem*.

DROGA W DÓŁ

Jeden z członków legendarnego zespołu The Animals powiedział, że żadna grupa muzyczna nie może sprawnie funkcjonować, gdy część składu nadużywa alkoholu, a reszta bierze narkotyki. Podobnie było z Dżemem, którego większość miała bardzo pozytywny stosunek do alkoholu, podczas gdy Riedel i Giercuszkiewicz tworzyli „frakcję narkotykową". Ciągoty alkoholowe instrumentalistów wcale nie były tak niewinne, jak mogłoby się wydawać, ponieważ panowie nader rzadko ograniczali się do zwyczajowych dwóch, trzech piw.

„Przypominam sobie – wspominał Tadeusz Nalepa – jak poznałem bliżej chłopaków z Dżemu. Graliśmy gdzieś na Śląsku, może to jakaś Rawa była, może to było w Chorzowie, na pewno był jakiś park. Jakaś ciekawa pogoda, chciałem się przespacerować, wyszedłem. Patrzę, a tu kilku jakichś meneli rozpija gorzałkę przy ławce. Zastanawiam się, czy ich znam, bo jakoś się uśmiechali. Nieszczególnie, bo ich nie poznałem, ale oni mnie poznali. I tak przetrenowali parę butelek"**[116]**.

Trening ten doprowadził ich do takiego mistrzostwa, że podczas tournee po ZSRR potrafili przepić członków kazachskiego, zaprawionego w alkoholowych bojach ansamblu Dos-Mukasan. Co prawda zdarzyło im się kiedyś, że w trakcie autokarowej libacji zapomnieli o jednym z kolegów, który na postoju na chwilę wyszedł z pojazdu, ale kłopoty związane z nadużywaniem alkoholu były niczym w porównaniu z problemami Riedla i

---

116 Za: *ibidem*.

Giercuszkiewicza, którzy popadali w coraz większe uzależnienie od narkotyków.

„Ja ich widziałem na trasie – opowiadał Waldemar Łata – cierpieli na straszny głód [narkotykowy]. Rysiek i Michał wyli całymi nocami, mieli bóle nóg i rąk. Straszne. To był taki głód, że jedną noc wytrzymali, a później brali taryfę, nie bacząc na to, że czeka wynajęte studio za ogromne pieniądze, jechali 500 kilometrów po narkotyki, żeby zaspokoić ten głód”**[117]**.

Początkowo koledzy z zespołu nie zdawali sobie sprawy z uzależnienia Ryśka, ale zmiany w jego zachowaniu były coraz bardziej widoczne. Co prawda zawsze był osobą autonomiczną, jednak teraz zdecydowanie oddalił się od reszty grupy.

„Rysiek był niesamowitym kumplem na początku – wspominał gitarzysta grupy, Adam Otręba. – Jak jeszcze pił z nami piwo, bo potem przestał pić, a nie wiedzieliśmy, dlaczego już mu piwo nie smakuje. Ale coś zaczęło się już rysować, że coś jest nie tak”**[118]**.

Dla Riedla i Giercuszkiewicza zdobycie towaru stało się sprawą priorytetową. Nieważne były koncerty, nagrania w studiu czy próby. Liczyły się już tylko narkotyki, a konkretnie to, czy zostaną dostarczone na czas.

Jesteśmy w Krakowie – opowiadał perkusista – sprzęt rozłożony, wszystko stoi, siedzimy w garderobie, czekamy, bo Ryśka nie ma. A on cały czas telefonuje, że za chwileczkę będzie, ale robili towar i czekał, aż skończą […], ale widocznie za wolno robili.

---

117 Za: *Sen o Victorii…*
118 Za: *Dżem…*

Godzinę przeciągnęliśmy [rozpoczęcie koncertu], pełna sala, ludzie czekają”**[119]**.

Usunięcie Giercuszkiewicza niewiele pomogło, bo Riedel coraz bardziej opuszczał się w pracy. Członkowie Dżemu z przerażeniem obserwowali zachodzące w nim zmiany, a szczególnie jego postępujące zobojętnienie na sprawy artystyczne.

„Wcześniej był bardzo aktywny – wspominał basista, Benedykt Otręba – rzucał pomysłami, że numery tworzyły się na próbach razem z nim. […] Dokładał nawet pomysły aranżacyjne, a […] potem coraz rzadziej się pojawiał”**[120]**.

Opuszczanie prób nie było jednak najgorszą jego cechą, bo zdarzało mu się również nie pojawiać się na koncertach. Tysiące ludzi, atmosfera oczekiwania na bluesowo-rockowe święto i… niepewność, czy koncert w ogóle się odbędzie. A przecież dla większości fanów Riedel był symbolem zespołu – człowiekiem, który decydował o jego scenicznej magii. Absencji było coraz więcej i niewiele pomagały próby pilnowania muzyka przez kolegów i menedżera, bo Riedel niemal zawsze potrafił przechytrzyć swoich „opiekunów”.

„To była końcówka lat 80. – relacjonował Jacobson. – Rysiek miał wtedy takie kłopotliwe upodobanie, że po prostu nam uciekał. Zdarzyło się to w Jarocinie, Dżem występował jako gwiazda. Wiedząc o tym, że Rysiek lubi uciekać, podwiozłem go samochodem na odległość 50 metrów od sceny, za dwie minuty miał na nią wyjść. I na tym odcinku 50 metrów gdzieś zniknął”**[121]**.

---

119 Za: *Sie macie…*
120 Za: *Dżem…*
121 Za: *ibidem*.

Samo pojawienie się Riedla na koncercie też nie dawało gwarancji sukcesu, bo czasami był na scenie kompletnie niedysponowany. Dokumentem ilustrującym jego ówczesny stan fizyczny jest album *Tzw. przeboje – całkiem Live,* nagrany niemal dokładnie w rok po poprzedniej koncertowej płycie zespołu. Grupa ponownie pojawiła się w krakowskim Teatrze STU, gdzie planowano nagrać na żywo materiał znany z wersji studyjnych. Rysiek kompletnie nie nadawał się do śpiewania, ale płyta musiała ukazać się na rynku, bo gdyby nie została wydana, to zespół „spłacałby ją długimi latami", gdyż wszystko „było opłacone".

Album wywołał zamieszanie wśród wielbicieli zespołu. Wprawdzie pod względem instrumentalnym był znakomity, ale od strony wokalnej stanowił zapis postępującej choroby Ryśka. Wielu fanów uznało tę płytę za dowód, że koledzy z zespołu znęcają się nad Riedlem, inni natomiast zwracali uwagę na narastający konflikt frontmana z pozostałymi muzykami. Członkowie Dżemu chcieli grać i nagrywać płyty, podczas gdy zachowanie wokalisty miało coraz mniej wspólnego z profesjonalizmem.

Riedel nie dostawał gaży za koncerty, na których był nieobecny, co zresztą uznawał za niesprawiedliwe. Kary finansowe jednak nie skutkowały, bo i skutkować nie mogły. Można odnieść wrażenie, że koledzy z zespołu nie zdawali sobie sprawy z tego, czym jest głód narkotykowy, i z zimną krwią dręczyli kolegę, którego posądzali o zwykły brak charakteru i silnej woli.

„Bywało tak – relacjonował jego przyjaciel z Tychów, Tadeusz Szczepański »Ziomal« – że wracał z trasy na głodzie zmaltretowany, dzwonił do domu, Gośka już mu przygotowała [narkotyki], a tymczasem

chłopcy przewlekali powrót, zatrzymywali się w kolejnych zajazdach. A Rysiek już nie wyrabiał. Leżał pomiędzy gratami i czekał, aż będzie mógł wziąć »lekarstwo«, a oni zarządzali kolejne postoje – na piwko, grilla, wódeczkę, kiełbaskę, jeszcze jedno piwko”**[122]**.

Muzycy Dżemu musieli grać, aby zarabiać na życie, dlatego też podejmowali współpracę z innymi wokalistami. Trudno ich za to winić, to był ich zawód, który chcieli wykonywać jak najlepiej. Ryśka odesłano na kurację, a Dżem nagrał płytę z Tadeuszem Nalepą.

„[...] menadżer Dżemu poprosił – wspominał ojciec polskiego bluesa – aby w tym czasie chłopaki mieli robotę i żebym z nimi występował. Tak się akurat zbiegło, że nie miałem zespołu, bo jeden z kolegów się obraził i [ustaliliśmy], że z Dżemem coś tam zagram. [...] Nagraliśmy też płytę, przyznam się, że to były moje takie spadki, takie numery nieszczególnie bluesowe, a niektórzy spodziewali się, że najlepsza kapela bluesowa i ja zrobimy wspólnie jakieś arcydzieło”**[123]**.

OSTATNI LOT

Pomimo postępującego uzależnienia Rysiek potrafił jeszcze raz zerwać się do walki, czego dowodem był znakomity album koncertowy, zarejestrowany w czerwcu 1992 roku w katowickim Spodku. Doskonałe efekty przyniosła też miesięczna kuracja odwykowa w Olsztynie, po której wydawał się zupełnie innym człowiekiem. Zgodził się nawet na

---

122 Za: J. Szkaradziński, *Rysiek..., s.* 215.
123 Za: *Sie macie...*

naprawę uzębienia, które miał w tragicznym stanie. Pojawiał się regularnie na próbach i koncertach, strofując spóźniających się kolegów! Dobrze mu szła praca nad tekstami, choć w dalszym ciągu pracował nad nimi w specyficzny dla siebie sposób.

„[…] posiadał naprawdę niesamowity talent – wspominał gitarzysta, Krzysztof Toczko (»Partyzant«) – również do tego, by dopasować słowa do muzyki. Miał na przykład pięć tekstów – jeden wybrał, dołożył coś z następnego, wstawił linijkę z kolejnego, resztę dorobił interpretacją. I grało!”**[124]**.

Niestety, radość nie trwała długo, bo wkrótce powrócił do narkotyków, a kilka miesięcy później został zatrzymany przez policję podczas produkcji towaru. Dostał wyrok dziewięciu miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu, co w żaden sposób nie wpłynęło na jego postawę. Ponownie pogrążył się w nałogu, z którego miał już nigdy nie wyjść. Mimo to nagrał jeszcze dwie znakomite płyty z premierowym materiałem *(Detox* i *Autsajder),* chociaż wszyscy mieli coraz gorsze przeczucia.

„Coś złego wisiało w powietrzu – opowiadał Beno Otręba – panowały jakieś złe wibracje. Pamiętam, jak podczas nagrywania *Autsajdera* podchodziłem do okna i bezsilnie przykładałem głowę do krat. Czuliśmy, że coś się święci, może nawet wiedzieliśmy, ale nikt z nas choćby w myślach nie chciał nawet tego nazwać po imieniu”**[125]**.

Riedlowi zaczęło szwankować zdrowie, wyniszczony organizm nie mógł zwalczyć kolejnych infekcji. Przeszedł poważne zakażenie nogi, potem

---

124 Za: J. Szkaradziński, *Rysiek..., s.* 116.
125 Za: J. Szkaradziński, *Rysiek..., s.* 149.

trafił do szpitala z ciężkim zapaleniem płuc. W lutym 1994 roku wziął udział w nagraniu płyty *Akustycznie,* a miesiąc później, w Krakowie, po raz ostatni pojawił się na scenie, przy czym nie tyle na nią wszedł, co go tam wniesiono. Przez większość wieczoru właściwie tylko stał przy mikrofonie, a później został wyniesiony za kulisy.

Zdążył jeszcze być na kilku próbach zespołu swojego syna, któremu dobrotliwie poradził, aby „jeszcze na dziesięć lat wrócili do piwnicy, by dalej ćwiczyć". I miał rację, jako że gust muzyczny nadal go nie zawodził, co Sebastian uczciwie mu dzisiaj przyznaje"**[126]**.

Ponownie trafił na odtrucie do Olsztyna, potem na kilkanaście dni zamieszkał u przyjaciela w Wodzisławiu Śląskim. W ten sposób chciano go odseparować od Tychów, w których miał zbyt wielu znajomych narkomanów. Nie na wiele się to zdało, bo po powrocie do domu znów zaczął brać. Wtedy koledzy z zespołu zrozumieli, że muszą znaleźć nowego wokalistę.

„Ta decyzja długo w nas dojrzewała – wspominał gitarzysta grupy, Jerzy Styczyński. – Bo była piekielnie trudna. Z pewnością jedna z najtrudniejszych w życiu... A może po prostu najtrudniejsza... Ale uznaliśmy, że już nie ma innego wyjścia. Konsultowaliśmy się między sobą, konsultowaliśmy się z lekarzami"**[127]**.

Riedel spokojnie przyjął usunięcie go z grupy, ale jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Mówił

---

126 Sebastian Riedel. Z ojcem słuchaliśmy Metalliki, http://www.dziennikzachodni.pl/artykul/146477,sebastian-riedel-z-ojcem-sluchalismy-metalliki,id,t.html

127 Za: J. Szkaradziński, *Rysiek...,* s. 259.

znajomym, że gdy się wyleczy, założy własny zespół. Było to jednak niemożliwe, bo jego stan zdrowia pogarszał się w zastraszającym tempie. Nie pamiętał już nazw sprzętów codziennego użytku ani imion swoich znajomych, a po wyjściu z domu nie potrafił znaleźć drogi powrotnej. Potem było jeszcze gorzej.

„Przez ostatnie tygodnie – relacjonował »Filo« – niewiele albo nic nie rejestrował, leżał przykryty kocem 24 godziny na dobę. »Pudel« robił odpał, Gola dawała mu działkę dwa razy dziennie domięśniowo. […] Był zmęczony tym wszystkim – eksploatacją, braniem, ciągłym napięciem […]. Leżał z takim półuśmieszkiem, mnie się wydawało, że zadowolenia, że już nie musi przez to przechodzić”**[128]**.

W połowie lipca znalazł się w szpitalu chorób zakaźnych w Chorzowie, gdzie jego stan uznano za krytyczny. Lekarze nie dawali mu szans, to była powolna agonia.

„Trafił do nas z organizmem tak zdewastowanym – wspominał terapeuta uzależnień, Edward Bożek – że nie walczyliśmy o wyleczenie, tylko o przedłużenie jego życia. Przedłużenie nie o lata, lecz o miesiące, nawet tygodnie. Był skrajnie wyczerpany, skrajnie zniszczony”**[129]**.

Dwudziestego siódmego lipca ktoś przemycił dla niego narkotyki, po których miał zapaść. Udało się go odratować, a dwa dni później próbował jeszcze uciec ze szpitala. Następnego dnia już nie przeżył, a bezpośrednią przyczyną śmierci była niewydolność serca. Miał niespełna 38 lat.

---

128 Za: *ibidem,* s. 263.

129 Za: P. Sarzyński, M. Wolny, *Kronika śmierci przedwczesnych*, Warszawa 2000, s. 299.

Jego pogrzeb na cmentarzu w Wartogłowcu zgromadził tysiące osób. Fani śpiewali *Whisky* i *Sen o Victorii,* zdarzały się też ostre ataki słowne na muzyków Dżemu. Zarzucano im bezwzględne wykorzystywanie chorego kolegi i przyspieszenie w ten sposób jego śmierci.

ŻYCIE PO ŻYCIU

Wkrótce po pogrzebie doszło do gwałtownego sporu między Golą a członkami Dżemu. Wdowa po Ryśku zarzuciła im okradanie męża z należnych mu dochodów, natomiast oni twierdzili, że było wręcz przeciwnie. Według nich to Riedel był u nich zadłużony, gdyż miał zwyczaj brać „sporo pensji do przodu". Potwierdzają to relacje znajomych wokalisty, którzy dobrze wiedzieli, w jaki sposób traktował on sprawy finansowe. Ciągle brał zaliczki na poczet przyszłych dochodów, przy „wypłacie dostawał grosze", ponownie brał pieniądze, aby pokryć braki finansowe, i tak bez końca. Spór między Małgorzatą a zespołem oparł się o prawników, ostatecznie strony doszły do porozumienia.

Gola wyszła z uzależnienia, jednak zmarła przedwcześnie w 2007 roku. Sebastian Riedel jest liderem własnej grupy bluesowej Cree i od czasu do czasu koncertuje z Dżemem. Funkcję wokalisty zespołu objął Jacek Dewódzki, następnie zastąpił go Maciej Balear. To właśnie on wcielił się w rolę przyjaciela Ryśka, Indianera, w filmie Kidawy-Błońskiego *Skazany na bluesa*. Kilka tygodni po zakończeniu zdjęć, w styczniu 2005 roku zespół dotknęła kolejna tragedia – mikrobus, którym muzycy wracali z koncertu w Rzeszowie, miał kolizję z samochodem osobowym i wypadł z drogi.

Najcięższe obrażenia odniósł pianista, Paweł Berger, który zmarł wkrótce po przybyciu lekarzy na miejsce wypadku.

Grób Ryszarda Riedla stał się miejscem pielgrzymek jego fanów z całej Polski, wskutek czego rodzina wielokrotnie zastanawiała się nad przeniesieniem zwłok w inne miejsce, bo dochodziło tam do scen, które nie licowały z powagą cmentarza. Jednak właśnie taki jest pośmiertny los idoli tłumów, o czym świadczy miejsce ostatniego spoczynku Jima Morrisona na paryskim Père-Lachaise. Tymczasem postać Ryśka z każdym rokiem coraz bardziej fascynuje jego fanów, którzy na ogół nie zdają sobie sprawy z tragedii swojego idola. Większość z nich widzi w nim wielkiego artystę, który „żył tak, jak chciał" i tak samo umarł, a mało kto chce pamiętać, jak wielką cenę zapłacił za swoją wolność.

„[...] jak jeździłem z Dżemem, to spałem z Ryśkiem w jednym pokoju – opowiadał »Partyzant«. – Dziwiło mnie, że musiał mieć zapalone światło i włączone radio. Leciała muzyka, cichutko, ale przez cały czas. Przewracałem się z boku na bok [nie mogąc zasnąć] i zapytałem się go, dlaczego tak robi. A on odpowiedział, że boi się ciemności i samotności"**[130]**.

130 Za: *Sen o Victorii...*

Rozdział 3
Mistrz autokreacji

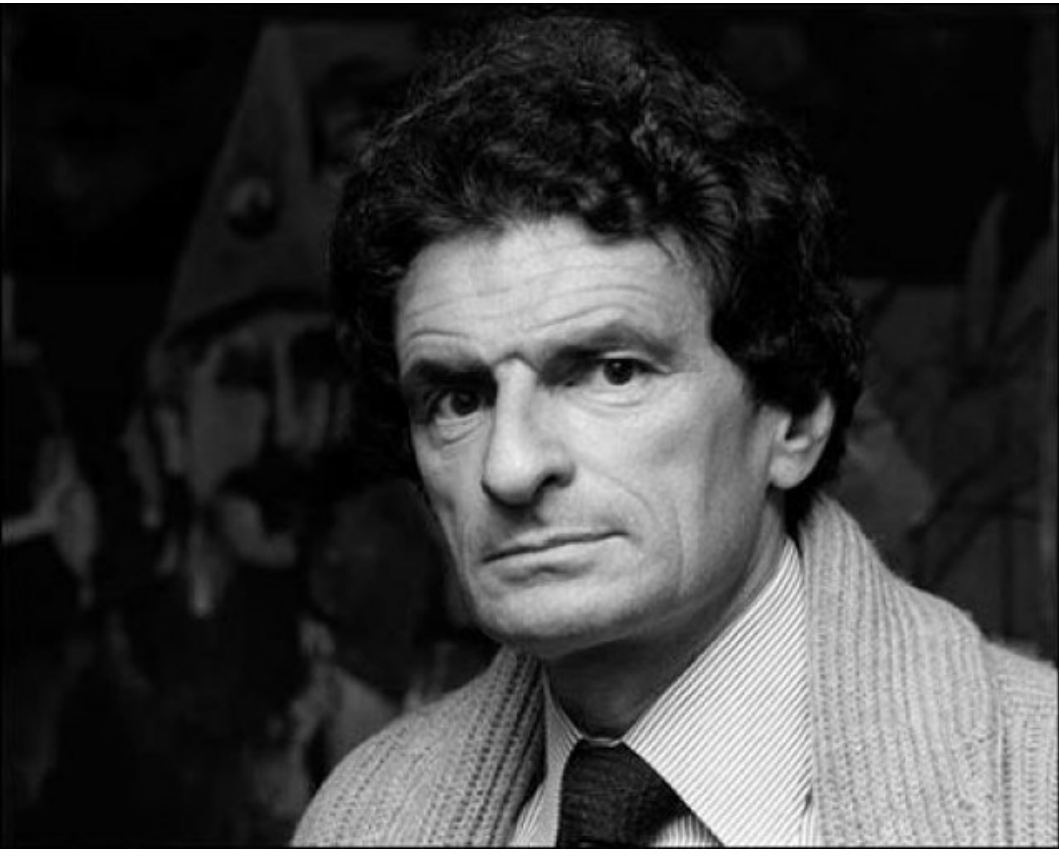

Jerzy Kosiński *zawsze obawiał się kalectwa i twierdził, że wolałby popełnić samobójstwo, niż być przykuty do wózka inwalidzkiego. Chociaż starał się ukrywać przed otoczeniem problemy zdrowotne, to znajomi widzieli, że się zmienił. „Nosił przy sobie małą buteleczkę z odpowiednią miksturą, na wszelki wypadek".*

Jerzy Kosiński nigdy nie żył w świecie prawdy – tłumaczył Roman Polański. – Każdy Żyd żyjący pod niemiecką okupacją musiał zaakceptować fakt, że kłamstwa są niezbędne do przetrwania. Każdy też, kto żył w polskiej rzeczywistości epoki stalinizmu, bardzo wcześnie zrozumiał, że to wielka hipokryzja i kłamstwo”**[131]**.

Życie Jerzego Kosińskiego to ciąg autokreacji, w którym niełatwo odróżnić rzeczywistość od fikcji. Trudno powiedzieć, czy chociaż jedna jego publiczna wypowiedź zawierała wyłącznie prawdę, nie wspominając już o rzekomo autobiograficznych książkach. Nigdy do końca tego nie wyjaśniono, podobnie jak tego, w jakim stopniu osobiście odpowiadał za treść swoich powieści. Przez niemal całe dorosłe życie szokował też otoczenie pod względem obyczajowym, nie przeszkodziło mu to jednak dostać się do elity amerykańskiego świata artystycznego. Gdy cieszył się już niebywałym powodzeniem, jego kariera została gwałtownie przerwana, czego konsekwencją stało się jego samobójstwo. Byli jednak tacy, którzy tę śmierć uważali za kolejną autokreację Kosińskiego i naturalną konsekwencję życia, jakie prowadził…

---

131 Za: *Sex, Lies and Jerzy Kosinski,* Bookmark Special, BBC 1995, tłum. G. Koper.

DZIEŃ KLĘSKI

Dwudziestego drugiego czerwca 1982 roku reputacja literacka pisarza legła w gruzach. Tego dnia na łamach nowojorskiego „Village Voice" opublikowany został artykuł *Brudne słowa Jerzego Kosińskiego,* oskarżający go o zbudowanie kariery na kłamstwach i oszustwach. Autorzy tekstu – Geoffrey Stokes i Eliot Fremont-Smith – doskonale udokumentowali swoje zarzuty, przeprowadzili dziesiątki rozmów, obejrzeli setki dokumentów. Twierdzili, że Kosiński konfabulował na temat swojej okupacyjnej przeszłości, a za jego wyjazdem z Polski w 1957 roku stała CIA, której funkcjonariusze zadbali także o jego karierę w Stanach Zjednoczonych. I wreszcie najcięższy dla pisarza zarzut – że to nie on jest autorem swoich powieści, bo w rzeczywistości za ich treść odpowiadał wyspecjalizowany zespół tłumaczy i redaktorów. Przy okazji dodano jeszcze oskarżenie o plagiat, jako że powieść *Wystarczy być,* której ekranizacja zrobiła oszołamiającą karierę na całym świecie, miała być kopią *Kariery Nikodema Dyzmy* Tadeusza Dołęgi-Mostowicza.

Artykuł wywołał burzę, gdyż sprawa dotyczyła jednego z najbardziej poczytnych autorów, byłego prezesa amerykańskiego oddziału PEN Clubu, a na dodatek człowieka, który kilka tygodni wcześniej prowadził ceremonię rozdania Oscarów, a więc medialnego celebryty, przedstawianego jako uosobienie amerykańskiego snu o karierze. W ciągu następnych tygodni wiele tytułów prasowych zamieściło argumenty obrońców Kosińskiego, podczas gdy inne gazety koncentrowały się na atakach na jego osobę. Przeważały jednak pozytywne dla pisarza opinie, w których podkreślano, że

zatrudnianie prywatnych redaktorów było w USA powszechnie stosowaną praktyką.

„Zwyczajem Kosińskiego jest zatrudnianie niezależnych redaktorów współpracujących z nim podczas pisania powieści, które mają przecież wiele wersji, a ich tekst często jest zmieniany – twierdził John Corry z »New York Timesa«. – Czasami prosił wydawców o zarekomendowanie mu redaktorów, których potem sam wynagradzał. Nigdy nie ukrywał tej praktyki”**[132]**.

Niemal wszyscy współpracownicy Kosińskiego zachowali się lojalnie i nie chcieli występować przeciwko niemu. Kilku rozmówców, których wypowiedzi wykorzystano w artykule, szybko się wycofało, tłumacząc, że zostali źle zrozumiani albo że autorzy przytoczyli zdania wyrwane z kontekstu. Pozostało jednak kilku dawnych „asystentów” pisarza, którzy swoimi wypowiedziami całkowicie go dyskredytowali. Potwierdzali oni, że Kosiński nie znał języka angielskiego dostatecznie dobrze, by pisać książki, a za finalny kształt każdej jego powieści odpowiedzialna była grupa współpracowników.

Zupełnie inną sprawą było oskarżenie o plagiat powieści Dołęgi-Mostowicza. Tego typu zarzuty są na ogół dyskusyjne i trudne do udowodnienia. Nie ulega wątpliwości, że główne postaci obu powieści, a także motywy ich działania zdecydowanie różniły się od siebie. Ross O’Grodnick z *Wystarczy być* jest człowiekiem ograniczonym umysłowo, który zachowuje się biernie wobec otaczającego go świata, natomiast Dyzma to cyniczny karierowicz wykorzystujący każdą nadarzającą się okazję. Gdyby

---

132 J. Corry, *17 years of ideological attack on a cultural target,* „New York Times”, 7.11.1982, tłum. G. Koper.

sprawą tego plagiatu zajął się sąd, to sędziowie zapewne byliby podzieleni w ocenie tego zarzutu.

Jeszcze trudniejsze było udokumentowanie współpracy Kosińskiego z CIA, bo agencja nie ma zwyczaju przedstawiania dowodów swojej działalności. Potwierdzić można tylko to, że Kosiński konfabulował na temat okoliczności swojego wyjazdu z Polski, tyle że beletryzowanie własnej biografii jest właściwie wpisane w zawód pisarza.

Sprawa ta nie schodziła z czołówek gazet, a emocje podnosił sam zainteresowany, który oficjalnie oznajmił, że nie będzie dochodził swoich praw na drodze sądowej. Powołał się na prawo do wolności wypowiedzi, w rzeczywistości jednak wiedział, że przy okazji rozprawy potwierdzona zostałaby większość zarzutów, a także doszłyby nowe oskarżenia. Zdawał sobie też sprawę z faktu, że artykuł zniszczył go jako pisarza, bo choć niemal wszystko na tym świecie można naprawić, to bardzo rzadko dotyczy to złej reputacji człowieka.

LEWINKOPFOWIE Z ŁODZI

Jerzy Kosiński pochodził z zamożnej żydowskiej rodziny z Lodzi, był synem Mojżesza i Elżbiety Lewinkopfów. Przyszedł na świat sześć miesięcy po dojściu Hitlera do władzy, co w przyszłości miało zaważyć na jego życiu. Trzeba jednak przyznać, że Lewinkopfowie i tak mieli dużo szczęścia, gdyż nie podzielili losu milionów europejskich Żydów. Przetrwanie podczas wojny zawdzięczali inteligencji ojca rodziny. Po latach Kosiński przedstawiał Mojżesza jako „profesora lingwistyki", ale w rzeczywistości był on biznesmenem z branży tekstylnej. Istotnie, miał

jednak talent i zamiłowanie do języków, dzięki czemu znał polski, rosyjski, niemiecki, angielski oraz jidysz, a być może uczył się też esperanto i sanskrytu. Lingwistyka stanowiła jego życiową pasję, która jednak nie przesłoniła mu realnego spojrzenia na świat. Z dużym niepokojem obserwował wydarzenia za zachodnią granicą Polski, szybko też zdał sobie sprawę z faktu, że Hitler dąży do eksterminacji narodu żydowskiego. Wiedział także, że niemiecka inwazja na Polskę jest nieunikniona.

Nie wiadomo, kiedy zaopatrzył rodzinę w aryjskie (katolickie) dokumenty, być może było to po wydarzeniach „nocy kryształowej" w Niemczech (listopad 1938 roku). W każdym razie kiedy Wehrmacht przekroczył granice Polski, Lewinkopfowie mieli już papiery na nazwisko Kosińskich, przy czym Mojżesz stał się Mieczysławem, a jego syn, Józef – Jerzym. Ojciec rodziny uznał, że w mieście, w którym przez wiele lat mieszkali, nie uda im się zmienić tożsamości, toteż niemal natychmiast opuścili Łódź i udali się w kierunku wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Mojżesz bez większego żalu zostawił dalszą rodzinę, przyjaciół i znajomych, wychodząc z założenia, że życie jego żony i sześcioletniego syna „jest ważniejsze niż życie sąsiada".

Lewinkopfowie trafili do Sandomierza i zameldowali się tam pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Były to początki okupacji niemieckiej, daleko było do Holocaustu, toteż Mojżesz uznał, że nie muszą się jeszcze ukrywać. Zawsze zresztą wyznawał zasadę „małych kroków", która także tym razem miała się sprawdzić.

Zamieszkali w domu małżeństwa Lipińskich, przy ulicy Zamkowej, niemal w samym centrum

miasta. Nie przywieźli ze sobą zbyt dużego bagażu, dysponowali za to znaczną sumą dolarów, co odegrało decydującą rolę, bo chociaż Lipińscy nie mieli w domu wolnych pomieszczeń, to wizja dobrego zarobku sprawiła, że oddali Lewinkopfom swój największy pokój. Poza tym żona pana domu, Maria Lipińska, podjęła się usługiwania nowym lokatorom.

„[...] przyjechali zaraz jak Polska upadła – wspominała pani Maria. – Wynajęli u nas mieszkanie. Nie byli to zresztą jedyni Żydzi, jacy u mnie mieszkali. Była tu jeszcze rodzina Blusztajnów. Oni wszyscy byli u mnie oficjalnie zameldowani. Niemcy nie robili trudności. Getto utworzyli dopiero później. To byli spokojni Żydzi. Płacili normalne komorne”**[133]**.

Dzięki posiadanym oszczędnościom nikt z rodziny nie musiał pracować, jednak pewne problemy sprawiał syn, Józef (jeszcze nie Jerzy), który nie był specjalnie sympatycznym dzieckiem.

„Miał wtedy z siedem czy osiem lat – kontynuowała Lipińska. – Drobny był i Lewinkopfowie mieli z nim dużo kłopotów. Podły był. Najbardziej nienawidził... Żydów. Pamiętam, jak dokuczał staremu Blusztajnowi. Nie cierpiał małej – chyba była jego rówieśnicą – Rebeki Blusztajn”**[134]**.

Jerzy Kosiński od wczesnego dzieciństwa udowadniał, że nic go nie interesuje poza własnym powodzeniem, a świadkowie wypowiadali się na jego temat jednoznacznie negatywnie. W oczy rzucało się choćby to, że do Polaków odnosił się z szacunkiem, natomiast Żydów traktował z dużą niechęcią.

---

133 Za: T. Wiącek, Śladem plugawej książki, „Słowo Ludu” 9.06.1968.

134 Za: *ibidem*.

Zapewne był to uboczny skutek planów jego ojca, który ze swoich bliskich postanowił zrobić wzorowych Polaków. Mojżesz pilnie obserwował zachowanie okupantów, docierały do niego wieści o tworzeniu gett w polskich miastach, toteż wiedział, że przyjdzie również czas na dzielnicę żydowską w Sandomierzu. Dlatego też pewnego dnia Lewinkopfowie wyprowadzili się z dotychczasowej kwatery i ślad po nich zaginął.

„Nasza ulica była przeznaczona na getto – tłumaczyła Lipińska. – Oni zdążyli ukryć się gdzieś indziej. Ale w Sandomierzu pozostali i ukrywali się dalej”**[135]**.

DĄBROWA RZECZYCKA

Po wyprowadzeniu się od państwa Lipińskich zamieszkali na poddaszu domu pewnego furmana, a potem w chacie pod miastem. Mojżesz cały czas obmyślał dalszą ucieczkę, nie chcąc mieć nic wspólnego ze współwyznawcami z Sandomierza. Los przyznał mu rację, gdyż wszyscy żydowscy lokatorzy domu przy ulicy Zamkowej zginęli, natomiast Lewinkopfowie (a wtedy już Kosińscy) mieli przetrwać wojnę.

Jesienią 1942 roku trafili pod opiekę księdza Eugeniusza Okonia, przedwojennego działacza ludowego i posła na Sejm. Władze kościelne zawiesiły go w obowiązkach kapłańskich, oficjalnie za działalność polityczną, a w rzeczywistości bardziej za upodobanie do alkoholu i kobiet. Okoń, jako jedna z nielicznych realnie żyjących osób, został po latach pozytywnie przedstawiony w *Malowanym ptaku*.

---

135 Za: *ibidem*.

Kosiński opisał go tam jako „małego, pulchnego księdza, ubranego w postrzępioną sutannę". Dzięki protekcji duchownego rodzina trafiła do Dąbrowy Rzeczyckiej, niewielkiej wioski położonej na wschodnim brzegu Sanu. Tam zamieszkali u rodziny Warchołów.

Mojżesz (a właściwie już Mieczysław) nie zaniedbywał żadnego szczegółu. Kosińscy przygarnęli inne żydowskie dziecko – trzyletniego Henia, który miał blond włosy i dość „aryjski" wygląd. Razem z nim zamieszkała jego polska opiekunka, Katarzyna. Wszystko to sprawiało, że rodzina nie wyglądała już tak jednoznacznie semicko. Poza tym Elżbieta Kosińska, mająca najbardziej żydowskie rysy, rzadko opuszczała barak, w którym zamieszkali.

Mieszkańcy wsi wiedzieli jednak, że nowi przybysze są Żydami, a mimo to nikt ich nie zadenuncjował. Nie spotkali się też z przejawami antysemityzmu, a miejscowi służyli im dużą pomocą.

„Nie było wśród ludności Dąbrowy Rzeczyckiej i okolicy [...] tajemnicą, że mieszka tam żydowska rodzina Kosińskich – wspominał ich sąsiad i kolega Jerzego, Andrzej Migdałek. – Wiedział o tym również ksiądz Sebastiański, proboszcz naszej parafii, i pomimo to przygotował obecnie »sławnego literata« do pierwszej komunii świętej"**[136]**.

Mieczysław uznał, że jego rodzina musi się wtopić w polskie otoczenie i dlatego mały Jerzy chodził na lekcje religii, przystąpił do pierwszej komunii, a nawet był ministrantem. Kosińscy razem z sąsiadami obchodzili też święta katolickie.

---

136 Za; „Kosiński. Autor czy współautor?", „Polityka" 10/1983.

„[…] spędzili z nami pierwszą Wigilię po osiedleniu się w Dąbrowie – kontynuował Migdałek – którą moja matka celowo urządziła u nas dla zamaskowania ich pochodzenia, gdyż tamtejsi mieszkańcy od początku snuli domysły o żydowskim pochodzeniu tej rodziny, a nie było jeszcze pewności, że wieś ich tak dobrze przyjmie”**[137]**.

Sami Migdałkowie ukrywali zresztą dwoje innych żydowskich uciekinierów, co również nie było tajemnicą dla mieszkańców okolicy. Nikt jednak nie myślał o wydaniu ich Niemcom, chociaż ryzyko było znaczne, a kary za przechowywanie Żydów – niezwykle surowe.

Wbrew opisom zamieszczonym w *Malowanym ptaku* jedynymi przejawami antysemityzmu, z jakimi spotkał się Jerzy, były złośliwe uwagi wygłaszane czasem przez rówieśników. Zdarzyło się także, że banda wyrostków chciała ściągnąć mu spodnie, aby sprawdzić, czy jest obrzezany, jednak syn gospodarzy rozpędził napastników.

Treść *Malowanego ptaka jest* bowiem niemal w całości fikcją literacką. Nawet autentyczne wydarzenia, takie jak upuszczenie mszału podczas mszy, zostały opisane zupełnie inaczej. Kosiński wcale nie został wrzucony do kloaki i nie stracił głosu na kilka lat. Chociaż postaci opisane w książce miały swoje autentyczne pierwowzory, to autor ukazał je w krzywym zwierciadle. Na przykład Ewie, córce sąsiadów, przypisał nie tylko kontakty erotyczne z ojcem i bratem, ale też stosunek seksualny z… kozłem.

TOWARZYSZ MIECZYSŁAW KOSIŃSKI

---

137 Za: *ibidem*.

Z czasem ojciec rodziny zaczął pokazywać się wśród ludzi, podjął nawet pracę w punkcie skupu w Dąbrowie. Miał mało semicki wygląd i zapewne dlatego żaden z Niemców nie zwrócił na niego uwagi. Nawiązał wtedy pewne kontakty, które w przyszłości okazały się dla niego bardzo cenne.

Pod koniec okupacji zgłosili się do niego działacze Polskiej Partii Robotniczej i zaproponowali wstąpienie w szeregi organizacji. Mieczysław zawsze myślał pragmatycznie i orientował się, że niebawem do Polski wkroczy Armia Czerwona, co musiało oznaczać sowietyzację kraju. Uznał więc, że z wyrokami historii nie należy walczyć i bez większych problemów stał się członkiem PPR.

„Armia Krajowa nie ma szans – tłumaczył znajomemu. – Płynie pod prąd głównego nurtu historii. Zbliżają się Rosjanie i, czy tego chcemy, czy nie, Polska skazana jest na sowiecką dominację”**[138]**.

Armia Czerwona wkroczyła do Dąbrowy pod koniec lipca 1944 roku, co dla Kosińskich oznaczało koniec koszmaru. Nareszcie wszyscy bez lęku mogli się pokazywać publicznie, ale lat okupacji żadne z nich nigdy nie zapomniało. Jerzy, już jako znany pisarz i celebryta, miał zwyczaj szokować kelnerów albo gospodarzy ekskluzywnych przyjęć, prosząc ich o talerz pokrojonej cebuli, do której miał wielkie upodobanie od czasów okupacyjnych. Lata zagrożenia i ukrywania się odcisnęły na jego psychice niezatarte piętno, a przy okazji nauczyły czegoś, czym zaskakiwał swoich nowojorskich przyjaciół.

---

138 Za: J.P. Sloan, *Jerzy Kosiński. Biografia*, Warszawa 1997, s. 46–47.

„[...] zaprosił mnie i moją żonę na obiad – wspominał John Corry. – [...] I po obiedzie powiedział nam, że w każdym mieszkaniu, które zajmował, miał kryjówkę. I może się ukryć w tym mieszkaniu, a my nie będziemy mogli go znaleźć. Jeśli damy mu 30 sekund na ukrycie, to nie będziemy mogli go odszukać. Więc wyszliśmy na korytarz. [...] Weszliśmy do mieszkania, zajrzeliśmy pod łóżko, zajrzeliśmy do szaf. Sprawdziliśmy meble, drzwi, okna. Wtedy powiedzieliśmy, że się poddajemy [...]. Kiki [żona Kosińskiego – S.K.] zapukała w półkę z książkami, drzwi do regału się otworzyły i Jerzy wyszedł – potrafił się tak zwinąć, że był całkowicie ukryty. To było dziwaczne zachowanie, ale także podejrzewam, że były to skutki ocalenia z Holocaustu”**[139]**.

Po wojnie nie utrzymywał kontaktu z żadną z osób, które poznał w Dąbrowie. Nigdy jednak o nich nie zapomniał, a sposób, w jaki odreagowywał złość i niechęć do „Aryjczyków” ze wsi nad Sanem, mógł wprawić w osłupienie. Pewnego dnia jego bliscy znajomi, Ewa i Andrzej Migdałkowie, dostali bardzo dziwną przesyłkę pocztową.

„List obrzucał ich wyzwiskami – podłymi, obelżywymi, nieprzyzwoitymi wyzwiskami – i ostrzegał, że albo podporządkują się nakazom partii, albo zostaną wydani UB. Autor chwalił się znajomością tajemnic państwowych, jakby posiadał wysokie koneksje partyjne. List miał kilka stron, ale kartki zapisane były rzadko, a między wyrazami zostawiono duże odstępy. Napisany był bezbłędnie,

---

139 Za: *Sex, Lies...*

językiem dorosłej osoby. Jego autorem był Jerzy Kosiński”**[140]**.

POLITYKA, SEKS I FOTOGRAFIA

List wydaje się tym bardziej niezrozumiały, że chociaż Mieczysław Kosiński był działaczem PPR i został dyrektorem fabryki na Ziemiach Odzyskanych, to jego syn miał spore problemy z ideową postawą. Podczas nauki w szkole średniej został usunięty ze Związku Młodzieży Polskiej za „wrogą organizacji linię polityczną”. Zarzucano mu „imperialistyczny, amerykański styl życia” oraz „wrogi stosunek do rzeczywistości socjalistycznej i podważanie autorytetu władz politycznych”. Podobnie było podczas studiów na łódzkim uniwersytecie – tam z kolei wyrzucono go ze Zrzeszenia Studentów Polskich. Bezpośrednią przyczyną miała być odmowa wygłoszenia referatu o wojnie koreańskiej, ale bardziej prawdopodobnym powodem wydaje się tryb życia niezgodny z zasadami „socjalistycznej wspólnoty”.

Wydalenie z szeregów organizacji groziło usunięciem z uczelni, jednak Kosiński po raz kolejny dał sobie radę. Dzięki poparciu ówczesnego rektora, profesora Józefa Chałasińskiego, mógł dalej studiować, nie ograniczono mu również dostępu do świadczeń akademickich (w tym stołówki, z której mogli korzystać tylko członkowie ZSP).

Chałasiński był znakomitym socjologiem, który sam miał problemy z marksistowską doktryną, a jego poglądy dyskutowano na posiedzeniach KC PZPR.

---

140 J.P. Sloan, *op. cit.*, s. 57.

Wysoko cenił intelekt Kosińskiego, uważając, że zapowiada się on na dobrego naukowca, a sprawa postawy ideowej studenta miała dla niego drugorzędne znaczenie. Dzięki temu Jerzy uzyskał dyplom magistra nauk społecznych, a następnie historii. Niebawem też rozpoczął studia doktoranckie w Zakładzie Historii Kultury Polskiej Akademii Nauk w Warszawie”**[141]**.

Na długotrwałe studia mógł sobie pozwolić dzięki stabilnej sytuacji finansowej rodziny. Wprawdzie ojciec po zawale serca musiał zrezygnować z posady dyrektora, ale otrzymywał solidną emeryturę (rentę) oraz uposażenie z tytułu członkostwa w Polskim Komitecie Normalizacyjnym. Budżet rodzinny wspierała również matka, będąca na posadzie urzędniczej w Centralnym Zarządzie Przemysłu Bawełnianego w Łodzi**[142]**. Młody Kosiński nie narzekał więc na braki finansowe i mógł w pełni korzystać z uroków studenckiego życia.

W tym czasie najbardziej pasjonowały go dwie dziedziny: fotografia i seks. Zamiłowania te nie tylko się nie wykluczały, ale nawet współgrały ze sobą i nawzajem się stymulowały. Miłością do fotografii zaraził się jeszcze w liceum i od tej pory właściwie nie rozstawał się z aparatem. Jego bliski przyjaciel z tamtych czasów, Stanisław Pomorski, wspominał, że Jerzy fotografował zawsze i wszystko, ale pasja nie mogła zastąpić techniki i doświadczenia. Sytuacja zmieniła się, gdy poznał starszego o trzy lata fotografa, Jerzego Neugebauera. Niebawem stali się nierozłączni, a Kosiński wkrótce zaczął przerastać swojego mistrza.

---

141 IPN BU 1218/5194/2.
142 IPN BU 1532/11589.

„ […] może po roku intensywnej pracy w ciemni, często po 24 godziny na dobę, zrobił kolosalne postępy – wspominał Neugebauer. – […] Głównym pomysłodawcą prac był Jurek, niejednokrotnie nie nadążałem za jego energią. Pomysły wylatywały mu jak z rękawa”**[143]**.

Prace podpisywali wspólnie i z żelazną konsekwencją wysyłali je na międzynarodowe konkursy fotograficzne. Dość szybko zaczęli otrzymywać pierwsze wyróżnienia, niebawem też spotkał ich wielki zaszczyt, gdy brytyjskie Królewskie Towarzystwo Fotograficzne przyjęło ich w poczet swoich członków. Fakt ten Kosiński miał wspominać z dumą do końca życia.

Jerzy szybko zdominował partnera, zarzucając mu, że zbyt dużo czasu poświęca na techniczną stronę organizacji planu zdjęciowego. Według Kosińskiego liczył się tylko model i odpowiedni moment ujęcia.

„Nie jesteś wyrobnikiem – tłumaczył. – Masz mieć pomysł i nacisnąć migawkę. Technikę zrobią za ciebie w laboratorium”**[144]**.

Chociaż Jerzy zawsze traktował fotografikę jako dziedzinę sztuki, to uważał, że przy okazji może być ona bardzo pomocna w zdobywaniu względów płci pięknej. Razem z Neugebauerem zajmowali się aktami, „więc podrywali dziewczyny, w czym Jurek odnosił specjalne sukcesy”. I trudno się dziwić, bo już w czasach licealnych rozpoczął „gonitwę za kobietami”, co zresztą pasjonowało go do końca życia. Nie miał zwyczaju przywiązywać się do

---

143 Za: Cz. Czapliński, *Pasje Jerzego Kosińskiego*, Warszawa 1993, s. 7.

144 Za: *Jerzy Kosiński. Twarz i maski,* red. J. Jedliński, Łódź 1992, s. 31.

partnerek i zachowywał się tak, jakby cierpiał na kompleks Don Juana. Zdobywał kobiety i natychmiast je porzucał. Opowiadano o nim nawet, że podczas jazdy tramwajem potrafił uwieść nowo poznaną kobietę „pomiędzy kolejnymi przystankami". Na przedstawicielki płci pięknej miał jakiś hipnotyczny wpływ, a one w jego obecności całkowicie traciły zdrowy rozsądek. Przy okazji nie zwracał uwagi na sytuację osobistą swoich ofiar, w efekcie czego zarówno Pomorski, jak i Neugebauer musieli przejść przyspieszony kurs uspokajania „rozwścieczonych narzeczonych, ojców i mężów". Było to konieczne, gdyż Kosiński przejawiał zadziwiającą umiejętność znikania w niebezpiecznych chwilach.

Sytuacja mu sprzyjała, bo jako wzorowy student wyjeżdżał nad Bałtyk i do Zakopanego, gdzie pełnił funkcję instruktora kulturalnego na turnusach wczasowych dla młodych mieszkańców wsi i miast. Inteligentny i elokwentny, nie miał problemu z oczarowywaniem kolejnych przedstawicielek „przewodniej siły narodu", w efekcie czego oskarżono go przed władzami uczelni o niemoralny tryb życia.

„Moje »przestępstwo« było tym razem natury seksualnej – przyznawał Kosiński. – Zarzucono mi, że fotografowałem nagą robotnicę z Krakowa, która nie wiedziała, że jest fotografowana nago, albo zgodziła się na akt wyraźnie nielegalny. Tym razem o dyscyplinarne skreślenie mnie z listy studentów zabiegał Komitet Wojewódzki partii w Łodzi"**[145]**.

Kosiński jak zwykle miał szczęście, bo dostał tylko naganę bez wpisania do akt. Mniej więcej w tym samym czasie odkrył on, że za pomocą seksu można

---

145 Za: Cz. Czapliński, *op. cit.,* s. 121.

załatwić wiele spraw, które w epoce socjalizmu wydawały się „nie do załatwienia". Kiedy chciał, aby w jego mieszkaniu zamontowano telefon (normalny czas oczekiwania wynosił wiele lat), to po prostu uwiódł sekretarkę przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego. Nie oparła mu się również sekretarka „Trybuny Ludu", dzięki czemu mógł wydzwaniać z jej służbowego numeru, informując swoich rozmówców, skąd do nich dzwoni. Telefon z oficjalnego organu prasowego KC PZPR zawsze robił duże wrażenie i pomagał w wielu sytuacjach.

Przy okazji nie zapominał również o bardziej przyziemnych sprawach, toteż gdy w Galerii Krzywego Koła zorganizowano wystawę fotograficzną jego wspólnych prac z Neugebauerem, wykorzystał to do załatwienia sobie etatu tłumacza z języka rosyjskiego. W tym też charakterze dwukrotnie wyjechał do ZSRS, jednak wbrew opiniom jego biografów kraj „wielkiego brata" wcale go nie pociągał. Kosiński był zbyt inteligentnym człowiekiem, by nie zauważyć, że w bloku wschodnim nie ma szans na prawdziwą karierę. Tę mógł mu zapewnić wyłącznie wyjazd za żelazną kurtynę, dlatego każdą wolną chwilę poświęcał na naukę języka angielskiego.

ROMAN I HONORATKA

Ważnym elementem życiowej edukacji Kosińskiego były kontakty ze środowiskiem studentów legendarnej łódzkiej szkoły filmowej. Słuchacze uczelni nie mieli poważniejszych dylematów ideologicznych, chcieli tylko kręcić dobre filmy i używać życia. Szkoła dawała im duże możliwości, bez problemów udostępniano studentom

najnowsze produkcje zza żelaznej kurtyny. Pochodziły one prosto z ambasad, a przysyłano je wraz z listą dialogową, którą czytał jeden ze studentów. I właśnie na tych projekcjach regularnie bywał Kosiński, bo w filmówce stało się tradycją, że na pokazy zapraszano znajomych i przyjaciół spoza uczelni. Tymczasem oglądanie zachodnich produkcji wciągało jak narkotyk...

„[...] przez cały czas naszego pobytu w Łodzi – wspominał Roman Polański – [...] pochłanialiśmy niezliczone ilości filmów. W salach projekcyjnych pokazy trwały przez cały dzień i nieraz do późnej nocy kłębili się tam studenci. Część oglądała filmy bezpośrednio związane z programem, a wielu innych chodziło na projekcje jak na wagary. [...] Filmy stanowiły dla nas główne pożywienie. Oglądaliśmy na okrągło klasyczne pozycje kina światowego, analizując je w nieskończoność. [...] Kiedy tylko rozchodziła się wiadomość o pokazie jakiegoś szczególnie interesującego filmu, następowała inwazja na salę”**[146]**.

Studentów filmówki uważano za królów życia. Łódź była ich miastem, a oni jej chlubą. Chcieli mieć tu polskie Hollywood, a nie stolicę przemysłu włókienniczego. Głównym miejscem spotkań towarzyskich była kawiarnia Honoratka przy ulicy Moniuszki.

„[...] była mała i przytulna jak francuska kochanka – wspominał Henryk Grynberg. – I dyskretna, w wąskiej, ustronnej uliczce. Tak mała i ustronna, że nie opłacało się jej uspołecznić i dzięki temu się uchowała. Przyćmione szyby, niepozorne, wąskie drzwi – kto nie wiedział, ten nie wszedł, i o to

---

146 R. Polański, *Roman, Warszawa* 1989, s. 97–98.

właśnie chodziło. W Grandzie za rogiem siedzieli brzuchacze, dosłowni i metaforyczni, a w Honoratce artyści – prawdziwi i ewentualni”**[147]**.

Wizyty w Honoratce nobilitowały – to było miejsce, w którym należało się pokazać. Daniel Olbrychski, jako początkujący aktor, czasami też tam zaglądał, „wychylając głowę przez drzwi, udając, że sprawdza, kto przyszedł. Oczywiście nikogo tam nie widział, ale widziano jego”.

Do kawiarni przychodziły najpiękniejsze dziewczyny, co dodatkowo zachęcało filmowców do przebywania w tym lokalu. Wszyscy oni zgodnie przyznawali, że „był to świat wielkich łowów” i miejsce, gdzie „zbierali się najlepsi, którzy mieli słabość do kobiet”.

„W »Honoratce« najlepiej było pokazać się z takim, który miał etykietkę sławnego artysty – wspominała Ewa Frykowska. – Dziewczyny polowały na nich. Nie było ważne, jak wyglądał, musiał być znany. Filmowcy, a przeważnie aktorzy, byli najbardziej pożądani, po nich szli jazzmani, młodzi gniewni pisarze i reszta artystycznych środowisk”**[148]**.

Trudno więc się dziwić, że w takim miejscu po prostu nie mogło zabraknąć Kosińskiego. Obecność pięknych dziewcząt działała na niego mobilizująco i była mu tak bardzo potrzebna, że kiedyś zamieścił nawet fałszywe ogłoszenie o castingu do pewnego filmu. Anons spotkał się z dużym zainteresowaniem, a Jerzy z podziwem obserwował ogromną liczbę pięknych dziewcząt, które pojawiły się pod wskazanym adresem.

---

147 H. Grynberg, *Uchodźcy,* Warszawa 2004, s. 39.
148 E.M. Morelle, *Słodkie życie,* Kraków 2007, s. 19.

Jednak kobiety nie były jedynym magnesem ściągającym Kosińskiego do Honoratki. Pociągali go również ludzie filmu, z którymi bardzo lubił rozmawiać, zresztą nie tylko o kinematografii. Nawiązał wtedy znajomość z pewnym niewysokim studentem, który właśnie startował do swojej olśniewającej kariery.

Po latach Roman Polański – bo oczywiście o nim tu mowa – całkiem wykluczył Kosińskiego ze swoich studenckich wspomnień, chociaż to właśnie Jerzy poznał go z Wojtkiem Frykowskim, który niebawem miał zostać producentem krótkometrażowego filmu Polańskiego, *Ssaki*. Całą trójkę łączyło upodobanie do nart, często razem spędzali czas w Zakopanem. Po latach Jerzy opowiadał, że był tam instruktorem, ale można się domyślać, że w rzeczywistości na koszt Frykowskiego jeździli w góry, by poszukiwać tam nowych zdobyczy erotycznych.

Kosiński odegrał też znaczącą rolę w życiu intymnym Polańskiego, który początkowo miał dość duże kompleksy i zazdrościł Jerzemu aparycji oraz powodzenia u kobiet. Problemy nasiliły się po wypadku samochodowym, po którym długo nie mógł wrócić do pełnej dyspozycji. I właśnie wtedy, pod wpływem Kosińskiego, zaczął dbać o tężyznę fizyczną, co niebawem zaowocowało sukcesami w relacjach damsko-męskich.

„Przed wypadkiem Polański nie czuł się dobrze w towarzystwie kobiet – opowiadał jego znajomy z uczelni. – […] Jednak po wypadku, kiedy wyrobił sobie mięśnie ćwiczeniami fizycznymi, zaczął uganiać się za dziewczętami […]. I całkiem mu się to udawało.

Im bardziej mu się to udawało, tym bardziej się ośmielał”**[149]**.

Być może właśnie to sprawiło, że Roman postanowił wykreślić Jerzego ze swoich studenckich wspomnień. Żaden mężczyzna, a szczególnie ten o sławie kobieciarza, nie będzie chciał się przyznać, że stał się uwodzicielem dzięki koledze, któremu zazdrościł powodzenia.

Wiadomo jednak, że Polański i Kosiński prowadzili ze sobą długie dyskusje na temat roli literatury i filmu w kulturze masowej, przy czym Jerzy dawał pierwszeństwo książkom, podczas gdy Roman – co zrozumiałe – preferował dziesiątą muzę. Niewykluczone, że obaj byli na premierowym pokazie *Kariery Nikodema Dyzmy,* czyli ekranizacji powieści Dołęgi-Mostowicza z Adolfem Dymszą w roli głównej. Według niepotwierdzonych informacji po projekcji Kosiński „miał się wyrażać z dezaprobatą o bohaterze filmu”, gdyż według niego „Dyzma nie powinien w najmniejszym nawet stopniu angażować się w swoją karierę polityczną, a jego sukces winien być rezultatem nie tyle splotu okoliczności, ile dokonywanej przez innych interpretacji jego poczynań”**[150]**.

Anegdota nabiera dodatkowego sensu w kontekście późniejszych wydarzeń, jednak przy tej okazji warto wspomnieć, że Kosiński już wcześniej znał książkową wersję *Kariery Nikodema Dyzmy*. Według relacji przyjaciół czytał ją już w szkole średniej i wyjątkowo się nią zachwycał.

---

149 Za: Cz. Czapliński, *op. cit.,* s. 116-117.

150 Za: K.J. Zarębski, *Filmowe życieJerzepo Kosińskiego*, http://culture.pl/pl/artykul/filmowe-zycie-jerzego-kosinskiego

AMERYKA

Kosiński długo i chętnie konfabulował na temat swoich pobytów w ZSRS, opowiadając nawet, że przez pewien czas studiował na Uniwersytecie Moskiewskim im. Łomonosowa. Rzeczywistość była jednak trochę inna, bo w dokumentach IPN zachował się ślad tylko jednego jego pobytu za wschodnią granicą – w lipcu 1957 roku na Festiwalu Młodzieży w Moskwie. Z powodu tego właśnie wyjazdu przeoczył rekrutację kandydatów na stypendium Fundacji Forda do USA i w ogóle nie złożył wniosku. Po powrocie do kraju rozpoczął jednak energiczne starania, co po latach opisał w jednej ze swoich powieści:

„By móc opuścić kraj drogą legalną, potrzebowałem paszportu. Wiedziałem, że nie uda mi się otrzymać służbowego, więc postanowiłem zwrócić się o krótkoterminowy paszport turystyczny. Urząd Bezpieczeństwa takie paszporty wydawał, ale trzeba było złożyć oficjalnie poświadczone podanie, wyjaśniające powody, dla których państwo miałoby się zgodzić na taki wyjazd, a także określające dokładnie trasę podróży i podające ilość posiadanych zagranicznych dewiz”**[151]**.

Główny bohater powieści (w domyśle – alter ego autora) musiał sfałszować listy referencyjne od wybitnych polskich naukowców, natomiast w rozmowie z urzędnikiem biura paszportowego zasugerował, że jest agentem wywiadu PRL i problemy ze zgodą na wyjazd są tylko kamuflażem. W książce nie zabrakło też dramatycznego opisu fiolki z trucizną, którą nosił ze sobą, aby popełnić

---

151 Za; J. Kosiński, *Cockpit*, Warszawa 1992, s. 32.

samobójstwo w przypadku problemów z przekroczeniem granicy.

W rzeczywistości sprawa była o wiele mniej dramatyczna – Kosiński zwrócił się o pomoc do Chałasińskiego, a ten namówił do interwencji swoich kolegów socjologów: Jana Szczepańskiego i Jana Lutyńskiego. Cała trójka wystosowała listy popierające jego wyjazd, którego celem miało być prowadzenie w Ameryce obserwacji niezbędnych do napisania pracy doktorskiej (*Aktualne badania nad rodziną* w *USA*).

Interwencja przyniosła efekt i Kosiński dostał zgodę, pod warunkiem jednak, że podróż i pobyt opłaci z własnych środków. Nie miał z tym większych problemów, gdyż brat jego ojca, osiadły w USA emerytowany marynarz, zdeponował na jego koncie kwotę 500 dolarów, a kolejny tysiąc pożyczył mu ojciec jednego z polskich przyjaciół. Kosiński uzyskał też gwarancję przyjęcia na studia doktoranckie na Uniwersytecie Alabama, a przed samym wyjazdem dostał jeszcze lepszą propozycję od Uniwersytetu Columbia. W tej sytuacji najzupełniej legalnie opuścił kraj pod koniec grudnia 1957 roku.

Po latach opowiadał, że powitał Nowy Świat, mając niespełna trzy dolary w kieszeni i zaczynał od kradzieży w sklepach. W rzeczywistości miał znacznie więcej pieniędzy, co wcale jednak nie oznaczało, że był w dobrej sytuacji finansowej. Wprawdzie zagwarantowano mu stypendium, ale wypłaty miały się rozpocząć dopiero za kilka miesięcy, a obowiązywał go zakaz pracy zarobkowej. W tej sytuacji zatrudnił się nielegalnie jako parkingowy, zdrapywał także starą farbę i rdzę z burt i pokładów statków cumujących w Nowym Jorku. Wolny czas poświęcał na doskonalenie języka angielskiego,

którym posługiwał się wówczas bardzo słabo, nawiązywał też kontakty wśród amerykańskiej Polonii.

Jego znajomi zawsze twierdzili, że u mężczyzn wzbudzał ojcowskie uczucia, natomiast panie w średnim wieku koniecznie chciały mu matkować. Zapewne właśnie dlatego opieką otoczyli go członkowie Polskiego Instytutu Naukowego z Kazimierzem Wierzyńskim na czele, a jego losem szczególnie mocno zainteresował się prezes Stanisław Strzetelski, co niebawem miało przynieść wymierne efekty.

Nawiązując nowe znajomości, nie ograniczał się tylko do emigrantów wrogo nastawionych do władz powojennej Polski. Poznał i oczarował Mirę Michałowską, tłumaczkę i dziennikarkę, żonę ambasadora PRL przy ONZ. Michałowska lubiła słuchać jego opowieści, zachęcała go do spisania wojennych wspomnień. Wielokrotnie zapraszała Jerzego na różnego rodzaju przyjęcia, na których jej protegowany potrafił kilku osobom opowiedzieć w odmienny sposób tę samą historię. Niewykluczone, że już wtedy testował najlepszą wersję dla przyszłych czytelników. I tylko w jednej sprawie był zadziwiająco konsekwentny – zawsze opowiadał, że przeżył okupację samotnie, natomiast rodziców odnalazł dopiero po wojnie.

Przychylność nowych znajomych (a także pieniądze) zdobywał również w inny sposób. Na przyjęcia zabierał aparat fotograficzny i robił gościom zdjęcia. Najlepsze z nich przedstawiał następnie swoim modelom, którzy często je od niego kupowali. Przy okazji zyskiwał też rozgłos jako zdolny fotograf.

Triumfom towarzyskim nie towarzyszyły jednak sukcesy naukowe. Pisanie pracy doktorskiej szło

wyjątkowo opornie, bo Jerzy nie potrafił się uporać z obcym językiem. Choć wiele czasu poświęcał na doskonalenie angielskiego, ciągle władał nim zbyt słabo, aby napisać doktorat. Jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że usunięcie ze studiów będzie oznaczało konieczność powrotu do kraju, toteż desperacko próbował się na nich utrzymać. Jednocześnie czynił starania, aby przedłużyć ważność paszportu (dostał go na rok), a potem wystąpił o paszport konsularny. Zabiegi te nie przyniosły rezultatu, toteż wkrótce władze PRL zaczęły go traktować jako uciekiniera.

Udało mu się jednak pozostać na uczelni i to pomimo że jego pierwotny plan spalił na panewce. Jak powszechnie wiadomo, najważniejszymi osobami w każdej instytucji są sekretarki i asystentki, wobec tego Kosiński oczarował (czy też uwiódł) jedną z urzędniczek Fundacji Forda. Obiecała mu ona daleko idącą pomoc, ale, niestety, z niewiadomych przyczyn jego sprawę przekazano innej pracownicy. Tej zaś albo nie zdążył, albo nie potrafił uwieść i w efekcie musiał się zgodzić na drobiazgową kontrolę postępów swojej pracy nad doktoratem. Trzy razy w miesiącu miał konsultować się z jednym z profesorów Uniwersytetu Columbia i raz na cztery tygodnie odwiedzać promotora w Bostonie, a wypłata stypendium (wraz z przedłużeniem prawa do pobytu w USA) zależała od ich opinii. Było to upokarzające, ale on wychodził z założenia, że Ameryka jest tego warta, tym bardziej że w tym czasie miał już alternatywne plany na przyszłość.

HALINA POŚWIATOWSKA

Jerzy co prawda potrafił oczarowywać amerykańskie urzędniczki, ale w pierwszym okresie pobytu w USA jego związki z kobietami ograniczały się głównie do środowiska emigrantów z Europy. Wraz ze Zbigniewem Najderem (późniejszym dyrektorem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa) „podrywali dziewczyny" niedawno przybyłe do Ameryki i słabo władające angielskim. Jak zwykle Kosiński odnosił w tej dziedzinie większe sukcesy, przy czym narodowość zdobyczy nie miała dla niego większego znaczenia. Z równym zapamiętaniem uwodził więc Niemki i Rosjanki, nie odczuwając żadnych obciążeń wojennych czy politycznych.

Oczywiście najbardziej interesował się Polkami i nawet na dłużej związał się z urodziwą Krystyną Iwaszkiewicz, którą poznał na przyjęciu u Miry Michałowskiej. Iwaszkiewicz była córką dyplomaty, skończyła w Polsce medycynę, miała też za sobą epizod aktorski – zagrała w filmie *Historia jednego myśliwca*. Kosiński traktował ją znacznie poważniej niż inne panie, nie opowiadał jej koszmarnych historii z czasów okupacji, ale nie wtajemniczał też do końca w swoje sprawy. Krystyna nie wiedziała, że podpisał umowę na wydanie swojej pierwszej książki i że prace nad nią są już bardzo zaawansowane. Oczywiście, nie był też jej wierny, monogamia nie leżała bowiem w jego naturze.

W tym samym czasie poznał również Halinę Poświatowską. Znajomość Kosińskiego z utalentowaną i urodziwą poetką do dzisiaj budzi spory między badaczami. Poświatowska ciężko chorowała na serce i przybyła do USA, aby poddać się operacji zwężenia zastawki mitralnej. Był to pierwszy tego rodzaju zabieg na świecie, a sfinansowała go jedna ze stacji telewizyjnych w zamian za prawa do transmisji na żywo.

Operacja się udała, Halina wracała do formy i niebawem zaskoczyła otoczenie decyzją o pozostaniu za oceanem. Postanowiła kontynuować naukę w jednym z college'ów, bez problemów uzyskała stypendium, dostała również pomoc finansową od Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku i Fundacji Kościuszkowskiej.

Nie mogła jednak odnaleźć się w Ameryce, nie pomógł jej w tym nieszczęśliwy romans ze znacznie starszym, żonatym poetą i wykładowcą filozofii, Josephem Margolisem. Nie wiadomo, w jakich okolicznościach poznała Kosińskiego, być może miało to miejsce w Instytucie Polskim w Nowym Jorku. Piękna dziewczyna od razu zwróciła uwagę Jerzego, gdyż prezentowała typ urody zbliżony do Audrey Hepburn, a jednocześnie kojarzyła się z modelkami impresjonistów. Była niezwykle zgrabną kobietą o ślicznej twarzy i nieodgadnionym spojrzeniu.

„Miała piękne oczy o kształcie dużych migdałów i nieokreślonym kolorze – uważała jej kuzynka Halina Schweiger. – Było w nich trochę seledynu, trochę ciemnej zieleni i niebieskiego. Miały wyraz i głębię. Ich uroku nie oddaje żadna fotografia ani rysunek"**[152]**.

Intrygującym dowodem zainteresowania Kosińskiego poetką jest seria jej fotograficznych portretów wykonanych przez niego w Central Parku. Podobno spędzali ze sobą dużo czasu, poświęcając go na spacery i rozmowy. Trudno jednak powiedzieć, czy łączyło ich coś więcej, wiadomo tylko, że po powrocie do kraju poetka określiła ich relację jako „prawie romans". Jak na artystów przystało, oboje stworzyli

---

152 Za: M. Pryzwan, *Ja minę, ty miniesz... Wspomnienia o Halinie Poświatowskiej*, Warszawa 2008, s. 23.

literackie wizje swojej znajomości. Zaczęła Poświatowska, która w opowiadaniu *Niebieski ptak* przedstawiła Kosińskiego jako kabotyna, narcyza i erotomana, niecofającego się przed bluźnierstwem i manipulacją. Jedynym talentem pisarza miała być niespożyta energia seksualna, co raczej trudno uznać za kartę wstępu na literacki Parnas. Na domiar złego miał zwyczaj instruowania jej, aby wyglądała jak najbardziej seksownie i wyzywająco, podczas gdy ona chciała być tylko sobą. Inna sprawa, że Poświatowska przedstawiła samą siebie w sposób jednoznacznie kojarzący się z fotografiami wykonanymi przez Kosińskiego.

„Mam twarz dobrą do kolorowych zdjęć. Moje włosy błyszczą rudawo – płukanka kupiona w tanim składzie perfumeryjnym nie była najlepszej jakości, zabarwiła mi skórę na skroniach – ciemne brwi i czerwone usta […]. Sukienka: czerwono-zielone pasy, głębokie wycięcie […] halka nieprzyjemnie sztywna, pantofle na bardzo wysokich obcasach”**[153]**.

Kosiński nigdy nie zapomniał jej nieprzyjemnych opinii na swój temat, a był wyjątkowo pamiętliwy. Dwadzieścia lat po śmierci poetki przedstawił ją w powieści *Pustelnik z 69 ulicy*. Halina została sportretowana pod nazwiskiem Heleny Powskiej, jako chora na serce huculska (!) poetka. Pisarz tak oto opisał zbliżenie erotyczne z Hucułką, która prosiła o miłość w sposób raczej mało wyrafinowany:

„Pierdol mnie, ty głupi pierdoło – śmieje mu się w twarz […] – Pierdol poetkę, która seks nazywa

---

153 Za: A. Godzińska, *Hucułka i ptasior*, http://szuflada.net/huculka-i-ptasior-halina-poswiatowska-i-jerzy-kosinski/

miłością, a także zmysłowością, która mówi o seksie jako o miłości prokreacji, i oczywiście kreacji, a także seksie jako łóżku, o kochaniu się, a także – wybacz, panie, że rzucam ci to prosto w twarz – o pierdoleniu”**[154]**.

Kosiński musiał jednak czasami rozpamiętywać ich znajomość, gdyż jego bohaterka zdradzała więcej niż tylko powierzchowne podobieństwo do Poświatowskiej. Ona również chorowała na serce, przeszła operację, a po powrocie do domu napisała zionące nienawiścią opowiadanie, a następnie zmarła. A bohaterowi Kosińskiego nie pozostało nic innego, jak tylko z bólem wspominać ich znajomość i bez końca czytać jej opowiadanie.

Faktycznie pamiętał o Halinie do końca życia – wspomniał o niej w przedmowie do drugiego wydania *Malowanego ptaka,* mówił o niej podczas swojej wizyty w Polsce w 1988 roku. Znajomości Kosińskiego z Poświatowską nie pomijają również jego amerykańscy biografowie, chociaż szczegóły ich relacji znane były tylko jej i jemu.

PRZYSZŁOŚĆ NALEŻY DO NAS, TOWARZYSZU

Pomimo trudności z angielskim Kosiński podpisał kontrakt z wydawnictwem Doubleday na napisanie „książki o Rosji”. Badacze do dzisiaj zastanawiają się, jak do tego doszło, a nie brakuje też opinii, że za całą sprawą stała CIA.

„Opublikował książkę napisaną po angielsku – tłumaczył anonimowo jeden ze znanych amerykańskich pisarzy. – [...] Jednak polscy

---

154 Za: *ibidem*.

imigranci nie piszą dobrze. W tamtym czasie CIA była zainteresowana wydawaniem takich książek, mogli zwerbować tego dzieciaka prosto ze statku. Nie wiem. Ale jeśli tak było, to on szybko się ich wyparł”**[155]**.

Funkcjonariusze CIA wcale nie musieli osobiście kontaktować się z Kosińskim – wystarczyło, że zrobili to przedstawiciele Wolnej Europy, która pozostawała pod kontrolą agencji. Jej byłym pracownikiem był prezes Strzetelski, a wśród znajomych Jerzego znajdował się Tony Czartoryski – pracownik Polskiego Instytutu Naukowego oraz Wolnej Europy. Obaj panowie wiedzieli, że Kosiński ma notatki z czasów wizyty w ZSRS, a niewykluczone też, że wspomnieli swoim mocodawcom o możliwości napisania książki. Projekt ten dobrze wpisywał się w program wspomagający powstawanie publikacji propagujących amerykański punkt widzenia na sprawy ówczesnego świata.

W późniejszych latach Jerzy wypierał się kontaktów z CIA, twierdząc, że za całą sprawą stał jego kolega studiujący na Uniwersytecie Columbia, Roger Shaw, który miał osobiste kontakty z wydawnictwem Doubleday. Tłumaczenie Kosińskiego uznano za konfabulację, gdyż nikt o takim nazwisku nie był zatrudniony w wydawnictwie. Jednak Jerzy mógł nie kłamać, ponieważ faktycznie jakiś Roger Shaw był w tym czasie studentem Instytutu Rosyjskiego Columbii**[156]**. Nie wiemy nic o tym człowieku ani o jego kontaktach w świecie

---

155 Za: J. Taylor, *The haunted bird. The death and life of Jerzy Kosiński*, „New York” 15.06.1991, tłum. G. Koper.

156 Za: J. Corry, op. *cit.*

wydawniczym, ale nie jest wykluczone, że do podpisania umowy przyczyniło się wiele różnych osób.

Kosiński pisał książkę po polsku, a tłumaczeniem zajęła się córka Strzetelskiego, Ewa Nowakowska. Pozycja miała zostać opublikowana pod pseudonimem Joseph Novak, ze względu na bezpieczeństwo rodziny pozostającej w kraju. Najwyraźniej Jerzy nie miał zaufania do Krystyny Iwaszkiewicz, gdyż nie wtajemniczył jej w tę sprawę.

Córka Strzetelskiego znakomicie wywiązała się z zadania, jednak o wiele większy problem stanowi wiarygodność tej „dokumentalnej" książki Kosińskiego. Pisał ją rzekomo na podstawie własnych obserwacji, ale w ZSRS był zaledwie raz i właściwie nie miał możliwości zapoznania się z prawdziwym życiem i poglądami mieszkańców tego kraju. Bez wątpienia większość jego „osobistych" obserwacji i rozmów pochodziła z Polski, ale treść „reportażu" *Przyszłość należy do nas, Towarzyszu* nie wzbudziła podejrzeń ani wydawców, ani czytelników. Książka miała znakomite recenzje, dobrze się sprzedawała, a do tego obszerne jej fragmenty opublikowano w „Reader's Digest" i „The Saturday Evening Post". Wydawnictwo zamówiło jej kontynuację (*Nie ma trzeciej drogi*), a na rynku wydawniczym krążyły sprzeczne opinie na temat wysokości honorarium autorskiego. Niektórzy nawet twierdzili, że Kosiński zainkasował aż 150 tysięcy dolarów, co wydaje się kwotą znacznie zawyżoną. Poza tym warto pamiętać, że pieniądze z tantiem i przedruków wpływają z dużym opóźnieniem i w pierwszych miesiącach do autora mogły trafić niewielkie kwoty. Wiadomo, że Ewa Nowakowska otrzymała od Kosińskiego 800 dolarów za przekład, co było normalnym wynagrodzeniem dla tłumacza w tamtych czasach.

Jerzy nie podzielił się z nią zyskami, co też było naturalną praktyką, gdyż tłumaczy opłacano wyłącznie za wykonaną pracę i nie partycypowali oni w dochodach ze sprzedaży. Bardziej zastanawiający był natomiast fakt, że nikt w wydawnictwie Doubleday nie wiedział, że książka powstała w języku polskim i że została przetłumaczona na angielski. Siłą rzeczy nikt nie znał też nazwiska tłumaczki, która współpracowała z Kosińskim na podstawie prywatnej umowy i w związku z tym nie została wymieniona w stopce redakcyjnej.

MARY WEIR

Sukces sukcesem, ale Kosiński wciąż nie miał pieniędzy, miał za to dalsze problemy z doktoratem. Los jednak się do niego uśmiechnął, bo dzięki Mirze Michałowskiej dostał pracę przy katalogowaniu zbioru książek milionerki Mary Weir. Biblioteka liczyła ponad 8 tysięcy tomów, a Jerzy miał otrzymać za swoje usługi sowite wynagrodzenie. Sprawę załatwiono przez osoby trzecie, bo Weir przebywała wówczas w Europie, co nie przeszkodziło Kosińskiemu natychmiast przystąpić do pracy.

Podobno milionerka podczas pobytu w Europie przeczytała *Przyszłość należy do nas, Towarzyszu* (zapewne Kosiński osobiście wysłał jej książkę) i zainteresowała się młodym autorem. Niebawem zainteresowanie miało przerodzić się w fascynację.

Mary była wdową po magnacie stalowym, Erneście T. Weirze. Przemysłowiec nie miał chyba zaufania do zmysłu finansowego żony, gdyż pozostawił swój ogromny majątek funduszowi powierniczemu, a ostatecznym spadkobiercą miał być

ich wspólny syn, pod warunkiem że „wykaże się w biznesie". Mary otrzymywała ogromne sumy z funduszu na codzienne utrzymanie, korzystała też z rodzinnych posiadłości. Dla Kosińskiego styl życia tej 18 lat starszej od niego kobiety był wręcz niewyobrażalny, bo wtedy po raz pierwszy zetknął się z kimś należącym do elity finansowej Stanów Zjednoczonych.

Wdowa miała szerokie zainteresowania artystyczne, uwielbiała malarstwo, literaturę oraz intelektualne dyskusje. Nigdy nie czuła się dobrze w otoczeniu przyjaciół męża i zapewne z tego powodu czasami nadużywała alkoholu, a weszło jej to w nawyk jeszcze za życia przemysłowca.

W chwili śmierci Ernesta miała 41 lat, wciąż była atrakcyjną kobietą, która zabijała nudę podróżami. Nie miała pomysłu na dalsze życie, czuła się kompletnie wypalona. Kosiński pojawił się w odpowiedniej chwili: młody, przystojny, czarujący i zupełnie inny niż mężczyźni z jej otoczenia. Miał ogromne poczucie humoru, a do tego dużo wolnego czasu, który mógł całkowicie jej poświęcić. Po raz pierwszy Mary czuła się dowartościowana jako kobieta.

Doskonale się uzupełniali – on miał wiele niezwykłych pomysłów, a ona środki na ich realizację. Jerzy imponował jej osobowością, natomiast Mary była dla niego przewodniczką po świecie dotąd dla niego niedostępnym. Kosiński nie miał zresztą większych skrupułów i bez ceregieli przyjmował od niej kosztowne prezenty – to wtedy zaczął nosić drogie, szyte na miarę garnitury, za które ona płaciła. Wynajęła mu znacznie lepsze mieszkanie, a on regularnie bywał na wydawanych przez nią

przyjęciach. To właśnie w tamtym czasie wykrystalizował się jego styl ubioru i zachowania.

„Zawsze wyglądał jak spod igły – wspominała Beata Tyszkiewicz. – Nie wiem, jak on to robił, ale te spodnie jego, one nigdy nie były ani trochę wygniecione. Nienaganny kancik, żadnych wypchanych kolan. No, a przy tym ten skrzący dowcip, inteligencja, nie chciało się kończyć z nim rozmowy”**[157]**.

Nie zerwał jednak związku z Krystyną Iwaszkiewicz, z którą spotykał się w opłacanym przez Weir mieszkaniu i którą woził należącym do Weir luksusowym Continentalem Mark II. Krystynie tłumaczył, że pracodawczyni jest tylko jego opiekunką i patronką, natomiast Mary wmawiał, że Krystyna jest tylko jego dobrą przyjaciółką, którą znał jeszcze z Polski.

Nie przeszkadzało mu to, że znajomi Mary uznali go za typowego łowcę posagów i wielokrotnie dawali mu to odczuć – najwyraźniej miał to „wliczone w koszty”. Echo tej sytuacji daje się usłyszeć w jego powieści *Randka* w *ciemno*.

„Nie, żebyś się nie dawał lubić, George – mówił gospodarz ekskluzywnego przyjęcia do powieściowego alter ego Kosińskiego. – Wręcz przeciwnie. Potrafisz być czarujący. Ale z tego powodu człowiek zastanawia się chwilami, czy nie postanowiłeś właśnie na tym zrobić kariery”**[158]**.

---

157 Za: *Jerzy Kosiński. More than life,* http://facet.onet.pl/malemen/jerzy-kosinski-more-than-life/rve5b

158 J. Kosiński, R*andka w ciemno*. Warszawa 2011, e-book.

Mary i Jerzy razem podróżowali po USA, a on poznawał kraj od tej dobrej strony. Zatrzymywali się w najlepszych hotelach. Mary rozpieszczała Jerzego pod każdym względem. Kiedy chciał poznać Ritę Hayworth, zorganizowała małe przyjęcie w Los Angeles, na które zaprosiła aktorkę. Zapewne już od dłuższego czasu byli kochankami, więc Jerzemu nie brakowało okazji do zrewanżowania się za te wszystkie dobrodziejstwa. Gdy ostatecznie zdecydowali się na ślub, Kosiński poinformował o tym Iwaszkiewiczównę. Poprosił jednak jednego z przyjaciół, aby wyjaśnił dziewczynie, że żeni się wyłącznie dla pieniędzy, dzięki którym kiedyś będą mogli razem rozpocząć nowe życie.

Mary Weir i Jerzy Kosiński pobrali się w styczniu 1962 roku w Birmingham w Alabamie, a w dniu wyjazdu na uroczystość przyszły pan młody zadzwonił do Krystyny i powiadomił ją, że poślubia jej rywalkę.

MALOWANY PTAK

Początkowo małżeństwo układało się znakomicie, a Jerzy idealnie wszedł w rolę księcia-małżonka. Często wyjeżdżali do Europy, wydawali też ekskluzywne przyjęcia, na których Kosiński pełnił obowiązki pana domu. Jak przystało na urodzonego efekciarza, nie zaniedbywał żadnego szczegółu, żeby osobiście olśnić zapraszanych gości.

„W głównym hallu witają [...] służący w liberii, po czym wiozą mnie na górę – opowiadał Ryszard Horowitz. – Tam pokojówka w fartuszku prowadzi do biblioteki i zostawia na pół godziny – moim zdaniem po to, bym mógł podziwiać malarski gust Mary Weir. Wreszcie pokojówka wraca i prowadzi mnie

korytarzem do innej części domu z ogromną fontanną i schodami przypominającymi scenografię z *Przeminęło z* wiatrem. Wtedy następuje wielkie wejście Jurka Kosińskiego – schodzi wolno po schodach w czerwonym smokingu”**[159]**.

Mary wciągnęła Jerzego w świat rozrywek wyższych sfer, to dzięki niej poznał grę w polo, która miała stać się jedną z jego życiowych pasji. Sport ten wymaga dużych pieniędzy i odpowiednich koneksji towarzyskich, a Weir miała i jedno, i drugie.

„To wyjątkowo męski sport – tłumaczył Kosiński – wszystko odbywa się w pełnym galopie, konie są do tego przyzwyczajone i trenowane. Sport z tak zwaną nieuregulowaną kolizją, nieomal orgia. Zmiana konia co trzy minuty daje nieprawdopodobny zastrzyk nowej energii. Precyzja konia daje poczucie władzy”**[160]**.

Kosiński szybko przyzwyczajał się do luksusu i powoli zrywał dawne kontakty, przestał nawet przyznawać się do swojego żydowskiego pochodzenia. Gdy do USA przybywali jego dawni znajomi z Polski, unikał spotkań z nimi, nie chcąc powracać do dawnych spraw. Coraz większym problemem był jednak narastający alkoholizm żony, która czasami postępowała w sposób nieodpowiedzialny. Ale i z tej sytuacji znalazł wyjście, rozpuszczając pogłoskę, że Mary cierpi na nowotwór mózgu, co w pełni wyjaśnia jej zachowanie. Przy okazji on sam zyskiwał szacunek jako człowiek, który z oddaniem opiekuje się chorą partnerką.

Czasami jednak odczuwał dyskomfort z powodu pozostawania na utrzymaniu żony, wobec

---

159 J.P. Sloan, op. *cit.*, s. 155.
160 Za: Cz. Czapliński, op. *cit.*, s. 146.

czego zawarli układ, który miał mu poprawiać nastrój.

„Na siebie wziąłem zobowiązanie dawania napiwków – wspominał – ale chyba nie powinienem tego robić. Jednak zdecydowałem się, gdyż wiedziałem, że muszę się jakoś dołożyć, a czułem się śmiesznie, będąc żonatym i nic nie mogąc zrobić.... Nie zdawałem sobie sprawy, ile trzeba wydawać na napiwki. To pochłaniało wszystko, co miałem”**[161]**.

Biorąc pod uwagę standard odwiedzanych lokali, wydaje się to całkiem prawdopodobne. I właśnie wtedy zaczął poważnie myśleć o napisaniu książki opartej na swoich okupacyjnych przeżyciach. Dostrzegł, jakie wrażenie wywierały jego opowieści, i zrozumiał, że stoi przed wielką szansą. Podobno ostateczną decyzję podjął podczas kolejnego alkoholowego odjazdu Mary w jednym ze szwajcarskich kurortów.

Był jednak jeden poważny problem – Kosiński nadal nie pisał dobrze po angielsku. Wprawdzie mówił już poprawnie, jednak jego korespondencja roiła się od błędów stylistycznych i ortograficznych. Najwyraźniej w jego przypadku zachodziła odwrotna sytuacja niż u Josepha Conrada, który wspaniale pisał w języku angielskim, ale miał fatalny akcent i Brytyjczycy często go nie rozumieli.

Kosiński postanowił więc zatrudnić zespół tłumaczy, bo nie chciał być uzależniony od jednej osoby, a poza tym wiedział, że powieść wiele zyska, gdy będzie mógł porównać różne przekłady i na ich podstawie skompilować ten najlepszy. Zamieścił ogłoszenie prasowe, rozmawiał z poszczególnymi kandydatami, wręczając im fragmenty powieści do

---

161 Za: J. Taylor, op. *cit.*

próbnego przekładu. Postawił również warunek, że tłumacze muszą pozostać anonimowi, bo za wszelką cenę chciał zrobić karierę jako pisarz anglojęzyczny.

Wywiązał się ze wszystkich zobowiązań dotyczących honorariów za próbne przekłady (płacił zresztą niezłe stawki), zdarzył się jednak jeden ważny wyjątek, Steven Kraus, Polak z pochodzenia, który przetłumaczył na próbę jeden z rozdziałów, nigdy nie dostał ani dolara, natomiast gdy *Malowany ptak* ukazał się na rynku wydawniczym, rozpoznał w książce fragment, nad którym pracował. Nie wiadomo, dlaczego Jerzy tak się zachował…

„Nie wstydziłem się pokazywać mój rękopis przyjaciołom, aby go uważnie przeczytali – tłumaczył po latach Kosiński. – Zrobiłem 16 czy 17 kopii każdego szkicu i pokazywałem różnym osobom. Wybierałem takich, których ojczystym językiem nie był angielski, ale także kilku Amerykanów. Prosiłem ich, by zaznaczyli małym krzyżykiem wszystko, co źle brzmiało. Jeśli wystarczająco dużo osób zaznaczało jedno zdanie, wiedziałem, że jest z nim coś nie w porządku”**[162]**.

Ostateczny kształt każdej książce nadaje redaktor i dlatego ważne jest to, żeby redakcję powierzyć właściwej osobie. W tym wypadku Kosińskiemu dopisało szczęście, bo poznał Petera Skinnera – młodego Anglika i absolwenta Oksfordu, który pracował w Nowym Jorku jako nauczyciel historii. Jerzy był pod wrażeniem jego erudycji i przebojowości, wobec tego zaproponował mu zredagowanie swojego powieściowego debiutu.

Skinner od razu zorientował się, że książka jest przekładem i że tłumaczyło ją kilka osób. Nie zraził

---

162 Za: J. Corry, op. *cit.*

się jednak, bo Kosiński płacił dobrze i regularnie, a w ramach dodatkowej gratyfikacji zabierał go na spotkania z luksusowymi prostytutkami. Panowie przypadli sobie do gustu, a ich współpraca miała potrwać wiele lat.

GORZKI SMAK SUKCESU

Praca nad *Malowanym ptakiem* przebiegała sprawnie, jednak pojawiły się problemy ze znalezieniem wydawcy. Doubleday odmówiło współpracy, zrażone słabą sprzedażą kontynuacji *Przyszłość należy do nas, Towarzyszu*. Na decyzję redaktorów zapewne wpłynął też fakt, że Kosiński chciał wydać powieść pod swoim nazwiskiem, a dla amerykańskich czytelników był autorem zupełnie anonimowym. Rękopis odrzuciło także kilka innych wydawnictw z Nowego Jorku, twierdząc, że nie ma zapotrzebowania na „pornografię przemocy". Jednak Jerzemu znowu dopisało szczęście, bo na jednym z przyjęć spotkał Dorothy de Santillanę – szefową działu literackiego oficyny Houghton Mifflin. Poprawiony przez Skinnera rękopis bardzo się jej spodobał, a Kosiński dawał do zrozumienia, że książka jest oparta na jego rzeczywistych przeżyciach. To właśnie wtedy po raz pierwszy zastosował metodę, którą później doprowadził do perfekcji: z jednej strony twierdził, że nie jest bohaterem *Malowanego ptaka,* a z drugiej sugerował, że granica pomiędzy literaturą faktu a fikcją literacką jest bardzo płynna. Dbał również o to, by nadać swojej książce cechy autentyczności, toteż gdy odwiedziła go matka (ojciec zmarł niebawem po jego ślubie z Mary Weir), publicznie potwierdziła, że podczas okupacji została rozdzielona z synem. I tej wersji trzymali się oboje

nawet w prywatnej korespondencji i podczas rozmów telefonicznych.

Podobną taktykę przyjęło wydawnictwo, zamieszczając na okładce notkę, według której autor *Malowanego ptaka* „czerpał z doświadczeń dzieciństwa spędzonego na rubieżach Europy Wschodniej, dokąd rzuciły go wojenne losy”**[163]**. Było to mistrzowskie posunięcie, bo dawano do zrozumienia, że książka oparta jest na faktach, a jednocześnie nie można było zarzucić nikomu kłamstwa.

Malowany ptak ukazał się w połowie października 1965 roku i zebrał entuzjastyczne recenzje. Porównywano go do dziennika Anny Frank, wychwalano narrację i „pewność stylu”, uznano też, że powieść odznacza się wielkimi walorami historycznymi. Do grona admiratorów książki przyłączył się sam Arthur Miller, który wystosował do Kosińskiego list pochwalny, którego fragmenty zamieszczano później na obwolucie kolejnych wydań:

„Ciężko mówić o pięknie w odniesieniu do tego tematu, jednak pan je stworzył poprzez stopniowanie i zmianę treści centralnego obrazu. Mam nadzieję, że pańska praca przyniesie panu uznanie za jej unikalność w tym względzie. Jeśli kiedykolwiek powrócę do Niemiec, obawiam się, że pański ptak będzie fruwał nad moją głową”**[164]**.

Zachwyt wyrażał także Elie Wiesel, pisarz i dziennikarz, były więzień hitlerowskich obozów śmierci i twórca terminu Holocaust. Jego głos miał ogromne znaczenie wśród amerykańskich Żydów, a jego pozytywna recenzja zapewniła powieści sukces

---

163 J.P. Sloan, op. *cit.*, s. 197.
164 Za: Cz. Czapliński, op. *cit.,* s. 123.

niemal na całym świecie. Wiesel uznał ją bowiem za dokument zagłady swojego narodu, a do tego za wybitne osiągnięcie literackie:

„Malowany ptak […] osiąga niezwykłą moc oddziaływania jako kronika ludzkiego doświadczenia. Nacechowana głębokim żarem i wrażliwością, ta przejmująca opowieść rozsadza ramy osobistego wyznania i osiąga chwilami niesamowity nastrój na wpół surrealistycznej baśni. Lekturze towarzyszy strach, wstyd i smutek”**[165]**.

Przy okazji pojawiły się również antypolskie wypowiedzi. Andrew Field z „New York Herald Tribune” stwierdził, że książka ukazuje „bezlitośnie surowy portret Polaków, przedstawiając ich jako chętnych i wręcz energicznych pomocników Niemców w łapaniu polskich Żydów i Cyganów”**[166]**.

Tego nie mogły przeoczyć władze PRL, które natychmiast zorganizowały kampanię przeciwko Kosińskiemu „opluwającemu kraj, w którym się urodził”. Na jej czele stanął korespondent PAP w Nowym Jorku, Wiesław Górnicki, postać szerzej znana w Polsce w łatach 80., gdy był bliskim współpracownikiem Wojciecha Jaruzelskiego i autorem przemówienia obwieszczającego wprowadzenie stanu wojennego.

Górnicki nie czytał *Malowanego ptaka,* wystarczyły mu recenzje prasowe. Natychmiast zainicjował działania mające zdyskredytować Kosińskiego w oczach amerykańskich czytelników.

„Po ukazaniu się [pozytywnej] recenzji – wspominała Helen Yglesias z »Nation« – do biura

---

165 Za: J.P. Sloan, op. *cit.,* s. 204.
166 Za: *ibidem,* s. 203.

przyszło dwóch Polaków. Pamiętam, że byli bardzo wzburzeni i powiedzieli, że odwiedzili także innych wydawców. Twierdzili, ze *Malowany ptak* został napisany przez polskiego Żyda, który zginął w obozie koncentracyjnym, ale jego rękopis dziwnym trafem się zachował. Mieli ze sobą petycję podpisaną przez dziesiątki Polaków”**[167]**.

W „Ameryka-Echo”, jednym z najpopularniejszych polonijnych tygodników, zamieszczono artykuł Górnickiego *Trudno być Polakiem*. Autor oskarżył w nim Kosińskiego o przedstawienie Polaków jako nacji zboczeńców i stwierdził, że jedyną pozytywną postacią w powieści jest oficer SS. Wprawdzie kilka dni później redakcja przeprosiła za recenzję, ale treść artykułu zdążyła się już upowszechnić w środowiskach polonijnych.

Niebawem do akcji włączyła się prasa krajowa. Co prawda książka nie została wydana po polsku i praktycznie nikt w Polsce nie mógł wyrobić sobie własnego zdania na jej temat, ale nie przeszkadzało to w atakach na jej treść. Zgodnie z zasadami komunistycznej propagandy uczyniono z powieści ważny element zimnej wojny i narzędzie działania niemieckich odwetowców.

Sygnał do ataku ponownie dał Górnicki, publikując zjadliwy artykuł na łamach „Polityki”. Zawyżył liczbę sprzedanych książek do 100 tysięcy egzemplarzy (w rzeczywistości rozeszło się wówczas 5 tysięcy), dodając przy okazji, że Kosiński ma już podpisane umowy na przekłady w dwunastu językach. Górnickiego oczywiście nie interesował fakt, że w tym czasie publikację powieści rozważały tylko wydawnictwa brytyjskie, szwajcarskie i

---

167 Za: J. Corry, *op. cit.*

francuskie, ważny był wyłącznie efekt propagandowy. A ten faktycznie był znaczny, gdyż „Polityka" cieszyła się nad Wisłą dużą renomą.

„To dzikie, okrutne plemię – pisał Górnicki – jaskiniowe w swym obyczaju, nie znające współżycia, uczuć macierzyńskich, litości ani solidarności, przeżarte nienawiścią do ostatniego włókna, prymitywne do idiotyzmu – to my. To o nas czytają teraz tysiące inteligentnych czytelników w USA i Europie Zachodniej"**[168]**.

Recenzent posunął się nawet do zarzutu, że Kosiński zmieniał duże fragmenty powieści, chcąc przypodobać się czytelnikom w różnych krajach. Edycja amerykańska miała różnić się zakończeniem od brytyjskiej, natomiast wydanie niemieckojęzyczne zawierać miało fragmenty o tym, że „polscy chłopi masowo dobijali rannych partyzantów", którzy zresztą „nie byli lepsi od gestapo". Najbardziej skoncentrował się jednak na obyczajach polskich chłopów, które w ujęciu Kosińskiego niewiele różniły się od zachowania dzikich plemion z Nowej Gwinei:

„[Czytelnicy] dowiadują się, jak to polscy chłopi mordowali żydowskie dzieci […], jak partyzanci wydali cygańskiego chłopca w ręce gestapo, jak katowanie ciężarnych kobiet, wyjmowanie oczu łyżką, ćwiczenie dzieci kańczugiem, topienie ludzi w kloace stanowiło główne, wyłączne niemal zajęcie Polaków podczas okupacji"**[169]**.

Niebawem do ataku dołączyły inne krajowe tytuły. Kosińskiemu przypisywano wszelkie możliwe zamiary, włącznie z próbą zniszczenia polskiej państwowości. Sztandarowym argumentem był fakt,

---

168 W. Górnicki, *Laur malowany,* „Polityka" 12/1966.
169 *Ibidem*.

że książka ukazała się w RFN, co najlepiej miało świadczyć o intencjach autora. W rzeczywistości było to kłamstwo, bo niemieckojęzyczna wersja została wydana w Szwajcarii, skąd dopiero później trafiła na rynek zachodnio-niemiecki.

„Dobrze przemyślany jest wreszcie wybór momentu puszczenia w ruch tego osobliwego bestsellera – pisano na łamach »Forum«. – Jest to chwila wielkich tarapatów NATO [Francja wycofała się ze struktur wojskowych paktu – S.K.] i zaciekłej ofensywy Bonn w celu zdobycia broni nuklearnej dla Bundeswehry. W tej sytuacji akcja wybielająca jest czynnikom bońskim niezwykle potrzebna. Ułatwia również pozycję waszyngtońskiego poparcia dla RFN. Nieprzypadkowo więc *Malowany ptak* ukazuje się jednocześnie w USA i Bonn. Nieprzypadkowo jest tak usilnie propagowany i rozprowadzany właśnie przez nich po całym świecie”**[170]**.

Kosińskiego nazywano „wielbicielem Niemców”, człowiekiem „o spaczonej fantazji”, porównywano go do Goebbelsa i senatora McCarthy’ego. *Malowanego ptaka* nazywano „plugawą książką”, a stąd nie było już daleko do stwierdzenia, że Kosiński usprawiedliwia zbrodnie niemieckie w Polsce.

„Cel tych zabiegów jest jasny – pisano na łamach wrocławskiego »Słowa Polskiego« – skoro nie da się zaprzeczyć, że Niemcy wymordowali miliony Żydów, Polaków, Rosjan i innych, to obniżyć trzeba ludzką wartość ofiar, pozbawić je cech człowieczeństwa, przedstawić jako mierzwę, nadającą się jedynie do użyźniania ziemi swoimi ciałami. A stąd już tylko krok do następnej tezy: że obozy

---

170 *Malowany ptak,* „Forum” 24/1966.

zagłady – Oświęcim, Treblinkę i Majdanek i dziesiątki innych – dlatego zbudowali Niemcy na ziemiach polskich, ponieważ znajdowali tu ponoć sprzyjającą atmosferę i ów klimat psychologiczny, pełny nienawiści i okrucieństwa, w którym wszyscy wzajemnie mieli się tępić"**[171]**.

Kosińskiego atakowano także na łamach polonijnej prasy europejskiej. Londyńskie pismo „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" uznało, że pisarz gloryfikuje Armię Czerwoną, która przecież przyniosła Polsce nową niedolę, natomiast na łamach paryskiej „Kultury" zarzucono mu, że zbyt życzliwie przedstawił Niemców i Sowietów, natomiast Polaków potraktował wyjątkowo tendencyjnie. Był to jeden z nielicznych przypadków, gdy prasa PRL i polskojęzyczne gazety emigracyjne zgadzały się ze sobą.

Doszło wreszcie do tego, czego najbardziej obawiał się Kosiński. Polska telewizja wyemitowała program *Śladami Malowanego ptaka,* relacjonując rozmowy ze znajomymi Jerzego z czasów młodości, i pokazując, gdzie mieszkał przed emigracją za ocean. Podobno „oburzone tłumy obiegły" dom jego matki, która poczuła się zagrożona i musiała przenieść się do Warszawy.

O WŁASNYCH SIŁACH

Jerzy był już wówczas obywatelem amerykańskim, bo jako mąż Mary Weir nie miał problemów z uzyskaniem paszportu USA. Władze w Warszawie uznały to za dogodny pretekst do odegrania się na nim i nie przyjęły jego rezygnacji z

---

171 *Niemcy są ich miłością,* „Słowo Polskie" 20.06.1966.

polskiej przynależności państwowej. W ten sposób zapewniły mu status przestępcy, jako że polskie prawo wykluczało podwójne obywatelstwo. Dodatkowym efektem tych działań było utrzymanie fikcji, że pisarz podlega peerelowskiej jurysdykcji, w związku z tym można go będzie pociągnąć do odpowiedzialności za napisanie antypolskiej książki**[172]**. Jednak wydarzenia Marca 1968 roku spowodowały, że czynniki rządowe w Polsce skoncentrowały się na innych, ważniejszych problemach.

Bezpardonowe ataki polskiej prasy podsycały zainteresowanie książką na świecie, co znalazło przełożenie na jej sprzedaż. Powieść cieszyła się dużą popularnością w Wielkiej Brytanii, a we Francji uzyskała prestiżową nagrodę Le Prix du Meilleur Livre Étranger (za najlepszą powieść obcojęzyczną). Prawdziwym hitem stała się jednak w RFN, co w pewnym stopniu potwierdza opinie propagandystów z Warszawy. Niemcom, zmagającym się z traumą po II wojnie światowej, obraz polskiego chłopstwa jako społeczności zabobonnej, ksenofobicznej i obarczonej licznymi dewiacjami seksualnymi musiał się wydać pociągający. Potwierdzało to przecież mit „słowiańskich podludzi".

Powieść najgorzej rozchodziła się w USA, zapewne z powodu zlekceważenia promocji przez wydawnictwo Houghton Mifflin. Kosiński był rozgoryczony. Liczył na to, że *Malowany ptak* przyniesie mu duże zyski, tymczasem nadal musiał pozostawać na utrzymaniu żony. Kroplą przepełniającą czarę goryczy było potrącenie mu prawie tysiąca dolarów jako koszt poprawek

---

172 IPN BU 1218/5194/1.

naniesionych przez autora już po złożeniu książki. Wydawcy bywają czasami zadziwiająco krótkowzroczni...

Nadzieją na przyszłość była umowa z Pocket Books na wydanie powieści w miękkiej oprawie, bo chociaż i tak znaczna część dochodów ze sprzedaży miała trafić do Houghton Mifflin, to strategia reklamowa nowego wydawnictwa mogła przynieść sukces. Jego nadzieje były tym większe, że w nowej edycji przywrócono fragmenty, które pierwotnie uznano za zbyt drastyczne.

Tymczasem Kosińskiemu szczególnie mocno zależało na pieniądzach, ponieważ zanosiło się na rozwód z Mary Weir. Żona była coraz bardziej uzależniona od alkoholu, a leczenie odwykowe nie przynosiło trwałych rezultatów. Pojawiały się u niej poważne zaburzenia psychiczne, w efekcie czego kilka razy ją hospitalizowano, przy czym lekarze nie dawali jej szans na całkowite wyleczenie.

Alkohol nie był zresztą jedynym problemem tego związku. Mary tolerowała zdrady Kosińskiego, ale przyłapawszy go w łóżku z innym mężczyzną, uznała, że to już przesada. Chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, że mąż w poszukiwaniu nowych doznań erotycznych gotowy jest niemal na wszystko. Jeszcze mieszkając w Łodzi, proponował jednemu z przyjaciół, aby poszli razem do łóżka i „zobaczyli, jak to jest". Przy okazji zwierzał się, że cierpi na kompleks Edypa, co zapewne wyjaśniało jego pociąg do starszych kobiet. W czasie małżeństwa z Mary regularnie odwiedzał starszą od niego o ponad 20 lat Lilię van Saher – pisarkę prowadzącą modny w Nowym Jorku salon literacki. Do jej przyjaciół zaliczali się tacy wybitni twórcy, jak Tennessee Williams, Norman Mailer, Henry Miller, Anaïs Nin

oraz Gore Vidal, co bardzo imponowało Kosińskiemu. Lilia nie zajmowała się jednak wyłącznie literaturą – świadczyła również wyspecjalizowane usługi seksualne, z czego zresztą nie robiła żadnej tajemnicy. Zamieszczała nawet ogłoszenia prasowe, które reklamowały tę jej działalność.

Z Kosińskim połączyła ją dość dziwna więź. Pisarz wysoko sobie cenił intymne chwile spędzane u jej boku, a szczególnie te, gdy nad nim dominowała. To właśnie wtedy zaczął przejawiać upodobanie do wyzywającej, czarnej bielizny, co miało pozostać jego słabością do końca życia. Lilia stała się jego doradczynią i oddaną przyjaciółką, a intymne kontakty utrzymywali aż do jej śmierci w 1968 roku. Jerzy był zresztą przy niej w jej ostatnich chwilach.

Jednak nawet Lilia nie potrafiła zaspokoić głodu seksualnego Jerzego. Regularnie korzystał z usług prostytutek, a na intymne spotkania zabierał nie tylko Skinnera, ale nawet swojego pasierba, osiemnastoletniego Davida. Wydaje się, że chłopak znacznie więcej wiedział o życiu erotycznym Kosińskiego niż jego własna żona.

„Był ode mnie dziesięć lat starszy – opowiadał pasierb. – Był trochę jak egzotyczny, starszy brat. Zabrał mnie pewnej nocy do burdelu, gdy moja matka była poza miastem. Wydawał się bardzo zainteresowany tymi sprawami. Ja miałem wtedy 18 lat i też naturalnie byłem zainteresowany takimi rzeczami. Wzięliśmy dziewczynę z eleganckiego burdelu na 47. ulicy i zawieźliśmy ją do mieszkania jej przyjaciół. Było tam już trzech mężczyzn i stało się – wieczór przebiegł tak, jak można było się domyślać. Byłem wtedy napalonym nastolatkiem, zatem z jednej strony wydawało mi się dziwne, że jadę na prostytutki z ojczymem, gdy matki nie ma w mieście,

ale z drugiej też pożądałem takiego doświadczenia, co jest raczej normalne w tym wieku. Nie zastanawiałem się nad tym zbyt wiele”**[173]**.

Podczas sprawy rozwodowej Kosiński nie miał żadnych żądań finansowych, być może wcześniej podpisał intercyzę. Zachował tylko apartament, w którym mieszkał. Inna sprawa, że chociaż wysoko cenił luksus, to pod względem lokalowym nigdy nie był wybredny. Jego potrzeby pod tym względem ograniczały się do jednego, niewielkiego pomieszczenia.

„Nie potrzebowałem niczego – tłumaczył – zawsze żyłem w jednym pokoju. W każdym domu, w jakim przebywaliśmy, przenosiłem wszystkie moje rzeczy do jednego pokoju, co doprowadzało służbę do szaleństwa, ponieważ nie mieli czego sprzątać. Zawsze też sam sprzątałem swój pokój”**[174]**.

Po Nowym Jorku krążyły jednak plotki, że Mary obdarzyła go legatem w wysokości 300 tysięcy dolarów (ponad 2 miliony euro), co raczej trudno potwierdzić. Niebawem znalazł się bowiem w trudnej sytuacji finansowej i nic nie wskazywało na to, aby miał jakieś zabezpieczenie majątkowe, bo starał się żyć z tego, co na bieżąco zarabiał.

Plotki na temat małżeństwa i rozwodu Kosińskiego docierały nad Wisłę. Były to informacje wybiórcze, a do tego mocno przetworzone. Mylono fundusz powierniczy z muzeum, a Kosińskiego uważano za łowcę posagów, który ożenił się dla pieniędzy, ale nic z tego nie uzyskał.

„[…] ożenił się z amerykańską miliarderką, wdową po jakimś królu stali – opowiadał Jerzy

---

173 Za: *Sex, Lies…*

174 Za: J. Corry, *op. cit.*

Urban, który znał Kosińskiego z czasów szkoły średniej. – Mieszka w pałacu, ale jest nieszczęśliwy, bo nie może postawić szklanki whisky tam, gdzie ma ochotę, wszystkie bowiem meble są zapisane w testamencie króla jakiemuś muzeum i regularnie przychodzi do nich kustosz pilnować, czy ich nie niszczą”**[175]**.

Rozwód orzeczono 1 stycznia 1966 roku, ale pisarz nadal utrzymywał z byłą żoną bliskie kontakty. Często prowadzili długie rozmowy telefoniczne, a ich znajomi uważali nawet, że dopiero teraz znaleźli właściwy rodzaj wzajemnych relacji, albowiem Mary nie była Kosińskiemu potrzebna jako żona i kochanka, a jedynie jako substytut matki. Wprawdzie nie wypłacała mu już „kieszonkowego”, ale ciągle zajmowała jakieś miejsce w jego życiu.

Mary Weir zmarła 1 sierpnia 1968 roku, miesiąc po Lilii van Saber. Bezpośrednią przyczyną śmierci było zatrucie alkoholem i barbituranami (oficjalnie podano, że zmarła na guza mózgu). Znaleziono ją martwą w dawnym pokoju Kosińskiego, z którym kilkanaście godzin wcześniej odbyła ostatnią rozmowę telefoniczną. W tym czasie u boku Jerzego była już nowa partnerka…

KIKI

Jeszcze przed śmiercią Mary Kosiński rozpoczął – uwieńczone sukcesem – starania o stypendium Fundacji Pamięci Johna Simona Guggenheima. Podpisał też umowę na nową powieść. Tym razem Peter Skinner był nie tylko redaktorem,

---

175 J. Urban, *Jerzy Urban o swoim życiu rozmawia z Martą Stremecką*, Warszawa 2013, s. 61.

ale praktycznie współautorem książki. Przy okazji Kosiński zmienił wydawcę – powieść, którą ostatecznie zatytułował *Kroki,* miała się ukazać nakładem największego anglojęzycznego wydawnictwa, Random House. Znalazło to przełożenie na jego honorarium, gdyż tytułem zaliczki dostał 10 tysięcy dolarów (około 70 tysięcy euro). Pisarz zaczął też odczuwać finansowe efekty publikacji *Malowanego ptaka* w wersji popularnej – dostawał coraz większe tantiemy, a do tego Stowarzyszenie Nauczycieli Angielskiego wciągnęło tę książkę na listę lektur uzupełniających. Zaskoczyło to nie tylko wydawców, ale również samego Kosińskiego.

Powoli zrywał więzy z polskimi środowiskami i coraz pewniej się czuł w amerykańskim otoczeniu. Dzięki Mary poznał wielu ludzi biznesu, natomiast Lilia wprowadziła go w świat twórców literatury. Nowe znajomości pociągały za sobą następne i niebawem był już dobrze zadomowiony w środowisku nowojorskiej bohemy. Jak zwykle starannie dobierał znajomych, zachował także kontakty z tymi Polakami, którzy mogli okazać się potrzebni. Nakłonił przebywającego we Francji Wojtka Frykowskiego do przyjazdu do USA, zapoznał go też z Abigail Folger, która pochodziła z niezwykle bogatej rodziny producentów kawy. Przeczucie go nie myliło, gdyż Wojtek i Abigail stali się parą, co dobrze rokowało na przyszłość. Przy okazji Jerzy odnowił też znajomość z Romanem Polańskim, właśnie święcącym triumfy w Hollywood.

Podczas jednego z przyjęć poznał Katherinę von Fraunhofer, zwaną Kiki. Oczarował ją do tego stopnia, że dziewczyna natychmiast zerwała ze swoim narzeczonym i zaczęła spotykać się z Kosińskim. Szybko zostali kochankami, bo Jerzy nigdy nie miał

problemów z nakłonieniem swoich partnerek do potwierdzenia fascynacji miłością fizyczną. I trudno się dziwić, skoro po kwadransie rozmowy z nim kobiety miały podobno wrażenie, że znały go całe życie.

„Byłam w tym czasie zaręczona – potwierdzała Katherina – planowałam wyjechać do Szwajcarii i za trzy tygodnie wyjść za mąż. Poszliśmy na lunch. Zaczął do mnie mówić i od razu zrozumiałam, że nie mogę wyjść za mąż. Nagle, na tym lunchu odnalazłam ważną część siebie. I tak wyglądał cały nasz związek”**[176]**.

Katherina była jego rówieśniczką, pochodziła ze starego bawarskiego rodu, urodziła się jednak w Nowym Jorku, a wychowała w Anglii. W jej rodzinie nie brakowało wybitnych jednostek, zdarzały się też skandale obyczajowe. Jeden z największych wywołał jej własny ojciec, który początkowo poślubił jej babkę, aby po jej śmierci ożenić się z córką zmarłej żony. Z tego właśnie związku przyszła na świat Kiki.

Dla Kosińskiego okazała się prawdziwym skarbem, bo pracując w firmie reklamowej, nabrała przyzwyczajeń, które wprowadziły ład i porządek w jego życie zawodowe. Stała się nieodłączną asystentką i najważniejszą współpracowniczką Jerzego, i oczywiście jego najzagorzalszą wielbicielką. Miała jednak pewną wadę, z czego Jerzy dobrze zdawał sobie sprawę – nie potrafiła w pełni zaspokoić jego potrzeb seksualnych. Temu jednak nie potrafiłaby zapewne sprostać żadna kobieta, dlatego też Katherina przymykała oczy na romanse partnera, chociaż czasami okazywała zazdrość.

---

176 Za: *Sex, Lies...*

Posłusznie zrezygnowała z pracy zawodowej, dzięki czemu cały wolny czas mogła poświęcić partnerowi. Razem wyjeżdżali do Europy i praktycznie razem też mieszkali, zachowali jednak własne apartamenty. Było to zgodne z ówczesnymi obyczajami, które pozwalały na to, by partnerzy pozostawiali sobie trochę więcej prywatności. Inna sprawa, że raczej trudno wyobrazić sobie Kosińskiego jako typowego męża i ojca rodziny.

„Ona wiedziała wszystko, co dotyczyło Jurka – wspominał Wojciech Fibak, który miał okazję poznać ich kilka lat później. – Była niezwykle inteligentna. I całkowicie skupiona na nim, na promowaniu go. Taka ekscentryczna z nich była para. Zawsze miała pod ręką teczki z jego zdjęciami, wycinkami z gazet”**[177]**.

Druga powieść Jerzego, *Kroki,* ukazała się na rynku w październiku 1968 roku. Wprawdzie nie wzbudziła podobnych emocji jak debiut, ale chwalono jej oszczędną prozę, która znakomicie oddawała „banalność, malowniczość i potworność”. Przy okazji zwracano uwagę na fakt, że *Kroki* ukazują „całkowity upadek ludzkich wartości”, a ich autor udowadniał, że jest jednym z najlepszych anglojęzycznych stylistów. Najwyraźniej Peter Skinner znakomicie wykonał swoją pracę…

Nie uchroniło go to przed nieporozumieniami z pryncypałem. Już wcześniej irytowało go to, że Kosiński nie pozwalał mu zabierać ze sobą żadnych fragmentów prozy, nad którymi pracowali, i niemalże rewidował go przed wyjściem. Nie mógł też poświęcać Kosińskiemu tyle czasu, ile ten żądał. Skorzystał zatem z okazji, jaką było przyjęcie przez Jerzego

---

177 Za: *Jerzy Kosiński. More than life…*

posady starszego wykładowcy na Uniwersytecie Princeton, i zakończył współpracę. Gdy jednak poprosił Kosińskiego o referencje, ten nie potrafił zachować się z klasą. Doskonale wiedział, że bez Skinnera nigdy nie osiągnąłby sukcesu, lecz obawiał się ujawnienia prawdziwej roli współpracownika. Zgodził się zatem tylko na oświadczenie, że Skinner wykonywał „drobne prace sekretarskie" na rzecz jego oraz Mary Weir, natomiast „nie miał z nim żadnych innych powiązań zawodowych"**[178]**.

CELEBRYTA SWOICH CZASÓW

W marcu 1969 roku *Kroki* otrzymały National Book Award, jedną z najbardziej prestiżowych nagród literackich w USA. Dla Kosińskiego oznaczało to automatyczną przepustkę na literacki Parnas. Nagle, z dnia na dzień, stał się jednym z najbardziej cenionych autorów amerykańskich.

Wykorzystał to po mistrzowsku, nawiązując wiele cennych kontaktów. Poznał Williama Styrona, Jamesa Jonesa (autora *Stąd do wieczności*), a podczas podróży po Europie miał przyjemność słuchać koncertu Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej, siedząc w jednej loży z samym Leopoldem Stokowskim. Można go było uznać za człowieka sukcesu, tym bardziej że za następną, dopiero planowaną powieść otrzymał gigantyczną zaliczkę w wysokości 80 tysięcy dolarów (około 560 tysięcy euro).

Problemem był jednak dobór współpracowników. Jerzy doskonale wiedział, że sam nie stworzy nowego utworu, a przecież Skinner

---

178 Za: J.P. Sloan, *op. cit.*, s. 270.

odszedł i zastąpić go było wyjątkowo trudno. Co gorsza, nowi asystenci mogli się okazać mniej dyskretni. Wprawdzie Kosiński pisał już w języku angielskim, ale jego oryginalna proza była daleka od doskonałości. Ponadto nie potrafił stworzyć jednej, spójnej całości – poszczególne rozdziały były zupełnie autonomiczne, czasami niemal w ogóle niezwiązane z innymi.

Miejsce Skinnera zajął wykładowca z Princeton, Stanley Corngold. Był on wielbicielem Kosińskiego, a do tego nie miał specjalnych wymagań finansowych. Nie ukrywał jednak zaskoczenia, gdy dostał do ręki fragmenty rękopisu nowej powieści, gdyż poczuł się „zaszokowany prymitywnym poziomem fragmentów prozy" autora, którego wcześniej porównywał do Jamesa Joyce'a**[179]**. Pomimo to podjął się zadania i przez cały semestr pracował nad maszynopisem, czasami przyjeżdżając do Nowego Jorku, aby uzgadniać z Kosińskim poszczególne fragmenty.

Powieść *Wystarczy być* okazała się kolejnym triumfem Jerzego. Zebrała znakomite recenzje, w których jej twórcę porównywano do Samuela Becketta i Jorge Luisa Borgesa. W chórze ogólnych zachwytów ironicznie zabrzmiał głos Johna Updike'a, który zauważył, że „powieści Kosińskiego sprawiają wrażenie, jakby ich końcowy rozdział dopisać miał życiorys autora"**[180]**.

Tym razem sukcesowi artystycznemu dorównał sukces komercyjny, jako że powieść rozchodziła się znakomicie. Dzięki niej pisarz przekroczył granice popularności literackiej, stając

---

179 *Ibidem*, s. 272.
180 Za: *ibidem*, s. 284.

się osobowością medialną. Pod koniec maja 1971 roku wystąpił po raz pierwszy w niezwykle popularnym programie telewizyjnym Johna Carsona (*Tonight show*). Wśród gości byli znani i lubiani muzycy, a jednak to właśnie Jerzy skupił na sobie uwagę widzów. Później pojawiał się tam jeszcze wielokrotnie, przy czym jego wizyty najczęściej nie miały nic wspólnego z twórczością literacką. Okazało się, że doskonale czuje się przed kamerą i jest dla widzów prawdziwą atrakcją. I już wkrótce ta medialna strona życia przesłoniła jego aktywność literacką, o co było tym łatwiej, że Kosiński przywiązywał wielką wagę do promocji własnej osoby. Wykorzystywał każdą nadarzającą się okazję, aby zwrócić na siebie uwagę mediów, i nie zawsze robił to w dobrym stylu.

Dziewiątego sierpnia 1969 roku banda Charlesa Mansona dokonała napadu na dom Romana Polańskiego w Beverly Hills. Zginęło pięć osób, w tym żona reżysera, Sharon Tate (była w ósmym miesiącu ciąży) oraz Wojtek Frykowski i Abigail Folger. Zaraz po napadzie Kosiński zaczął rozpowszechniać informację, że też miał zaproszenie do domu Polańskiego, ale spóźnił się z powodu zagubienia bagażu na lotnisku w Paryżu. Nie był w tym zresztą odosobniony, bo nagłe pojawiło się wielu „cudownie ocalonych", co ze smutkiem przyznawał Polański:

„[...] znalazły się więc dziesiątki ludzi, którzy utrzymywali, że byli tego wieczora zaproszeni na Cielo Drive. Możliwe, że niektórzy po prostu pomylili daty; Sharon miała urządzić wielkie przyjęcie 18 sierpnia w dniu moich urodzin, część osób otrzymała już nawet zaproszenia. Ale krytycznego wieczoru nie spodziewała się nikogo, nawet Jerzego Kosińskiego,

który twierdził później, że gdyby nie zgubiono jego bagażu na lotnisku, znalazłby się wśród ofiar”**[181]**.

Pisarz trzymał się jednak swojej wersji wypadków, twierdząc, że Polański, przebywający wówczas w Londynie, nie był o wszystkim poinformowany. Tymczasem Sharon – serdecznie nie znosiła Kosińskiego, więc zaproszenie go wydaje się mało prawdopodobne. Oczywiście mógł go zaprosić Wojtek Frykowski, ale wątpliwe, aby zdecydował się na taki krok bez porozumienia z gospodynią. Tak czy inaczej Kosiński uznał, że dodatkowy rozgłos mu nie zaszkodzi, tym bardziej że zbrodnią przy Cielo Drive żyła wówczas cała Ameryka. Gazety prześcigały się w najbardziej sensacyjnych hipotezach, a w tle tragedii były narkotyki, seks i praktyki satanistyczne. Tak dramatyczne wydarzenie idealnie wpisywało się w twórczość Jerzego, a on przecież zawsze wyznawał zasadę, że jeśli coś nie jest niemożliwe, to może się wydarzyć…

MIŁOŚĆ À LA KOSIŃSKI

Podczas pracy nad *Wystarczy być* pisarz poznał Jean Kilbourne, młodszą o dziesięć lat absolwentkę Wellesley. Spotkanie z urodziwą dziewczyną wywarło na nim tak wielkie wrażenie, że rozpoczął z nią regularną korespondencję, która szybko przybrała intymny charakter. Kilka tygodni później Kosiński odwiedził ją w Cambridge i spędził z nią weekend.

W tym przypadku zachowywał się dość nietypowo, bo nie zaciągnął dziewczyny do łóżka,

---

181 R. Polański, *op. cit.*, s. 256.

tylko prowadził z nią rozmowy, podczas których udowadniał, że łączy ich więź duchowa. Był cierpliwy i spokojny, a na dodatek zaimponował Jean swoją umiejętnością słuchania. A kiedy wracał do Nowego Jorku, oboje już wiedzieli, że wydarzyło się coś niezwykłego.

Trzy miesiące później Jean przyjechała do Jerzego i wtedy zostali już kochankami. Podobno rozumieli się niemal bez słów, zbliżały ich wspólne zainteresowania. Oboje byli zafascynowani doświadczeniami mającymi na celu poznanie granic ludzkiej świadomości, Jean w pewnym sensie podzielała też jego fascynację perwersją**[182]**. Często razem oglądali filmy, „czasami po kilka dziennie" i nigdy nie mieli tego dosyć.

Wydaje się, że znajomość z Kilbourne wyzwoliła w Kosińskim tęsknotę za romantycznym uczuciem – za czymś, co dotychczas wypierał ze swojej świadomości. Dziewczyna w niczym nie przypominała jego poprzednich partnerek, nie otaczała go matczyną opieką, przeciwnie – to on odgrywał rolę opiekuna. Fascynowała go swoją urodą i wysokiej klasy intelektem, i to właśnie z jej powodu przyjął posadę wykładowcy krytyki teatralnej na Uniwersytecie Yale. Uczelnia ta mieści się w New Haven, mniej więcej w połowie drogi między Nowym Jorkiem a Cambridge. Kosiński zażądał tam służbowego mieszkania, w którym mógł się względnie bezpiecznie spotykać z Jean, nie obawiając się konfrontacji z Kiki. Partnerka była bowiem coraz bardziej zazdrosna, znała osobiście rywalkę i coraz bardziej niepokoiła się o swoją pozycję u boku pisarza. A ten był coraz bardziej zakochany.

---

182 J.P. Sloan, *op. cit.,* s. 276.

Ich spotkania były jednak stosunkowo rzadkie, bo widywali się mniej więcej raz w miesiącu. Kosiński czasami odwoływał te randki, najwyraźniej chcąc zachować pozory wobec Kiki. Jean nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić, tym bardziej że od Jerzego otrzymywała sprzeczne sygnały. Niebawem zresztą miała się dowiedzieć, do czego jest on zdolny.

Kilbourne pokazała mu fragmenty swojego intymnego dziennika, w którym znajdowały się miłosne wyznania pod jego adresem. Kosiński bardzo się wzruszył, a kiedy nieco później rozmawiał z nią przez telefon, płakał w słuchawkę**[183]**. Nie przeszkodziło mu to jednak podczas następnego spotkania ukraść dziennik oraz listy, które do niej napisał. Zamierzał się nimi posłużyć przy pisaniu następnej książki.

PREZES PEN CLUBU

Jean wybaczyła pisarzowi jego postępek, ale kradzież nie na wiele się zdała. Do plusów mógł zaliczyć jedynie zaliczkę w wysokości 120 tysięcy dolarów (około 800 tysięcy euro), bo *Diabelskie drzewo* zebrało fatalne recenzje, które wpłynęły na jego kiepską sprzedaż.

„Słaba charakterystyka, nudna narracja, a wiele partii po prostu nieudolnych – ocenił Peter Dollard na łamach »Library Journal«. – […] W sumie książkę czyta się bardziej jak nieudany debiut niż dzieło dojrzałego pisarza”**[184]**.

---

183 *Ibidem,* s. 287.
184 Za: *ibidem*, s. 303.

Jeszcze gorsze zdanie na temat powieści miał Robert Allen, który ma łamach „New York Times Book Review" w artykule zatytułowanym *Styl literatury brukowej, żargon pop-psychologii i prawdziwie sadystyczna wyobraźnia* zarzucił Kosińskiemu poważne braki warsztatowe:

„Od początku do końca jest to luźna pajęczyna stylistycznych i kulturalnych komunałów. [...] Proza Kosińskiego, ze swoją serią krótkich zdań co jakiś czas ozdabianych wyszukanym porównaniem, wykazuje typową wadę »prostego« stylu, to znaczy wpada w pułapkę szablonowych formułek popularnego dziennikarstwa i brukowej literatury"**[185]**.

Przy *Diabelskim drzewie* Kosiński współpracował z asystentem z Yale, Rocco Landesmanem i jego dziewczyną, Barbarą Mackay. Oboje byli mu szczerze oddani, jednak nie dorównywali umiejętnościami jego poprzednim współpracownikom. Dlatego też przy swojej kolejnej powieści Jerzy miał powrócić do współpracy z Peterem Skinnerem.

Klęskę wydawniczą osłodził triumf wizerunkowy, albowiem Kosiński został wybrany na prezesa amerykańskiego oddziału PEN Clubu. Co prawda wybór ten wzbudził w świecie literackim USA liczne kontrowersje, ale trzeba przyznać, że Jerzy spełniał warunki stawiane kandydatom na to stanowisko. Był popularnym pisarzem, laureatem National Book Award, człowiekiem uznawanym za osobowość literacką. Nie miał wprawdzie żadnego doświadczenia administracyjnego, ale od tego było

---

185 Za: *ibidem,* s. 303.

grono specjalistów, a współpraca z różnego rodzaju asystentami była jego chlebem powszednim.

Uczciwie trzeba przyznać, że Kosiński sprawdził się na stanowisku prezesa. Amerykański oddział PEN Clubu miał dotąd charakter raczej towarzyski i dopiero on przekształcił go w prężną organizację o poważnych wpływach. Zainicjował akcję ochrony literatów prześladowanych na świecie za poglądy polityczne, interweniował w sprawie uwięzionego irańskiego pisarza, Rezy Baraheniego. Spotkał się nawet osobiście z premierem tego kraju, a jego wstawiennictwo przyniosło sukces, podobnie zresztą jak zaangażowanie się w obronę Aleksandra Sołżenicyna, który ostatecznie został zwolniony z aresztu domowego i wydalony z ZSRS.

Zajął się również niezwykle ważną dla środowiska literackiego sprawą ubezpieczeń zdrowotnych i także na tym polu osiągnął sukcesy, bo członkowie PEN Clubu dostali możliwość wykupywania na preferencyjnych warunkach osobistych polis ubezpieczeniowych. Jego dokonania sprawiły, że został wybrany na drugą roczną kadencję, a był to maksymalny okres sprawowania funkcji prezesa. Gdy po dwóch latach odchodził ze stanowiska, PEN Club wydał oświadczenie, w którym można było przeczytać:

„Pokazał kreatywne i pełne empatii poczucie odpowiedzialności za pisarzy na całym świecie, a każdy członek amerykańskiego PEN Clubu zdaje sobie sprawę z jego ogromnego zaangażowania. Było ono niezwykle istotne, a jego skutki wybiegają daleko w przyszłość”**[186]**.

---

186 Za: J. Corry, *op. cit.*

Dwie kadencje na stanowisku prezesa zaowocowały nawiązaniem kolejnych cennych kontaktów. Poznał osobiście Henry'ego Kissingera i wielu amerykańskich polityków, ważniejsze były jednak znajomości w kręgach dziennikarskich. Zaprzyjaźnił się z redaktorem naczelnym tygodnika „Time", Henrym Grunwaldem, do jego bliskich znajomych zaliczano również szefów „New York Timesa". Nic więc dziwnego, że za jego plecami szeptano, że zawsze wie, z kim ma się przyjaźnić.

Pomimo klęski *Diabelskiego drzewa* zachował swoją pozycję w negocjacjach z wydawcami. Za kolejną powieść. *Cockpit,* skasował aż 225 tysięcy dolarów zaliczki, do tego dochodziło jeszcze ponad 40 tysięcy za wydanie w twardej oprawie. Wprawdzie realna wartość dolara znacznie spadła po kryzysie naftowym w 1973 roku, ale Kosiński dalej należał do liderów finansowych w świecie literackim. A na dodatek miał jeszcze osobistą satysfakcję, gdyż prawa do edycji w twardej oprawie wylicytowało wydawnictwo Houghton Mifflin, które kiedyś zlekceważyło go przy *Malowanym ptaku*.

Przy okazji wydania *Cockpitu* Kosiński jako pierwszy wprowadził zasadę, która miała być później naśladowana przez innych. Nowa powieść ukazała się początkowo w wydaniu broszurowym, a dopiero później nastąpiła edycja w twardej oprawie. Okazało się to bardzo korzystne zarówno dla autorów, jak i dla wydawców"**[187]**.

NA SZCZYCIE

187 J.P. Sloan, *op. cit.,* s. 311.

Cockpit sprzedawał się znakomicie, a recenzje były znacznie lepsze niż w przypadku poprzedniej publikacji. Jerzy zdążył się już zresztą uodpornić na ataki prasowe – dla niego liczył się wyłącznie fakt, że jego nazwisko wciąż przyciągało czytelników i wydawców. Był stałym gościem u Carsona, pojawiał się też w innych programach, a kariera medialna stymulowała sprzedaż jego książek. Wyrastał na człowieka sukcesu, pojawiły się pierwsze prace akademickie na temat jego prozy.

Kolejnym sukcesem okazała się ekranizacja *Wystarczy być*. Film miał znakomitą frekwencję na całym świecie, a Kosiński dostał nominację do Oscara za scenariusz. Statuetki wprawdzie nie otrzymał, ale w zamian uhonorowano go prestiżową nagrodą Brytyjskiej Akademii Sztuki Filmowej i Telewizyjnej. Do tego jeszcze dostał od Warrena Beatty'ego ofertę zagrania roli Grigorija Zinowjewa w filmie *Czerwoni* i znakomicie sprawdził się przed kamerą. O jego pozycji świadczy najlepiej fakt, że Beatty umieścił jego nazwisko w czołówce filmu przed nazwiskiem Jacka Nicholsona.

Na początku 1982 roku poprowadził uroczystość rozdania Oscarów i pomimo problemów gastrycznych ponownie nie zawiódł. Uznano, że jest człowiekiem wyjątkowo medialnym, a jego lekki akcent tylko dodawał mu autentyczności.

Innym prestiżowym wydarzeniem było zaproszenie go na specyficzny rejs transatlantykiem Queen Elizabeth II. Pełnił tam funkcję jednego z wykładowców „uniwersytetu dla prezesów" – przedstawicieli wyższej kadry kierowniczej korporacji z terenu całych Stanów Zjednoczonych. Udział w rejsie na Bermudy był wyjątkowym wyróżnieniem, a

on oczywiście zadbał o to, żeby tę sprawę odpowiednio nagłośnić.

Kolekcjonując rozliczne znajomości, nie zapominał też o Polakach, którzy przebili się do światowej elity. Zaprzyjaźnił się ze Zbigniewem Brzezińskim i Wojciechem Fibakiem, a także oprowadzał po Nowym Jorku arcybiskupa Krakowa, Karola Wojtyłę, który podobno bardzo sobie chwalił rozmowy z nim.

Problemami Kosińskiego interesowali się amerykańscy politycy, którzy nawet interweniowali w jego sprawie u władz PRL, prosząc o przyjęcie jego rezygnacji z polskiego obywatelstwa.

„[...] od 1970 roku – notował major Włodzimierz Zieliński – ubiega się o zezwolenie na zmianę obywatelstwa polskiego na obywatelstwo Stanów Zjednoczonych Ameryki. W 1973 roku Rada Państwa zaleciła Ministrowi Spraw Zagranicznych negatywne załatwienie prośby. W 1974 roku Zespół ds. Obywatelstwa MSW rozpatrując odwołanie zainteresowanego również opowiedział się za negatywnym załatwieniem sprawy. Aktualnie sprawa rozważana jest ponownie z uwagi na interwencję wpływowego senatora Stanów Zjednoczonych Ameryki – Javitsa – związanego z tamtejszymi środowiskami żydowskimi. Minister Spraw Zagranicznych, towarzysz Olszowski uważa, że Kosińskiemu należy udzielić zezwolenia na zmianę obywatelstwa polskiego”**[188]**.

Podobnego zdania był również Departament Społeczno-Administracyjny MSW, wobec tego Rada Państwa wreszcie uwolniła Kosińskiego od polskiego obywatelstwa. Dziesięć lat po otrzymaniu paszportu

---

188 IPN BU 1218/5194/1.

amerykańskiego mógł przestać się obawiać, że w przypadku awarii albo porwania samolotu wpadnie w ręce władz PRL.

Interwencja senatora Javitsa potwierdzała, że Kosiński stał się pełnoprawnym członkiem amerykańskiej elity. Był zamożny, popularny i uważany za wybitnego przedstawiciela amerykańskiej kultury, a znajomość z nim nobilitowała nawet osoby o wyrobionej pozycji zawodowej i towarzyskiej.

Z jednej strony, jak przystało na przedstawiciela elity, prowadził wystawny tryb życia: nabył apartament w szwajcarskiej miejscowości Crans-Montana, gdzie mógł oddawać się swojej narciarskiej pasji. W towarzystwie Kiki dużo podróżował po świecie, przy czym Boże Narodzenie i Nowy Rok spędzali razem w luksusowym hotelu Casa de Campo na Dominikanie, gdzie on grywał w polo. Czuł się tam zresztą tak zadomowiony, że zapraszał do siebie przyjaciół ze Zbigniewem Brzezińskim na czele.

Z drugiej jednak strony relacje przyjaciół wskazują, że luksus traktował głównie jako wyznacznik osiągniętej pozycji. Chętnie odwiedzał ekskluzywne restauracje, gdzie bez oporów płacił rachunki za znajomych, ale dla siebie zamawiał niewiele. Zatrzymywał się wprawdzie w najlepszych hotelach, ale na co dzień miał niewielkie potrzeby.

„Jurek był wyjątkowym człowiekiem także pod względem stosunku do pieniędzy – wspominał Wojciech Fibak. – Fascynował go wielki świat, nie ma dwóch zdań. Był jego uczestnikiem, to oczywiste. Ale sam nigdy nie szukał luksusu, nie miało to dla niego żadnego znaczenia! Żył nadzwyczaj skromnie, w małym mieszkaniu w sercu Manhattanu. Choć mógł mieszkać inaczej. Nie miał problemu z tym, że

większość jego znajomych miała domy kilka ulic dalej, w bardziej prestiżowej części Nowego Jorku”**[189]**.

Kolejne powieści rozchodziły się znakomicie, pojawił się projekt musicalowej adaptacji *Randki w ciemno,* prowadzone były rozmowy na temat ekranizacji *Pasji*. W lutym 1982 roku „New York Times Magazine” opublikował duży reportaż na jego temat, ilustrowany zdjęciami Annie Leibovitz. Wśród osób, z którymi pokazano Kosińskiego, znaleźli się Zbigniew Brzeziński, Roman Polański i George Harrison. Jednak największe wrażenie robiło zdjęcie Jerzego w stroju do gry w polo, ale obnażonego do pasa. Kojarzyło się ono zarówno z jego sukcesem, jak i z mrocznym seksualizmem, którego był wiernym wyznawcą.

CIEMNIEJSZA STRONA NOCY

Jerzy właściwie nigdy nie miał „normalnego” życia erotycznego, powszechnie też było znane jego upodobanie do perwersji z elementami sadomasochizmu. W latach 70. znalazł nową obsesję, która pochłonęła go bez reszty. Odwiedzał seksskluby, ze szczególnym uwzględnieniem lokali dla transwestytów, gdzie obserwował zachowania stałych bywalców. Do klubów chodził praktycznie co noc i z reguły w towarzystwie. Miał kilka stałych partnerek, ale często zapraszał tam również nowo poznane kobiety. Rzadko spotykał się z odmową, bo w nowojorskich kręgach intelektualnych znajomość z Kosińskim uważano za nobilitującą pod każdym względem.

---

189 Za: *Jerzy Kosiński. More than life...*

Jego wielką pasją było fotografowanie transseksualistów, a najbardziej intrygowały go kolejne fazy przemiany fizycznej. Przyjaciołom pokazywał kolekcję zdjęć dokumentujących zmiany w budowie ciała swoich modeli, a kiedyś zorganizował nawet wystawę aktów urodziwych kobiet, a dopiero później ujawnił, że zdjęcia „pochodzą z jego kolekcji transwestytów".

W klubach często starał się zachować incognito, przyklejając sobie brodę, jednak doświadczeniami chwalił się publicznie. O swoich erotycznych eskapadach opowiadał nawet w programach telewizyjnych, tłumacząc, że dzięki nim opisy w powieściach są bardziej autentyczne. Obowiązki towarzyskie i nocny tryb życia sprawiały, że sypiał w ciągu dnia, dzieląc odpoczynek na dwie równe części po cztery godziny"**[190]**.

W połowie lat 80. stałą towarzyszką jego nocnych eskapad stała się młodsza o ponad 20 lat Cynthia Cristilli – z zawodu aktorka, pracująca jako kelnerka w jednej z nowojorskich restauracji, gdzie zresztą poznała pisarza. Szybko została jego kochanką, a niebawem także nieodłączną towarzyszką wypraw do seksklubów. Tam, ubrani tylko w ręczniki, oglądali publicznie kopulujące pary i „stałym bywalcom nadawali własne imiona". Kosiński powtarzał, że „chodzi i patrzy", gdyż „uwielbia obserwować".

„Byłam gotowa na wszystko, ponieważ czytałam wszystkie jego książki – wspominała Cynthia. – […] Faktycznie Jerzy był hiperseksualny.

---

190 J.P. Sloan, *op. cit.*, s. 335.

Seks był dla niego najważniejszy, to było dla niego najważniejsze w życiu”**[191]**.

Kiki dobrze znała upodobania partnera, jednak nigdy nie towarzyszyła mu w nocnych eskapadach. Tolerowała jego zachowania, uznając, że jest mu to potrzebne do życia i pracy, a przez pewien czas akceptowała nawet to, że sprowadzał na noc Cynthię, podczas gdy ona spała w drugim pokoju. Wychodziła jednak z założenia, że ludzi genialnych nie można oceniać zwykłą miarą. A bez wątpienia Jerzego uważała za geniusza.

Kiki „znakomicie sprawdzała się jako sekretarka, szofer, tragarz, menedżer, gospodyni domowa, pielęgniarka i dama do towarzystwa – twierdziła Ewa Frykowska. – Była wysportowana, mówiła po francusku i znała wszelkie jego tajemnice”**[192]**.

Do tego trzeba dodać jej bezwarunkową lojalność, bo chociaż życie z Kosińskim nie było najłatwiejszym doświadczeniem, to nigdy go nie zawiodła i zawsze stała u jego boku. Wybaczała mu nie tylko upodobanie do seksklubów, ale także niezliczone zdrady. Romansów Kosiński miał bowiem mnóstwo i specjalnie się z nimi nie ukrywał. Przebieg niektórych z nich wykorzystywał nawet w swoich powieściach, o czym Kiki doskonale wiedziała. Wydaje się zresztą, że ze wszystkich kobiet Kosińskiego ona jedna naprawdę go kochała. On zaś wiedział, że nigdy się na niej nie zawiedzie.

„Nie ma wątpliwości, że Kiki była dla niego bardzo ważna – zapewniał producent filmowy, Ted Field. – Była jego towarzyszką, sensem życia. Nie

---

191 Za: *Sex, Lies...*

192 E. Morelle, *op. cit.*, s. 201.

mógł bez niej funkcjonować, polegał na niej absolutnie we wszystkim. Oczywiście poza tym, że on wychodził nocą z domu i grasował po mieście, ale przecież ona wiedziała, że to robi, i na to pozwalała”**[193]**.

Gdy w 1985 roku ze względu na rosnące zagrożenie AIDS ograniczono działalność seksklubów, Jerzy nie mógł się odnaleźć w nowej sytuacji. Ponownie zaczął korzystać z usług prostytutek, czasami jednak decydował się na wizyty w nadal działających przybytkach. Wprawdzie były to sekskluby w wersji soft, ale Kosiński zawsze potrafił znaleźć dla siebie coś interesującego.

„Na środku był parkiet do tańca i do bardzo ekscytującego pokazu po północy – wspominała Urszula Dudziak, która często towarzyszyła mu w tym czasie w nocnych eskapadach. – Otóż o tej porze odbywał się striptiz kobiet dojrzałych. Jest to subtelne określenie, bo zdarzało się, że rozbierały się pomarszczone staruszki. Przy głośnej muzyce disco i przy ostro i hałaśliwie zagrzewającym do akcji tłumie wkraczały seksownym krokiem starsze panie i powoli się rozbierały. Tłum szalał, kobiety były przeszczęśliwe. Prawdopodobnie całe życie o tym marzyły. […] Zapytałam Jerzego o wiek najstarszej jego partnerki w seksklubie. Odpowiedział, że miała osiemdziesiąt trzy lata. »Czy miała orgazm?«, zapytałam z zaciekawieniem. »Ona nie, ale ja tak«, odpowiedział”**[194]**.

ŚMIERĆ W CANNES

193 Za: *Sex, Lies...*

194 U. Dudziak, *Wyśpiewam wam wszystko*, Warszawa 2011, s. 220.

Jednym z przyjaciół Jerzego był starszy od niego o ponad 20 lat francuski biochemik i laureat Nagrody Nobla, Jacques Monod. W drugiej połowie lat 60. napisał on esej *Przypadek i konieczność,* w którym poruszył problematykę wzajemnego oddziaływania biologii, medycyny i filozofii. W 1971 roku dostał National Book Award, a Kosiński był wówczas jednym z jurorów i głosował za nagrodą dla Francuza. Jerzemu niezwykle imponowały erudycja i styl życia Monoda, z którym wkrótce połączyła go bliska znajomość. W grudniu 1975 roku pisarz dowiedział się, że Monod zapadł na białaczkę hemolityczną i jedynym ratunkiem dla niego są regularne transfuzje krwi. Gdy wiosną następnego roku Kosiński odwiedził Francuza w Paryżu, ten oznajmił mu, że postanowił odejść z tego świata, gdyż utrzymywanie się przy życiu za wszelką cenę jest poniżej ludzkiej godności. Wybrał już nawet datę i miejsce swojego odejścia – postanowił umrzeć w swoim domu w Cannes, podczas majowego festiwalu filmowego. Poprosił też Kosińskiego, aby towarzyszył mu w ostatnich dniach życia i udokumentował fotograficznie proces jego umierania.

Jerzy zgodził się i pod koniec maja 1976 roku obaj pojawili się w Cannes. Kosiński przedstawił Monodowi Polańskiego, ten zaś zaprosił ich na prywatny pokaz *Lokatora*. Wszyscy trzej flirtowali z młodymi gwiazdkami i kandydatkami na gwiazdki, a Jerzy nie rozstawał się z aparatem. Wieczorem 30 maja widzieli się po raz ostatni. O zachodzie słońca bardzo już osłabiony Francuz pożegnał się z Kosińskim przed swoim domem i zmarł następnego dnia w południe.

Śmierć przyjaciela wywarła na Kosińskim ogromne wrażenie. Podziwiał go za to, że nie chciał żyć za wszelką cenę i do końca kontrolował własną

śmierć. Z jednej strony był przerażony całą sytuacją, ale z drugiej postawa Monoda go fascynowała. W przyszłości miał napisać esej na ten temat *(Śmierć* w *Cannes),* a wcześniej historię Monoda oraz jego poglądy włączył do powieści *Randka* w *ciemno*. Jerzy Kosiński nie zwykł rezygnować z podobnych okazji, nawet jeśli chodziło o śmierć przyjaciela.

„W życiu ważne jest tylko to – tłumaczył kilka lat później – aby przeżywać je spokojnie, scena po scenie. Można się uważać za człowieka spełnionego tylko wówczas, gdy potrafi się dostrzec i docenić urodę chwili. Liczy się tylko to, a nie przeszłość, ani tym bardziej przyszłość. Przyszłości może zresztą w ogóle nie być, zatem jedynym sensem życia jest zdefiniowanie go jako powieści, którą właśnie się czyta”**[195]**.

„VILLAGE VOICE”

Wiosną 1982 roku Kosiński miał prawo przeczuwać, że wokół niego dzieje się coś złego. Wprawdzie plotki o jego konfabulacjach krążyły już od dawna, jednak nie stanowiły one większego zagrożenia. Społeczeństwo amerykańskie było pod tym względem dość tolerancyjne – tolerowało przecież Ernesta Hemingwaya słynącego z przypisywania sobie nieprawdopodobnych wyczynów. Bardziej niebezpieczny był fakt, że coraz częściej pojawiały się pogłoski o zespole tłumaczy i ghostwriterów, którzy mieli odpowiadać za kształt jego powieści. Przyjaciel Kosińskiego, pisarz Thomas Fleming, rozmawiał kiedyś z krytykiem Thomasem Hayesem.

---

195 Za: *Sex, Lies...*

„Pracuję dla Jerzego Kosińskiego – oznajmił Hayes. – To piekło. Jak praca w obozie koncentracyjnym. Przeszukuje mnie przed wyjściem. Żadnych papierów, żadnych przecieków. Każe mi poprawiać w kółko to samo. No i wcale tak dobrze nie płaci”**[196]**.

Do Fleminga już wcześniej docierały podobne informacje. Rozmawiał choćby z poetą i tłumaczem George’em Reaveyem, który współpracował z Jerzym przy *Malowanym ptaku*.

[…] dał mi kompletnie nieczytelny rękopis – narzekał były asystent. – Napisany częściowo po angielsku, częściowo po polsku, częściowo po rosyjsku. Zrobiłem z tego prozę, dorzuciłem szczegóły i dostałem pięćset dolarów”**[197]**.

Fleming zachował te informacje dla siebie, inni nie byli jednak tak dyskretni. Dwaj dziennikarze – Geoffrey Stokes i Eliot Fremont-Smith – postanowili bliżej przyjrzeć się tej sprawie. Mieli ułatwione zadanie, gdyż proza Kosińskiego stała się tematem prac akademickich, a przy okazji jednego z doktoratów ujawniono dziwne podobieństwo *Wystarczy być* i *Kariery Nikodema Dyzmy*. Do tego plotkowano, że za oszołamiającą karierą pisarza stała CIA, która nie tylko umożliwiła mu przyjazd do USA, ale nadal dbała o jego interesy.

Dziennikarze byli dociekliwi, wyławiali poszczególne nieścisłości w wypowiedziach Kosińskiego, docierali do świadków. Bardzo pomocne okazały się rewelacje anglisty z Uniwersytetu Północnej Iowy, Jerry’ego Klinkovitza. Był on wielbicielem Kosińskiego, który udzielił mu kiedyś

---

196 Za: J.P. Sloan, *op. cit.*, s. 336.
197 Za: *ibidem*, s. 305.

obszernego wywiadu. Jednakże kiedy w 1979 roku odwiedził Polskę, miał okazję skonfrontować opowieści pisarza z relacjami jego polskich znajomych. Fakt ten wstrząsnął nim do głębi. Po powrocie do USA napisał na ten temat artykuł, jednak żadne pismo nie chciało go opublikować. W tej sytuacji rozkolportował swój tekst wśród pisarzy i naukowców, a jeden z egzemplarzy wpadł w ręce Stokesa i Fremont-Smitha.

Obaj kilka razy rozmawiali bezpośrednio z Kosińskim, zadając mu bardzo niewygodne pytania. Jerzy starał się zachować spokój, jednak podczas kolejnej rozmowy stracił panowanie nad sobą:

„Każdy przecinek, każde słowo jest moje – nie tylko słowo, ale i powód, dla którego się tam znalazło. Dotyczy to rękopisu, wersji pośrednich i wersji ostatecznej, i każdej pieprzonej korekty – pierwszej, drugiej i trzeciej, wydania w twardej oprawie i edycji kieszonkowej”**[198]**.

Zatrudnianie współpracowników przez znanych pisarzy było wtedy powszechną praktyką, ale w przypadku Kosińskiego nagromadziło się zbyt dużo znaków zapytania. Jerzy miał zapłacić teraz nie tylko za wszystkie swoje kłamstwa, ale też za swój wielki sukces – za karierę od parkingowego do milionera.

Uczciwe trzeba jednak przyznać, że większość jego współpracowników zachowała niezwykłą lojalność. Zaprzeczali oskarżeniom Stokesa i Fremont-Smitha, bronili swojego byłego pryncypała lub odmawiali wypowiedzi.

„To afera z niczego – utrzymywała Faith Sale, współpracująca z Jerzym przy *Randce* w *ciemno*. – Robiłam to, co robi każdy asystent. Bez pośpiechu

---

198 Za: *ibidem,* s. 371.

omawialiśmy każde słowo, każdą scenę, każdą linijkę. Ale pomysł, narracja, wrażliwość i światopogląd w całości są jego. Ma specyficzny styl, zawsze taki sam w każdej swojej książce”**[199]**.

O losach Jerzego zadecydowały wypowiedzi Hayesa oraz kilku niedoszłych asystentów. Stokes i Fremont-Smith dotarli bowiem do ludzi, którym Kosiński proponował pracę i którzy mieli okazję zapoznać się z jego rękopisami, chociaż ostatecznie zrezygnowali ze współpracy. Do tego doszła sprawa kłamstw na temat życia w Polsce i sposobu jej opuszczenia. Oczywiście nie zabrakło też informacji, że pisarz współpracował z CIA, dzięki czemu mógł wydać w USA swoje pierwsze książki. Gdy artykuł ukazał się w druku, Kosiński uświadomił sobie, że jego życie legło w gruzach.

EUROPEJSKIE PROBLEMY

Dłuższy wyjazd z Nowego Jorku wydawał się najrozsądniejszym wyjściem z sytuacji. Kosiński był tam powszechnie znany i właściwie nie mógłby chodzić po ulicach, nie narażając się na dociekliwe pytania. Miał wprawdzie polecieć do Europy na planowaną wcześniej trasę promocyjną, ale nie był pewny, czy będzie to możliwe.

„Obawiam się teraz – tłumaczył – że moi europejscy wydawcy mogą po prostu mnie opuścić. W Europie podejrzenie o współpracę z CIA jest jeszcze gorsze niż tutaj. Ale co ja mogę zrobić? Tak o mnie napisano. Zło już się stało”**[200]**.

---

199 Za: J. Taylor, *op. cit.*

200Za: D. Smith, *Kosiński. Autor czy współautor?*, „Polityka” 38/1982.

Jego obawy okazały się uzasadnione, bo trasa została odwołana, gdyż europejskich czytelników zaczęły bardziej interesować jego związki z CIA niż twórczość. Na domiar złego na łamach paryskiego „Les Nouvelles Littéraires" ukazał się artykuł, w którym zadano pisarzowi wyjątkowo niewygodne pytania. Bez znaczenia był fakt, że większość z nich nie miała pokrycia w rzeczywistości, a ich tematyka została zaczerpnięta z książek Kosińskiego:

„Dlaczego stale nosi pan przy sobie broń? Po co panu te dziesiątki dokumentów na fałszywe nazwiska? Dlaczego wozi pan w samochodzie granaty z gazem łzawiącym? Kogo się pan boi, panie Kosiński?"**[201]**.

Informacje o problemach pisarza dotarły także nad Wisłę, gdzie przyjęto je z nieukrywaną satysfakcją. Krajowa prasa przedrukowywała amerykańskie artykuły, a na łamach „Polityki" zamieszczono pewien list, którego treść nawet dzisiaj może wprawić w osłupienie. Autor, którego personalia utajniono, twierdził, że pracując jako cenzor we Wrocławiu, już w 1957 roku widział wydrukowany po polsku (!!!) egzemplarz debiutu powieściowego Kosińskiego:

„Nie pamiętam, jakie wydawnictwo publikowało *Malowanego ptaka* ani w której drukarni był drukowany, jednakże wydaje mi się, że były to oficyny warszawskie i nawet w sytuacji usuwania śladów pracy nad książką (takie praktyki były stosowane, jeżeli materiał nie uzyskał zgody na rozpowszechnianie) musiały gdzieś pozostać przynajmniej dokumenty dotyczące umowy

---

201 Za: H. Dasko, *Odlot malowanego ptaka*, Warszawa 2009, s. 113.

wydawniczej, wypłaty honorarium, zlecenie opracowania redakcyjnego lub druku”**[202]**.

Najwyraźniej uznano, że argumenty Stokesa i Fremont-Smitha są zbyt słabe, i ponownie poruszono temat plagiatu. Tym razem Kosiński miał posłużyć się nie rękopisem anonimowego Żyda, który zginął podczas wojny, ale wydrukowaną wcześniej powieścią, którą zatrzymała cenzura. Był to powrót do propagandy w stylu Wiesława Górnickiego sprzed 15 lat, nie wspominając już o tym, że drukowanie anonimów na łamach prasy przypominało najgorsze stalinowskie wzory...

UCIECZKA

Ostatecznie Jerzy i Kiki wyjechali do Hollywood. Kosiński wiedział, że w Kalifornii zarzuty prasy z Nowego Jorku będą traktowane z przymrużeniem oka jako wymysły jajogłowych inteligentów ze Wschodniego Wybrzeża. Nad Pacyfikiem liczyły się zupełnie inne sprawy, tam ważne było tylko to, że Jerzy kilka lat wcześniej dostał nominację do Oscara za scenariusz i zagrał w filmie Warrena Beatty'ego.

Szybko okazało się, że miał rację. Zamieszkali w posiadłości producenta Teda Fielda, a kontakty z ludźmi filmu potwierdziły ograniczony wpływ pisma „Village Voice” na życie w Hollywood. Poza tym w Kalifornii literatura miała znaczenie czysto użytkowe i jeżeli książka nie nadawała się do ekranizacji, to właściwie nikogo nie interesowała. A już na pewno nikt nie zawracał sobie głowy kwestią jej autorstwa.

---

202 Za: *„Kosiński autor czy współautor”,* „Polityka” 33/1982.

Nad Pacyfikiem przebywali do świąt, a następnie udali się w dwutygodniową podróż po Dalekim Wschodzie. Na koniec dotarli do Szwajcarii, gdzie Kosiński jeździł na nartach i rozpoczął pracę nad nową książką, która miała mu przywrócić dawną pozycję literacką.

Pewnym zaskoczeniem była dla niego obecność w Crans-Montana grupki Polaków z Danielem Olbrychskim i Wojciechem Pszoniakiem na czele. Pojawiła się tam również Ewa Frykowska, a także Agnieszka Osiecka z Danielem Passentem. Jerzy miał obawy, czy nie wypłynie sprawa „Village Voice", jednak temat ten w ogóle nie zaistniał w rozmowach. Być może wpływ na to miała obecność Daniela Passenta, wieloletniego dziennikarza „Polityki", dla którego cała sprawa musiała być szczególnie niezręczna. Przecież to jego macierzysta redakcja od lat atakowała Kosińskiego, możliwe zatem, że poprosił swoich polskich znajomych o dyskrecję.

„Moja znajomość z Kosińskim – wspominał Passent – miała najpierw charakter narciarsko-wypoczynkowy. Trzymał się trochę na dystans, jak się potem okazało, na wszelki wypadek unikał ludzi zza żelaznej kurtyny. Spotykaliśmy się jednak na stoku, od czasu do czasu Jurek zapraszał na lunch, do którego zamawiał surową cebulę w talarkach, którą zajadał, nie bacząc na otoczenie. Po nartach spotykaliśmy się w jednej z licznych kawiarni, najchętniej u Gerbera, który miał świetne tarty [...], a także największe powodzenie: przychodziły bogate starsze panie w futrach, zmęczone wyprowadzaniem miniaturowych, ale kosztownych piesków, oglądaniem wystaw Rolexa i Coco Chanel, pojawiały się młode Włoszki z pobliskiego Mediolanu, których mężowie śmigali na nartach, podczas gdy one

kołysały dzieci, no i bywali ciekawscy z Warszawy”**[203]**.

Kiki i Jerzy czuli się w gronie Polaków całkowicie swobodnie. Pisarz rozluźnił się do tego stopnia, że nawet szukał ich towarzystwa i znów zachowywał się tak jak dawniej.

„Pewnego dnia – kontynuował Passent – spotkaliśmy się wraz z dziećmi w wieku przedszkolnym – Agnieszka z Agatką, Ewa Bayard z córeczką Nataszą, Ewa Morelle (Frykowska) z synkiem, a także państwo Kosińscy. Od razu było widać, kto jest pisarzem – Agnieszka i Jurek skupili na sobie całą uwagę dzieci, opowiadali im niestworzone historie, urządzili prawdziwy teatrzyk. Bywało, że spotykaliśmy się i wieczorem (możesz zapytać Wojciecha Pszoniaka, jakie ma wspomnienia z kolacji u Ewy Morelle). Jurek był w takich sytuacjach dobrym kompanem – zapraszał do dyskoteki Number One, sączył *cuba libre,* sam nie tańczył, ale rachunek brał na siebie”**[204]**.

Istotnie, w tamtym czasie coraz chętniej zaglądał do kieliszka, choć dotychczas raczej unikał trunków. Zawsze mówił, że alkohol ogranicza sprawność umysłową, jednak po sprawie z „Village Voice” w jego życiu na stałe zagościł rum z colą. Stresy i alkohol sprawiły, że znacznie wtedy przytył, co niekorzystnie wpłynęło na jego sprawność fizyczną.

Większym problemem był jednak brak seksklubów. Szwajcarskie góry to przecież nie Nowy Jork, a Jerzy nigdy nie był przez tak długi czas odseparowany od swojej ulubionej rozrywki. Być

---

203 D. Passent, *Passa*, Warszawa 2102, e-book.
204 *Ibidem*.

może właśnie to zadecydowało, że po ponad rocznej nieobecności postanowił wrócić do USA.

Na miejscu okazało się, że temat praktycznie wygasł. Pismo „Village Voice" nie opublikowało zapowiadanej drugiej części artykułu, ale Kosiński dowiedział się, kto z jego przyjaciół zachował się lojalnie. Bez wątpienia mógł liczyć na polityków, którzy byli przyzwyczajeni do ataków medialnych i nie zwracali na nie większej uwagi. Podobnie było z filmowcami, których właściwie nic nie interesowało poza ich własnym światem. Lojalność zachowały także środowiska polonijne, chociaż wielu ich przedstawicieli doskonale znało kulisy kariery Jerzego. Uznawali jednak pisarza za „swojego", podobnie jak koła żydowskie, które również zignorowały ten temat. Niestety, nie można było tego powiedzieć o większości literatów, którzy problemy Kosińskiego przyjęli z milczącą satysfakcją.

„Chociaż po artykule Stokesa i Fremont-Smitha – komentował dziennikarz, Henryk Dasko – w obronie Kosińskiego stanęły najważniejsze dzienniki w USA, pisarze amerykańscy milczeli. Było to zaskakujące. Minęło wszak zaledwie pięć lat od czasu, gdy amerykański PEN Club publicznie oklaskiwał zasługi swojego prezesa. Atak »Village Voice« w pośredni sposób kwestionował także powagę tej organizacji"**[205]**.

Chociaż sprawa wyraźnie przycichła, Kosiński nie mógł już liczyć na zaliczki w dawnej wysokości. Za ostatnią powieść, *Grę*, otrzymał 300 tysięcy dolarów (około miliona euro), a teraz udało mu się wynegocjować sumę trzy razy niższą. Nie narzekał jednak na braki finansowe, bo choć afera zachwiała

---

205 H. Dasko, *op. cit.*, s. 122.

jego reputacją, to jego powieści nadal sprzedawały się nieźle. Wiadomo bowiem, że nic tak nie nakręca sprzedaży książek jak skandal z udziałem ich autora.

Większym problemem był fakt, że po ograniczeniu działalności seksklubów w Nowym Jorku Kosiński nie potrafił na nowo ułożyć sobie życia. Z punktu widzenia pisarza była to strata nie do odżałowania – okazało się, że ważna sfera jego prywatności nagle przestała istnieć. Ale strach przed AIDS zrobił swoje i Jerzy musiał zaakceptować ten stan rzeczy.

PRZEMIANA

W Szwajcarii Kosiński miał czas na przemyślenie wielu spraw i dokonał zdecydowanej rewizji swoich poglądów. Gdy w 1987 roku po raz pierwszy odwiedził Izrael, postawił znak równości pomiędzy Holocaustem i zbrodniami popełnionymi przez hitlerowców na Polakach. Był w tym na tyle konsekwentny, że kiedy w Jerozolimie zapytano go, co zrobili Polacy, aby uratować Żydów, odparł, że Żydzi też nic nie zrobili, aby ratować Polaków”**[206]**.

Zaskoczonym rozmówcom wyjaśniał, że śmierć zawsze pozostaje taka sama, bez względu na intencje morderców. Krytykował też głośny film Claude’a Lanzmanna *Shoah,* uznając, że jest on „świetny wizualnie”, ale to „czysta fantazja”**[207]**. Zaprzeczał masowemu udziałowi polskiego społeczeństwa w Holocauście, podkreślając na każdym kroku, że podczas okupacji został uratowany przez polskich chłopów. Przy okazji tłumaczył, że *Malowany ptak*

---

206 *Ibidem,* s. 149.
207 *Ibidem,* s. 400.

jest fikcją literacką, a każdy pisarz ma prawo dowolnie przekształcać rzeczywistość. Nigdy też nie miał zamiaru umocnienia na świecie stereotypu Polaka antysemity:

„Nasze przetrwanie zawdzięczamy całkowicie polskim katolikom. [Mam] duszę żydowsko-polską, która wysławia się po polsku i po angielsku”**[208]**.

Nie mogło to ujść uwadze polskich władz, poszukujących międzynarodowej akceptacji po stłumieniu rewolty „Solidarności”. Kosiński wyczuwał przychylną atmosferę, dlatego jako jedyny przedstawiciel amerykańskiej Polonii pojawił się na przyjęciu wydanym w konsulacie w Nowym Jorku przez rzecznika rządu PRL, Jerzego Urbana. Nad Wisłą uznano to za ukłon w stronę ekipy Jaruzelskiego, toteż przebywający w Bostonie Daniel Passent otrzymał polecenie nakłonienia pisarza do udzielenia wywiadu dla „Polityki”.

„[...] sytuacja była niezręczna – wspominał dziennikarz. – To na łamach »Polityki« Wiesław Górnicki rozprawił się przed łaty z *Malowanym ptakiem* jako z pamfletem na Polaków. W Polsce Kosiński był jeszcze ciągle źle widziany. [...] Wywiad w »Polityce« był pierwszą w polskiej prasie obszerną prezentacją Kosińskiego i jego wersji wydarzeń. Odpierał w nim zarzuty, jakoby ukrywał swoje pochodzenie lub pomawiał Polaków o antysemityzm. W rozmowie twierdził: »Żydzi w Polsce znaleźli idealne warunki rozwoju psychicznego i filozoficznego. Jakakolwiek próba odcinania mnie od tego tysiąclecia jest nie do przyjęcia«”**[209]**.

208Za: D. Passent, *op. cit.*
209Za: *ibidem*.

Wywiad zaowocował wizytą Kosińskiego w kraju, a jako pretekst wykorzystano fakt, że był prezesem Amerykańskiej Fundacji Studiów Polsko-Żydowskich. Projekt podróży nad Wisłę zaakceptowały też środowiska polonijne w USA, reżim komunistyczny chwiał się w posadach i symptomy upadku były dobrze widoczne. Zapowiadało się na gruntowne zmiany i dlatego uznano, że dalszy bojkot ekipy Jaruzelskiego jest niewskazany.

Pisarz spędził w Polsce dziesięć dni, nie ukrywał zaskoczenia entuzjazmem swoich wielbicieli. Choć jego książki nie ukazywały się jeszcze oficjalnie, to były dostępne w drugim obiegu, bo w tych latach władze nie ścigały już ich wydawców i dystrybutorów. Kolejki po autograf pisarza mierzyły z reguły po kilkaset metrów, podczas jednego ze spotkań wyłamano drzwi, a „w Lublinie tłum wdarł się przez okna, wziął go na ręce i wyniósł z budynku”**[210]**.

Kosiński pojawił się też w telewizji, wziął udział w programie Daniela Passenta, po czym odwiedził rodzinną Łódź, gdzie spotkał się z bratem. Mimo trzydziestoletniej rozłąki nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia, spędzili razem zaledwie kilka godzin, zawsze w towarzystwie osób trzecich. Odwiedzili jednak wspólnie grób rodziców.

Podobny sukces przyniosła kolejna podróż do Polski w kwietniu 1989 roku, podczas której podpisywał już legalnie wydanego *Malowanego ptaka*. O randze jego pobytu najlepiej świadczy fakt, że został zaproszony do głównego wydania *Dziennika Telewizyjnego* i przez kilka minut odpowiadał na pytania prowadzącej audycję dziennikarki. Jak

---

210 J.P. Sloan, *op. cit.*, s. 403.

zwykle wykazał się elokwencją i błyskotliwym poczuciem humoru, zadziwiał też brakiem obcego akcentu po ponad 30 latach spędzonych za oceanem:

„Nie zdradziłem ojczystej mowy – wyjaśniał – [...] po prostu piszę po angielsku, czyli używam pewnego typu filtra, tak jak fotograf, który zmienia obiektyw szerokokątny na wąskokątny, nie zdradza zawodu fotografika. Po prostu robi lepsze zdjęcia w tym sensie, w jakim chce je robić”**[211]**.

Nie do końca udało się jednak spotkanie z Eugeniuszem Warchołem, który przyszedł po autograf do kawiarni „Czytelnika”. Był on synem właścicieli baraku, w którym Kosińscy ukrywali się w Dąbrowie Rzeczyckiej, a Jerzy miał wobec niego osobisty dług wdzięczności, gdyż to właśnie on ocalił go przed bandą wyrostków chcących sprawdzić, czy był obrzezany. Pisarz nie był przygotowany na takie spotkanie i sprawiał wrażenie mocno zaskoczonego. Podpisał podsunięty mu egzemplarz książki i zaraz uciął rozmowę.

Po powrocie do USA wciąż utrzymywał ożywione kontakty z Polakami, preferując głównie tych, którzy stosunkowo niedawno przybyli za ocean. W gronie jego najbliższych znajomych znaleźli się: fotograf Czesław Czapliński, biznesmen Michał Jachimczyk, basista jazzowy Jan Byrczek oraz pisarz Janusz Głowacki. Największą rolę miała jednak odegrać wokalistka jazzowa, Urszula Dudziak, z którą połączył go ognisty romans.

OSTATNI TRÓJKĄT

---

211 Za: https://www.youtube.com/watch?v=H7CF-YEDA7A

W drugiej połowie lat 80. Jerzy zaczął odczuwać nasilające się problemy zdrowotne. Coraz częściej też myślał o śmierci i postanowił zabezpieczyć przyszłość Kiki.

„Nagle poczułem, że jestem śmiertelny… – tłumaczył kilka lat później – Kiki, która przez te wszystkie lata zajmowała w moim życiu niezwykłe miejsce, zostałaby bez żadnego dowodu czy dostępu do naszej przeszłości”**[212]**.

Pobrali się w połowie lutego 1987 roku, a ślub i przyjęcie weselne odbyło się w domu Marion Javits, wdowy po senatorze Javitsie. Na uroczystości pojawiła się cała nowojorska śmietanka towarzyska, co było dowodem na to, że Kosiński odzyskuje dawną pozycję.

Ślub zadecydował o rozpadzie jego związku z Cynthią, która mogła pozostawać z nim w wolnym związku, ale nie zamierzała być kochanką żonatego mężczyzny. Nawet jeżeli związek Kiki i Jerzego od dawna nie zawierał pierwiastka seksualnego, to żona miała absolutne pierwszeństwo.

„Nie odstępowała go ani na krok – wspominała Ewa Frykowska. – Tylko jednej funkcji przy nim nie pełniła, choć [często] spali w jednym łóżku. Pisarz chętnie zresztą o tym opowiadał, podkreślając zawsze i wszędzie, że ich związek jest wyłącznie platoniczny”**[213]**.

Trzy miesiące po ślubie poznał Urszulę Dudziak, która była wtedy w separacji z mężem, Michałem Urbaniakiem.

---

212 Za: J.P. Sloan, *op. cit.*, s. 396.

213 E. Morelle, *op. cit.*, s. 201.

„Mój mąż rzucił mnie dla młodszej aktorki, która akurat miała w Ameryce swoje pięć minut – opowiadała po latach wokalistka – o mnie mówił per »stara żona«. Tam w Ameryce istnieliśmy jako duet i rozstanie też przyczyniło się do tego, że coraz mniej mieliśmy pracy. Chwilami myślałam, że sobie strzelę w łeb”**[214]**.

Kosińskiego znała z telewizji, podziwiała go jako wybitnego pisarza i człowieka sukcesu. Kilka lat po przyjeździe do USA miała okazję przypadkowo spotkać go na nowojorskiej ulicy:

„Idzie 57. ulicą, widzę go, myślę: »Muszę go zaczepić, mam jedyną szansę, tylko coja mu powiem?«. Zaczęłam sobie układać w głowie: »Nazywam się Urszula Dudziak, jestem wokalistką jazzową z Polski, mieszkam niedaleko, widzę pana od czasu do czasu, bardzo chciałabym pana poznać, bo podziwiam pana w *Johnny Carson Show*...«. Ale zdaje się, że on zauważył, że ja się przymierzam do tego, z premedytacją spuścił głowę i jeszcze mnie ominął. Przeszłam rozżalona. I spotkaliśmy się dziesięć lat później”**[215]**.

Podobno pisarz miał do niej pretensje, że wtedy go nie zaczepiła. Twierdził, że być może

---

214 *Dudziak o dramacie z przeszłości. Mąż rzucił mnie dla młodszej*, http://rozrywka.dziennik.pl/plotki/artykuly/474611,urszula-dudziak-wspomina-rozstanie-z-michalem-urbaniakiem.html

215 Za: W. Staszewski, *Dudziak. Jak kochaliśmy się z Kosińskim*, http://wyborcza.pl/magazyn/1,124059,11273645,Dudziak__Jak_kochalismy_sie_z_Kosinskim.html?disableRedirects=true

wszystko potoczyłoby się inaczej, i zapewne miał rację. Dziesięć lat to bardzo wiele w życiu każdego człowieka, a dla Kosińskiego był to szczególnie burzliwy okres.

Do decydującego spotkania doszło w maju 1987 roku, Kosiński był na jej koncercie w nowojorskim klubie Blue Note. Po występie Ula podeszła do stolika, przy którym siedział z przyjaciółmi, i dopiero wtedy nawiązali pierwszą, niezobowiązująca rozmowę.

„Nie miałam zielonego pojęcia – wspominała – że pokocham tego mężczyznę, który siedzi obok mnie, że oszaleję na jego punkcie, że będę wpadała w rozpacz przez niego i dotykała nieba wraz z nim”**[216]**.

Dudziak nie była klasyczną pięknością i miała poważne kompleksy na punkcie własnego wyglądu. Urbaniak nigdy nie powiedział jej, że jest ładna, zazdrościła urody innym kobietom. Kosińskiemu się jednak podobała, porównywał ją nawet do żony Lionela Richiego, którą uważał za najpiękniejszą kobietę świata. Wytrwali badacze zwrócili też uwagę na fakt, że wokalistka przypominała nieco urodą matkę pisarza, co mogło mieć dla niego decydujące znaczenie. Poza tym Urszula była już dojrzałą kobietą – w chwili poznania Jerzego miała 44 lata i dwie córki, a Kosiński zawsze lubił dzieci i czasami wyrażał żal, że sam ich nie ma.

Początkowo widywali się w większym gronie, a Jerzy zawsze przychodził z Kiki. Po kilku miesiącach zaproponował jej spotkanie we dwoje, na którym mieli omówić pewien projekt dla jego nowej inicjatywy – Fundacji Obecności Żydowskiej. Urszula

---

216 U. Dudziak*, op. cit.*, s. 151.

dobrze wiedziała, że to tylko pretekst, i potraktowała to jak randkę.

„Wstałam w środku nocy, przymierzałam różne ciuchy, zastanawiając się, kogo odegrać. Wybrałam ciemnozieloną, bardzo obcisłą suknię, srebrne klipsy, czarne pończochy w drobną siatkę i bardzo wysokie szpilki. Pod suknią miałam seksowną czarną bieliznę, atłasowy pasek do pończoch i wyperfumowane ciało”**[217]**.

Spotkali się w restauracji, a potem udali się do niego „na szybkiego drinka”. Po przywitaniu się z Kiki poszli do jego pokoju. Jerzy zamknął drzwi na klucz, wyjaśniając, że „tu nikt nie wejdzie”. Pili rum z colą i kochali się po raz pierwszy. Po północy wyszli na późną kolację do jednego z jego ulubionych lokali.

„Weszliśmy tam jak do swojego domu. Kilka osób krzyknęło jednocześnie: cześć Jerzy! Witał się serdecznie i przedstawiał mnie jako jazzową gwiazdę z Polski. Usiedliśmy w kącie i zamówiliśmy dwa razy ciemny rum z colą”**[218]**.

Kiki musiała o wszystkim doskonale wiedzieć, nie wyrażała jednak sprzeciwu. Przez lata zdążyła się oswoić z jego kochankami, przelotnymi romansami i nocnymi wyprawami. Stanowili zgraną parę przyjaciół połączonych licznymi interesami, a Kosiński od czasów Jean Kilbourne nie rozważał porzucenia partnerki.

„Jurek nazywał to małżeństwem biurokratycznym – tłumaczyła Dudziak. – Od początku mieli osobne sypialnie. Ona była jak jego najbliższa przyjaciółka, siostra. A on miał zawsze drugie życie – przyjaciółki, kochanki. Nie weszłam

---

217 *Ibidem*, s. 156.
218 *Ibidem*, s. 159.

tam jako ktoś, kto nagle zburzył harmonię. Nie bardzo rozumiałam, na czym polega ten związek, [...] ale jedno wiem – że Jurek był o wiele bardziej skomplikowany i niezwykły, niż się przypuszcza”**[219]**.

Urszula oczarowała Jerzego i oferowała mu to, czego dotychczas nie otrzymywał od innych kobiet – rozmowy w ojczystym języku, brak poważniejszych związków z amerykańskim środowiskiem, namiastkę domu z dziećmi (dziewczynki uwielbiały Jerzego), zapowiedź stabilizacji. Poza tym Kosiński przekroczył już pięćdziesiąty rok życia, a jak wiadomo, mężczyźni z upływem lat robią się sentymentalni. Pisarz zaczął rozważać porzucenie Kiki, zdając sobie sprawę z faktu, że będzie to skomplikowana sprawa, bo choć z Urszulą spędzał coraz więcej czasu, to żona zajmowała ważne miejsce w jego życiu od ponad 20 lat. Miała też na niego duży wpływ i zapewne z tego powodu czasami zaskakiwał Urszulę zmianami swoich decyzji. Zdarzyło się, że zaproponował jej 10 tysięcy dolarów na urządzenie studia nagraniowego, a potem nie wrócił już do tematu. Prawdopodobnie był to efekt sprzeciwu Kiki, która kontrolowała większość spraw finansowych, a na dodatek była jego jedyną spadkobierczynią.

„Kiki musiała czuć się zawiedziona i zaniepokojona – wspominał Wojciech Fibak. – Dotąd myślała, że jest najważniejszą kobietą w jego życiu. Mimo, a może właśnie dlatego, że ta relacja była całkowicie pozbawiona erotyzmu. A tu nagle pojawiło się takie uczucie do Uli. Dla Kiki to nie mogło być łatwe”**[220]**.

---

219 Za: W. Staszewski, *op. cit.*
220 Za: *Jerzy Kosiński. More than life...*

Jerzy był coraz bardziej zakochany, więc kiedy wyjeżdżał z Nowego Jorku, dzwonił do Urszuli dwa lub trzy razy dziennie. Ona również poddała się uczuciu, „ciągle czekała na jego telefony, żyła nimi". Po latach przyznawała, że to ją „dławiło, wiązało, a jednocześnie uskrzydlało". Podobno doskonale rozumieli się w sprawach seksu, więc nic dziwnego, że ona nigdy nie zapomniała ich wspólnych, intymnych chwil:

„Ja byłam szczęśliwą dziewczynką, a on radosnym chłopaczkiem. Przytulaliśmy się w łóżku, byliśmy jednym. On się pozbywał swoich demonów, myśli o śmierci"**[221]**.

Dla Jerzego ważny był również kontakt z jej córkami, które po prostu za nim przepadały. I nie było w tym nic zaskakującego, bo wszyscy w Nowym Jorku wiedzieli, że gdy pojawiał się u znajomych, to zawsze jakiś czas spędzał w pokoju dziecięcym i zabawiał pociechy przyjaciół. W tej sytuacji zaczął myśleć o rozwodzie, co spotkało się z kategorycznym sprzeciwem Kiki. Wreszcie Dudziak zaproponowała rozwiązanie, które miało zakończyć ich wszelkie problemy:

„[...] wymyśliłam kontrowersyjne, ale piękne wyjście, żebyśmy wszyscy zamieszkali razem. Jego żona, Kiki, prowadziłaby biuro, podróżowała z nim biznesowo, towarzyszyła na oficjalnych przyjęciach, a ja byłabym dla Jurka muzą, a on moim uskrzydleniem. Jedno piętro byłoby dla Kiki, drugie dla nas, trzecie dla dzieci, a czwarte na moje studio nagraniowe. Jurek zaproponował takie rozwiązanie żonie. Nie chciała o tym słyszeć. A szkoda. Taka kombinacja oparta na miłości i wzajemnym szacunku

---

221 Za: W. Staszewski, *op. cit.*

mogłaby być pięknym przykładem dla innych znajdujących się w sytuacji bez wyjścia”**[222]**.

OSTATECZNE ROZWIĄZANIE

Pustelnik z 69 ulicy rozchodził się słabo, a recenzje były fatalne, być może dlatego, że Kosiński poprawiał maszynopis przez cztery lata, przez co książka za bardzo się rozrosła. Bez wątpienia pisarzowi zabrakło tym razem dobrych współpracowników, którzy wzięliby na siebie trud dokonania odpowiednich skrótów i przeróbek. Podobnie było z opublikowanym w „Esquire” esejem *Śmierć* w *Cannes*, który spotkał się z miażdżącymi recenzjami. Nie pomogły przejmujące zdjęcia ilustrujące odchodzenie Monoda, bo powszechnie uznano, że tekst jest wyjątkowo „chropawy” i mało zrozumiały.

Kosiński odczuł to tak boleśnie, że postanowił zająć się... biznesem. Przemiany polityczne nad Wisłą otworzyły drogę dla zachodnich inwestorów i sprzyjały snuciu coraz bardziej ambitnych planów. Początkowo zamierzał wybudować w Polsce dwa miliony mieszkań, potem zastanawiał się nad kupnem jednej z fabryk, w której chciał produkować samochody dostawcze na rynek chiński. Pomysły te okazały się jednak nierealne.

Mimo to wraz z Janem Byrczkiem powołał spółkę Polish American Resource Corporation (PARC) i dalej poszukiwał swojej szansy w interesach. Ostatecznie zdecydował się na zorganizowanie w Polsce banku. Dla tego przedsięwzięcia pozyskał dodatkowych inwestorów,

---

222 U. Dudziak, *op. cit.*, s. 229.

w czym pomocne okazały się jego kontakty w świecie filmu. AmerBank, w którym PARC miał jedną trzecią udziałów, dostał licencję jako pierwsza zachodnia instytucja finansowa nad Wisłą.

Wszystko to coraz bardziej niepokoiło Kiki, która czuła się zagrożona choćby tym, że Kosiński sfinansował remont mieszkania Dudziak, gdzie wokalistka przygotowała dla niego miejsce do pracy. Poza tym Jerzy coraz częściej mówił, że musi odpocząć od literatury, bo pisanie kosztuje go zbyt wiele zdrowia. I chociaż trudno uznać, że prowadzenie interesów mogło być mniej stresującym zajęciem, to na pewno było czymś nowym, a przez to bardzo pociągającym.

Tymczasem jego problemy zdrowotne narastały. Kosiński od lat cierpiał na tachykardię (wywołujące panikę niekontrolowane przyspieszenie rytmu serca), a dotychczasowe środki farmakologiczne przestały mu pomagać. Nowe lekarstwa mocno go otumaniały, przez co pełną sprawność umysłową odzyskiwał dopiero po południu. Do tego cierpiał na nagłe skoki ciśnienia, zaczynał mieć problemy z pamięcią, coraz częściej zdarzały mu się nagłe zasłabnięcia. Lekarze nie potrafili zdiagnozować jego schorzenia, zalecali mu głównie spokój i cierpliwość.

Kosiński zawsze obawiał się kalectwa i twierdził, że wolałby popełnić samobójstwo, niż być przykuty do wózka inwalidzkiego czy łóżka. Chociaż starał się ukrywać przed otoczeniem problemy zdrowotne, to znajomi widzieli, jak bardzo się zmienił.

„Nosił przy sobie małą buteleczkę z odpowiednią miksturą, na wszelki wypadek – wspominała Urszula. – Chodziliśmy często na basen

do pobliskiego spa i pamiętam, jak kiedyś przyszedł popływać, chwiejąc się na nogach. Zdziwiło mnie to i zaniepokoiło. Poprzedniego wieczoru byliśmy razem, a rano nigdy nie pił alkoholu. Na moje pytanie, co się dzieje, nic nie odpowiedział. Później zrozumiałam, że prawdopodobnie sprawdzał stężenie mikstury”**[223]**.

Nie mógł pisać, nie mógł normalnie funkcjonować, więc podjął ostateczną decyzję i tylko czekał na odpowiednią okazję. Późnym popołudniem 2 maja 1991 roku Kosińscy pojawili się na przyjęciu na cześć senatora Williama Cohena, a wieczorem wrócili do domu. Atmosfera była ciężka, rozmawiali o pomyśle zamieszkania wspólnie z Urszulą i jej dziećmi. Następnie Jerzy spotkał się z Dudziak i spędził w jej towarzystwie kilka godzin. Poszli razem na kolację, a potem do kina.

„Jurek zakładał w kinie okulary w ciężkiej, ciemnej oprawie – relacjonowała Urszula. – Wyglądał w nich jak Arthur Miller, a ja się czułam jak Marilyn Monroe. Po kinie weszliśmy do baru w hotelu Meridien na 57. ulicy, bardzo blisko naszych domów. Postanowił nie pić alkoholu tego wieczoru, ja także. Uznał, że ostatnio nadużywa trunków i warto sprawić organizmowi miłą niespodziankę”**[224]**.

Rozstali się po północy, a chwilę później on zadzwonił do Urszuli i przeprosił ją za swój nie najlepszy nastrój. Umówili się na następny dzień na spacer. Dudziak długo jednak nie mogła zasnąć, bo dręczyły ją złe przeczucia, które, niestety, okazały się uzasadnione.

---

223 *Ibidem*, s. 228.
224 *Ibidem*, s. 230.

Po zakończeniu rozmowy Jerzy wypił nieco alkoholu, a potem wziął dużą dawkę barbituranów (alkohol miał spotęgować ich działanie). Dla Kiki, która już spała, zostawił kartkę z wyjaśnieniem, że staje się coraz bardziej niedołężny i nie chce być dla niej ciężarem. List zakończył słowami: „Położę się teraz do snu na trochę dłużej niż zwykle. Nazwij ten czas Wiecznością”**[225]**. Wszedł do wanny pełnej wody i założył na głowę torbę foliową, owijając jej koniec wokół szyi. Był pewien, że to wystarczy, aby zakończyć życie, bo nie chciał ryzykować, że przeżyje z nieodwracalnymi zmianami w mózgu.

Kiki znalazła ciało rano, natychmiast zadzwoniła do Urszuli, prosząc, aby przyszła, a po chwili dodała, że musi się pospieszyć, jeżeli chce się pożegnać z Jerzym.

„W pokoju stała roztrzęsiona Kiki – opowiadała Dudziak – obok ich rodzinny lekarz, doktor Kohn. »Jest w łazience« – powiedziała. Weszłam i usiadłam na krawędzi wanny. Był od połowy przykryty ręcznikiem, z ręka opartą na kolanie. Twarz gęsto usiana bruzdami zestarzała się od wczoraj o dwadzieścia lat. [...] Ten widok mam w głowie na pewno na zawsze, jest wyraźny i wcale nie płowieje. Wyszłam bez słowa, a w drzwiach minęłam się z pielęgniarzami, którzy weszli z noszami. Michał zabrał dzieci do siebie, a ja się zamknęłam w domu”**[226]**.

Kilka tygodni później przypadały pięćdziesiąte ósme urodziny pisarza. Dwie córki Dudziak, trzynastoletnia Kasia i jedenastoletnia Mika zaproponowały pogrążonej w rozpaczy matce

---

225 Za: J.P. Sloan, *op. cit.*, s. 424.
226 U. Dudziak, *op. cit.*, s. 232.

uczczenie pamięci Jerzego. Gdy przedstawiły swój plan, ta nie potrafiła ukryć wzruszenia:

„Dziewczynki kupiły trzy balony wypełnione helem. Do każdego z nich przyczepiłyśmy swoją kartkę z listem do Jerzego, poszłyśmy do Central Parku i wypuściłyśmy balony do nieba. Tylko Kasia nie chciała podzielić się z nami treścią swojego listu. […] Po kilku miesiącach zwierzyła się Mice i mnie, że w liście przyczepionym do balonu napisała zdanie; »Jurku drogi, jestem pewna, że nic ci nie jest w stanie przeszkodzić w pisaniu”**[227]**.

POŚMIERTNA AWANTURA

Dwa tygodnie później Kiki przyleciała do Warszawy, aby dokonać otwarcia AmerBanku. Szybko pojawiły się różnice zdań pomiędzy nią i Janem Byrczkiem – wdowa przejęła pakiet akcji Kosińskiego i Teda Fielda, po czym zwolniła wspólnika z funkcji wiceprzewodniczącego Rady Nadzorczej. Chciała też przejąć PARC i zażądała od Byrczka dodatkowych 300 tysięcy dolarów, na co on nie zamierzał się zgodzić. Proces sądowy trwał osiem lat, Byrczek go wygrał, ale nie chciał się dalej sądzić o odszkodowanie.

Wdowa zadbała też o własny wizerunek i gdy rok po śmierci pisarza na łamach »New York Observera” ukazał się artykuł sugerujący jej współudział w samobójstwie męża, do redakcji wkroczył przyjaciel Kosińskich, prawnik Floyd Abrams. Pismo zostało zmuszone do zamieszczenia przeprosin, autorka artykułu wyjechała do Europy, Kiki zrezygnowała jednak z postępowania sadowego.

---

227 *Ibidem,* s. 252.

Osiągnęła swój cel, a podczas rozprawy mogłyby zostać ujawnione informacje, o których wolała głośno nie mówić.

W międzyczasie udało się jej obalić testament zmarłego męża. Po śmierci Jerzego wyszło bowiem na jaw, że dwa miesiące wcześniej zmienił swoją ostatnią wolę. Wprawdzie wszystko zapisał Kiki, ale pozbawił ją praw autorskich do swojej twórczości. Z tantiem miały być wypłacane stypendia dla młodych, początkujących artystów. Prawnicy pani Kosińskiej zdołali jednak udowodnić, że pisarz, sporządzając ten testament, nie był w pełni władz umysłowych, co potwierdzały liczne świadectwa ich wspólnych znajomych.

Kiki nigdy też nie wybaczyła Stokesowi i Fremont-Smithowi artykułu w „Village Voice". Z uporem twierdziła, że obaj dziennikarze przyczynili się do samobójstwa Jerzego, i nie zwracała uwagi na fakt, że pisarz zdążył zmienić swój pogląd na całą tę sprawę. Pół roku przed śmiercią spotkał się ze Stokesem i spokojnie rozmawiał z nim przez kilka godzin, a na zakończenie pogawędki panowie uścisnęli sobie dłonie.

Katherina von Fraunhofer-Kosiński zmarła w 2007 roku, w tym samym roku pożegnał się z tym światem Eliot Fremont-Smith. Natomiast Geoffrey Stokes konsekwentnie nie chce wracać do sprawy Kosińskiego.

Urszula po śmierci Jerzego nie dostała nic, ale do dzisiaj uważa, że Jerzy dał jej coś znacznie cenniejszego od pieniędzy.

„On był miłością mojego życia – mówiła 20 lat po śmierci pisarza – potrząsnął mną, zmienił mnie kompletnie. Byliśmy dla siebie stworzeni. Dzięki niemu czuję się atrakcyjną, dającą sobie świetnie

radę w życiu kobietą. Szkoda, że nie widzi mnie dzisiaj. Myślę, że bardzo by się ucieszył”**[228]**.

OSTATNI SEANS NIENAWIŚCI

Śmierć Kosińskiego odnotowały media na całym świecie, prasa zamieszczała o nim liczne wspomnienia. Szybko też ujawnili się ludzie, którzy dotychczas milczeli, a nienawidzili go z całego serca.

„Nie wszystkim podobały się maskarady Kosińskiego – zauważono na łamach magazynu »New York« trzy miesiące po śmierci Jerzego. – Trudno w świecie Zachodu znaleźć innego pisarza, którego w podobny sposób prześladowano za wymyślanie, za praktykowanie swojej sztuki. Ktoś zawsze usiłował się z nim rozprawić”**[229]**.

Niestety, prym w tych atakach wiedli rodacy. W ramach pośmiertnych wspomnień zamieszczanych w polonijnym »Nowym Dzienniku« znany tłumacz Aleksander Jordan Lutosławski ogłosił, że to on był autorem angielskiej wersji *Malowanego ptaka*. Stwierdził, że przetłumaczył go w kilka tygodni, a poza tym polski tekst Jerzego do niczego się nie nadawał, bo jego „styl przypominał gazetowe sprawozdanie”.

Lutosławski faktycznie należał do zespołu tłumaczy i redaktorów, którzy pracowali nad książką, jednak na pewno nie był odpowiedzialny za jej pełny przekład. Teraz jednak twierdził, że było inaczej, a swojej dotychczasowe milczenie tłumaczył tym, że nie chciał szkodzić Kosińskiemu za jego życia. Rewelacje

---

228 Za: W. Staszewski, *op. cit.*

229 Za: H. Dasko, *op. cit.*, s. 137.

tłumacza nie znalazły jednak większej wiary, gdyż ich autor nie potrafił właściwie nic udowodnić. Wkrótce zresztą Lutosławski pogrążył się całkowicie, twierdząc, że przetłumaczył również *Dzienniki amerykańskie* Tyrmanda, co uznano za zupełnie nieprawdopodobne.

Zachowanie Lutosławskiego zdecydowanie odbiegało od postawy Petera Skinnera, który faktycznie najwięcej zasłużył się przy powstawaniu *Malowanego ptaka*. Anglik miał jednak klasę, której brakowało innym współpracownikom.

„Miałem wrażenie – wspominał – że ten tekst powstał w wyniku niezliczonych godzin spędzonych ze słownikiem. Nie jest prawdą, że Kosiński wtedy zbyt słabo znał język angielski, aby napisać *Malowanego ptaka*. Wielokrotnie dyktował mi fragmenty normalnej, nadającej się do obróbki prozy. Czy był to przekład? Nie wiem. Zapewne nie mógłbym wykluczyć, że Kosiński przełożył to z polskiego, chociaż [...] kiedy z nim pracowałem, pisał po angielsku i tylko po angielsku”**[230]**.

Poziom nienawiści, jaką odczuwali do zmarłego pisarza jego polscy koledzy po piórze, jest wręcz trudny do wyobrażenia. Antoni Libera – pisarz, tłumacz i krytyk w jednej osobie – latem 1992 roku wręcz pluł jadem na łamach paryskiej „Kultury”:

„Jerzy Kosiński – zwykły hochsztapler, półgrafoman [...] sprężyną jego kariery był przebojowy, bezwstydny arywizm [...] epatował [...] własną wyrazistą twarzą, której niewątpliwie z premedytacją używał dla osiągnięcia założonych celów”**[231]**.

---

230 Za: *ibidem*, s. 121.
231 Za: *ibidem*, s. 130.

Najłatwiejszym celem była okupacyjna przeszłość Kosińskiego, nic zatem dziwnego, że pojawiały się kolejne pozycje „odkrywające", że pisarz konfabulował na ten temat. Ich autorzy powtarzali wciąż te same argumenty, nie zwracając zupełnie uwagi na fakt, że były to sprawy już od lat powszechnie znane. Najwyraźniej jednak znęcanie się nad zmarłym, sławnym pisarzem miało dla autorów tych publikacji jakiś nieodparty urok.

Czas nie zmienił tej tendencji, czego przykładem jest chociażby książka *Good night, Dżerzi* Janusza Głowackiego, wydana w 2010 roku. Autor był ponoć zaprzyjaźniony z Kosińskim, a mimo to wszelkie wątpliwości w biografii Kosińskiego rozstrzygał na jego niekorzyść. Niesmaku nie ukrywał Daniel Passent, który dobrze znał obu panów:

„Okazuje się, że prawdziwy »Dżerzi«, nie ten pomnikowy, kłamał jak najęty, niewiele po nim zostało, »wydymał nas«, cały Holokaust przeżył pod gościnną, ciepłą kołdrą polskich chłopów, pod którą państwo Lewinkopfowie dokazywali, nie bacząc na Hitlera, a Jurek wyrósł na blagiera, mitomana, erotomana, zboczeńca, właściciela największej kolekcji pejczy; nieskończenie długą erekcję osiągał za pomocą rozmaitych sztuczek, a kiedy Ameryka kopnęła go w dupę, Polska zrobiła mu laskę na kolanach, dlatego z mety pokochał wszystko, co polskie, włącznie z Jaruzelskim"**[232]**.

232 D. Passent, *op. cit.*

Rozdział 4
Wzloty i upadki Romana Polańskiego

Wielką miłością ***Romana Polańskiego*** była aktorka Sharon Tate. Jej śmierć była jedną z największych tragedii w życiu reżysera. Po latach tak wspominał moment, gdy widział ją po raz ostatni: „Kiedy trzymałem ją w ramionach, przemknęła mi absurdalna myśl: nigdy jej więcej nie zobaczę".

Osobiście mam wielki szacunek dla jego dokonań – mówił o Polańskim reżyser i producent, Henryk Kluba – nikt z polskich reżyserów tyle nie osiągnął... Nawet Andrzej Wajda, jeden z naszych najwybitniejszych filmowców, znany jest głównie w Polsce. Polański wzbudza jednak sporo kontrowersji. Znam go od dawna i cenię za artystyczną oryginalność. To zupełnie naturalne, że młode pokolenie nie pada przed nim na kolana. Dla nich to twórca, który dał się skorumpować wielkim producentom za cenę dotarcia do masowej publiczności"**[233]**.

Z „młodymi gniewnymi" często jednak bywa tak, że większość z nich chętnie zrezygnowałaby z ambicji artystycznych w zamian za możliwość kręcenia filmów o dużym budżecie. Bez dużych nakładów nie można zrobić dobrego, kasowego obrazu (nieliczne wyjątki potwierdzają tę regułę), zatem kompromis z wielkimi wytwórniami jest koniecznością. Podobnie myślał Polański, gdy w wieku niespełna trzydziestu lat wyjeżdżał na Zachód, aby podbić tamtejszy świat filmu. Miał za sobą znakomity debiut i przekonanie o własnym talencie oraz upór w dążeniu do celu. Udało mu się zdobyć światowe uznanie, towarzyszyły temu jednak tak

---

233 Za: J. Parker, *Polański*, Wrocław 1998, s. 8.

dramatyczne wydarzenia w jego życiu osobistym, że biografowie mają poważny problem z odróżnieniem prawdy od fikcji, tym bardziej że mroczna twórczość reżysera wcale nie ułatwia im zadania. Nie zmienia to jednak faktu, że Polański jest jednym z najwybitniejszych twórców kina i powszechnie uznanym klasykiem srebrnego ekranu, a energii życiowej mogą mu pozazdrościć znacznie młodsi twórcy.

„Nie zmienił się specjalnie – oceniał operator, Witold Sobociński – nadal pragnie pozostawać w centrum uwagi. Był [i jest] przywódcą, nie w ideologicznym sensie, ale jako ktoś, kto musi znajdować się w centrum wszelkich podejmowanych działań. Jeśli, na przykład, jesteśmy na przyjęciu, wszyscy stoją, dopóki Polański nie pousadza gości. [...] Postrzegany jest jako jedyny Polak, który zrobił wielką karierę na Zachodzie, choć widzi się ją przede wszystkim jako serię skandali obyczajowych”**[234]**.

11 MARCA 1977, LOS ANGELES

„Pracowałem w wydziale zabójstw i zajmowałem się przestępstwami seksualnymi – wspominał emerytowany policjant z Los Angeles, Philip Vannatter. – Rano na biurku znalazłem raport na temat gwałtu. Podejrzanym był Roman Polański. Po zapoznaniu się ze sprawą wszczęłem śledztwo. Przesłuchałem ofiarę i jej matkę, byłem bardzo skrupulatny. Upewniłem się, że odnotowano wszelkie

---

234 Za: *ibidem, s.* 225.

fizyczne dowody. Następnie udałem się do prokuratora okręgowego”**[235]**.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie, prokuratura natychmiast wydała nakaz aresztowania i tego samego dnia reżyser został zatrzymany.

„[…] pojechaliśmy do hotelu – relacjonował były prokurator rejonowy, Jim Grodan – weszliśmy, a on wychodził właśnie z przyjaciółmi na wieczór. […] Zatrzymaliśmy się, żeby nas ominął. Powiedziałem: »Panie Polański – policja. Musimy porozmawiać«. Zapytał, ile to zajmie, bo nie chce zatrzymywać znajomych. Powiedziałem, że długo”**[236]**.

Początkowo reżyser nie był za bardzo przejęty tą sytuacją, na funkcjonariuszach sprawiał zresztą wrażenie człowieka będącego pod wpływem narkotyków. Mówił dużo i chaotycznie, „nie uważał seksu z 13-latką za przestępstwo” i „chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co w Ameryce oznacza aresztowanie”. Szybko wyprowadzono go z błędu, a w mediach rozpętało się prawdziwe szaleństwo. Dziennikarze nie mogli pominąć takiej okazji, bo Polański był w USA postacią dobrze znaną. Doskonale pamiętano tragedię sprzed kilku lat, gdy ofiarą brutalnego mordu padła jego ciężarna żona wraz czwórką przyjaciół, a prasa pisała o narkotycznych i satanistycznych orgiach, jakie miały odbywać się w domu reżysera. Atmosferę dodatkowo podgrzewał fakt, że miejscowi dziennikarze nigdy nie przepadali za Polańskim, uważając „go za złego, pokręconego krasnoluda o mrocznych wizjach”.

---

235 Za: *Roman Polański, ścigany i pożądany,* reż. Marina Zenovich, HBO 2008.

236 Za: *ibidem*.

Romanowi postawiono sześć zarzutów: zaopatrzenie osoby nieletniej w narkotyki, dopuszczenie się czynów lubieżnych względem dziecka, czyn nierządny, gwałt z użyciem narkotyków, deprawowanie dzieci i pederastię (a właściwie seks analny). Groził mu wieloletni wyrok i było całkiem prawdopodobne, że już nigdy nie opuści murów więzienia. Co gorsza, Polański przyznał, że był świadom tego, że jego ofiara, Samantha Gailey, miała trzynaście lat. Reżyser wiedział, że seks z nieletnimi nie był wyjątkiem wśród kalifornijskich elit, ale najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z faktu, że tym razem szykowano proces pokazowy i prokuratura nie zaniedbywała żadnego szczegółu. Starannie wybrano też oskarżyciela – Roger Gunson sprawiał wrażenie całkowitego przeciwieństwa oskarżonego, dzięki czemu zgnilizna moralna Polańskiego miała zostać jeszcze bardziej podkreślona.

„Gunson stanowił wzór prawości – opowiadał jeden z dziennikarzy. – Miał urok przystojnego chłopczyka, podobnie jak Robert Redford. W prokuraturze krążyła plotka, że wybrano Gunsona, ponieważ był mormonem i jako jedyny pracownik prokuratury nie miał na koncie stosunku z nieletnią”**[237]**.

Prawnicy Polańskiego rozpoczęli negocjacje z rodziną poszkodowanej i z prokuraturą, jednak reżyser miał świadomość, że jego pozycja w USA legła w gruzach. Jedno popołudnie spędzone w towarzystwie nieletniej dziewczyny sprawiło, że stracił szansę na zrobienie tutaj kariery, do jakiej był predysponowany. Społeczeństwo amerykańskie zawsze było wyjątkowo pruderyjne, a gwałt na

---

237 Za: *ibidem*.

odurzonej narkotykami trzynastolatce należał do kategorii przestępstw, których za oceanem nie wybaczano. Nawet gdyby Polańskiemu udało się uniknąć długoletniego więzienia, to w USA i tak nie stanąłby już za kamerą, a to oznaczało przekreślenie nadziei na prawdziwy komercyjny sukces, bo pozostałoby mu tylko kino europejskie, które w świecie filmu było skromną, finansową prowincją.

PECHOWE DECYZJE MOJŻESZA LIEBLINGA

Istnieją pewne analogie pomiędzy wczesnymi latami życia Jerzego Kosińskiego i Romana Polańskiego. Obaj urodzili się w tym samym roku, obaj pochodzili z rodzin o żydowskich korzeniach i przetrwali Holocaust dzięki pomocy polskiej społeczności. Jerzy przeżył jednak okupację w otoczeniu najbliższych, natomiast Roman znaczną część wojny spędził oddzielony od rodziców, a jego matka padła ofiarą hitlerowców. Inne też było postępowanie ich ojców, gdyż Mojżesz Liebling w podejmowaniu ważnych decyzji nie miał takiego szczęścia jak ojciec Jerzego.

Roman Polański przyszedł na świat w Paryżu jako Raymond Thierry Liebling. Na trzy lata przed wybuchem wojny jego rodzina przeniosła się do Krakowa, co według Mojżesza miało ją ocalić przed narastającą we Francji falą antysemityzmu. Co gorsza, na kilka dni przed wybuchem wojny Liebling senior wysłał żonę wraz z dwójką dzieci do Warszawy (Roman miał starszą, przyrodnią siostrę – córkę matki z pierwszego małżeństwa), uważając, że tam będą bezpieczniejsi niż pod Wawelem. Wydarzenia błyskawicznie zweryfikowały jego ocenę sytuacji, bo chociaż Kraków został szybko zajęty przez Niemców,

to jednak było w nim względnie spokojnie, czego nie można powiedzieć o bombardowanej Warszawie.

Lieblingowie szczęśliwie przeżyli oblężenie, a po upadku miasta odnalazł ich tam ojciec. Razem wrócili do Krakowa, gdzie początkowo dopisywało im szczęście. Znaleźli się w grupie ludności żydowskiej zakwalifikowanej do pozostania w mieście, w którym rodzice Romana mieli pracować na potrzeby Rzeszy Niemieckiej.

Pod Wawelem obowiązywały jednak typowo hitlerowskie rygory. Żydzi musieli nosić na ramieniu opaski z gwiazdą Dawida, przesiedlono ich też do dzielnicy Podgórze, gdzie niebawem powstało getto.

„W jakiś czas potem – wspominał Roman – Annette przyprowadziła mnie do okna, żeby mi coś pokazać. Jacyś ludzie pracowali tuż obok, na środku ulicy. Wyglądało na to, że wznoszą barykadę. »Co oni robią?« – spytałem. »Budują mur« – odpowiedziała”**[238]**.

Krakowskie getto powstało w marcu 1941 roku, niebawem też zaczęły się wywózki do obozów śmierci. W tej sytuacji Mojżesz wreszcie zachował się pragmatycznie, i wiedząc, że nie ma pieniędzy na ocalenie całej rodziny, postanowił uratować jej najmłodszego członka. Jego planom sprzyjało to, że Roman nie miał semickiego wyglądu, a Bula (Bela) Liebling, jako sprzątaczka zatrudniona w siedzibie Hansa Franka na Wawelu, dysponowała stałą przepustką i w razie potrzeby mogła wyprowadzić syna poza obszar getta.

Mojżesz porozumiał się z polską rodziną Wilków i gdy tylko pojawiały się pogłoski o kolejnych wywózkach do obozów śmierci, chłopak był

---

238 R. Polański, *Roman*, Warszawa 1989, s. 20.

ekspediowany na aryjską stronę, a kiedy sytuacja ulegała uspokojeniu – wracał do getta. Powtarzało się to wielokrotnie, przy czym od pewnego momentu przerzucaniem Romana zajmował się jego ojciec, ponieważ matka znalazła się w jednym z transportów do Auschwitz.

Getto krakowskie ostatecznie zlikwidowano w marcu 1943 roku, a Romanowi w ostatniej chwili udało się przejść na aryjską stronę. Wilkowie bali się jednak ukrywać chłopca u siebie, więc umieścili go u rodziny Putków, u których zresztą też nie zagrzał miejsca. Ostatecznie końca okupacji doczekał na wsi, przygarnięty przez rodzinę Buchałów.

Ojciec i siostra przeżyli wojnę, przy czym Annette, wywieziona wraz z matką do obozu, była świadkiem odesłania jej do komory gazowej. Nie potrafiła tego zapomnieć, a uraz spowodowany okupacją położył się cieniem na całym jej życiu. Nie chciała wracać do Polski, osiedliła się we Francji. Także kuzynka Polańskiego z Krakowa, Roma Ligocka, zawsze podkreślała swoją okupacyjną traumę. Tymczasem Roman przez dziesiątki lat w ogóle nie podejmował tego tematu, chociaż wielu badaczy uważało, że to właśnie przeżycia lat wojny wywarły największy wpływ na jego twórczość artystyczną. Jednak nawet z najbliższymi nie rozmawiał o swoich uczuciach po stracie matki ani o długich, samotnych miesiącach spędzonych wśród obcych. Zawsze był człowiekiem niezwykle kontaktowym, ale pewne elementy jego duszy pozostawały ukryte przed światem.

„Chociaż dzieciństwo nie pozostawało bez wpływu na jego twórczość – opowiadała jego pierwsza żona, Barbara Kwiatkowska-Lass – to nie wydaje mi się, aby akurat te doświadczenia dały

Polańskiemu wyjątkową wewnętrzną siłę. Wiąże się ona raczej z jego zdumiewającą dojrzałością. To człowiek, który musiał urodzić się jako ukształtowana osobowość. [...] Niezwykle bystry umysł, w związku z tym nie znosi powolności, irytują go ludzie o opóźnionych reakcjach. Romek jest z Krakowa, jego wieczne pozowanie i popisywanie się to część lokalnego kolorytu, którym nasiąknął”**[239]**.

POD WAWELEM

Do Krakowa powrócił jeszcze przed zakończeniem wojny i spotkał tam braci ojca: Stefana i Dawida (ojca Romy Ligockiej). Niebawem też zamieszkał u tego drugiego.

„Od razu go poznałem – tłumaczył Dawid żonie i córce – od razu wiedziałem, że to syn mojego brata. Jego uszu nie można pomylić. [...] Literalnie wyciągnąłem go z rynsztoka. Po tym, jak został wyprowadzony z getta, musiał przeżyć straszne rzeczy. Ale żyje!”**[240]**.

Na kilkuletniej Romie Polański robił wrażenie agresywnego, „głodnego zwierzęcia”, jednak był w „swojej złości godny podziwu”. Sypiali na jednym materacu we trójkę: Roma, Romek oraz ich kuzyn, sześcioletni Ryszard Horowitz (przyszły znany fotografik). Polański lubił dużo mówić, „gadał jak wodospad, szybko i głośno”. Potrafił przez długie godziny opowiadać „pod kołdrą długie i ciekawe historie” i nigdy nie miał tego dosyć. Natomiast o wiele mniej ciekawie układały się jego stosunki z

---

239 Za: J. Parker, *op. cit.,* s. 31.

240 R. Ligocka, *Dziewczynka* w *czerwonym płaszczyku,* Kraków 2015, s. 175.

ojcem Romy, gdyż Dawid Liebling był typem sadysty, który podczas wojny pełnił funkcję kapo w jednym z hitlerowskich obozów.

„Któregoś dnia – wspominał reżyser – chcąc mnie ukarać za jakieś przewinienie, stryj Dawid zaaplikował mi regularną chłostę. Musiałem opuścić spodnie i pochylić się nad stołem, podczas gdy on bił mnie do krwi paskiem ze sprzączką, każąc mi jeszcze liczyć uderzenia. Po czym zażądał, bym mu podziękował, a kiedy odmówiłem, wymierzył mi następną porcję razów. To były niewątpliwie rezultaty jego obozowego działania jako kapo, echo metody, za pomocą której Niemcy utrzymywali w swych obozach dyscyplinę”**[241]**.

W Krakowie pojawił się również Mojżesz Liebling, nie oznaczało to jednak końca problemów Romana. Chłopak od najmłodszych lat kłócił się z ojcem, a gdy zabrakło matki, ich wzajemne relacje uległy dalszemu pogorszeniu.

„Tata Romka, wuj Mojżesz płacze z radości, że odnalazł syna – wspominała Roma Ligocka. – A mimo to od razu zaczynają się kłócić i nie przestają przez kolejne lata. Ich kłótnie przebiegają w ten sam sposób: Romek płacze, krzyczy i macha wokół siebie rękami, wuj bije go rozpaczliwie i bez litości. Wygląda to tak, jakby chciał odbić sobie na własnym dziecku wszystkie lata poniżeń i poniewierki”**[242]**.

Oddzielnym problemem stała się nowa towarzyszka życiowa ojca, Wanda Zajączkowska. To dla niej Mojżesz przeszedł na katolicyzm, przyjął imię Ryszard i zmienił nazwisko na Polański (podobno od Polanicy, gdzie się poznali). Romek nie mógł

---

241 R. Polański, *op. cit.*, s. 49.

242 R. Ligocka, *op. cit.*, s. 176.

zaakceptować kobiety, która zajęła miejsce matki, a ona też za nim nie przepadała.

„[…] jego tata już po wojnie związał się z typową krakowską mieszczką – relacjonował Ryszard Horowitz. – Zapamiętałem irchowe rękawiczki, które macocha Romka nosiła bez względu na pogodę, i pogardliwe spojrzenia, jakimi go obrzucała. […] W moim dziecięcym wspomnieniu pozostała na zawsze wcieleniem złej macochy z baśni o Kopciuszku”**[243]**.

Roman też nie ułatwiał sytuacji, bo był chłopcem wyjątkowo agresywnym, przez co „ludzie go po prostu nie cierpieli”. W efekcie wszystkie próby zamieszkania z ojcem i Wandą kończyły się niepowodzeniem, toteż od czternastego roku życia mieszkał na stancji, co okazało się najlepszym rozwiązaniem.

„[…] Roman uchodził za urwisa – kontynuował Horowitz. – […] Wśród innych dzieciaków wyróżniał się tym, że był trochę dziki, zadziorny, zawsze skłonny do bitki, tak jakby nazwisko, którego używał podczas okupacji – Wilk – wpłynęło na jego charakter. Mnie natomiast zawsze okazywał przyjaźń i cierpliwość, był moim przewodnikiem, pomysłodawcą wspólnych zabaw, niemal bratem”**[244]**.

Chłopak faktycznie sprawiał poważne problemy wychowawcze i miał duże kłopoty w szkole. Całymi dniami włóczył się po Krakowie, który znał jak własną kieszeń i wiedział, „gdzie są najlepsze kryjówki”, gdzie można coś ukraść, aby potem

---

243 R. Horowitz, *Życie niebywałe. Wspomnienia fotokompozytora*, Kraków 2014, s. 7.

244 *Ibidem*.

sprzedać. Na wszelkie niepowodzenia reagował niepohamowaną agresją.

„Mimo nikłej postury – wspominał jeden z jego przyjaciół – Romek był niezwykle agresywny i zawsze osiągał to, co chciał. Nie zrobiłby niczego, co by mu nie odpowiadało, co więcej miał dar przekonywania i manipulowania ludźmi. Umiał wykręcić się z niewygodnych sytuacji. Można powiedzieć, że uważał, iż wiele mu się należy od życia za wojenną przerwę w życiorysie. Jednak wielu z nas cierpiało tak samo jak on lub bardziej w czasie wojny. Wątpię jednak, aby się tym przejmował”**[245]**.

Zajmował się pokątnym handlem i miał obsesję, aby zarobić na własny rower, czego omal nie przypłacił życiem. Umówił się bowiem z niejakim Januszem Dziubą na kupno „przedwojennego roweru wyścigowego w idealnym stanie”, jednak „sprzedawca” okazał się seryjnym mordercą poszukiwanym za trzy zabójstwa. Przestępca ogłuszył go i okradł, a Roman przeżył tylko dzięki wyjątkowej wytrzymałości swojej czaszki. Odnaleziono go w jednym ze szpitali dzięki temu, że Roma, zaniepokojona jego nieobecnością, wyznała, jakie miał plany.

„[…] kiedy go wreszcie znajdują – wspominała po latach – okazuje się, że Romek jest ciężko ranny. Ma ranę na głowie i jest bardzo słaby, ponieważ od dwóch dni leżał w podziemnym bunkrze w parku. Znikły jego pieniądze, roweru też nie ma”**[246]**.

Dziuba został schwytany i skazany na karę śmierci, natomiast Roman po latach wykorzystał ten

---

245 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 33.
246 R. Ligocka, *op. cit.*, s. 198.

dramatyczny epizod w jednej ze swoich krótkometrażówek.

PIERWSZE FASCYNACJE

Polański interesował się filmem niemal „od zawsze". Podczas wojny, gdy przebywał poza gettem, wszystkie posiadane pieniądze wydawał na kino. Nie zwracał przy tym uwagi na repertuar, bo dla niego liczył się wyłącznie kontakt z obrazem i atmosfera sali kinowej.

„Jeśli wierzyć sloganowi ruchu oporu, wypisanemu na murach krakowskich kin: »Tylko świnie siedzą w kinie«, musiałem być rzeczywiście skończoną świnią – opowiadał. – Wkrótce znałem już wyślizgane, drewniane siedzenia wszystkich sal w mieście. Kino stało się dla mnie namiętnością – jedyną ucieczką od przygnębienia i rozpaczy, które tak często mnie ogarniały"**[247]**.

Jego nieodłącznym towarzyszem był wtedy rówieśnik, Mieczysław Putek. Razem wielokrotnie oglądali te same filmy, a raz nawet poszli na seans do kina przeznaczonego tylko dla Niemców.

„Udało mi się namówić Mietka – kontynuował Polański – żebyśmy się podali za niemieckie dzieci. Mietek bez słowa rzucił kasjerce pieniądze za »trzecie miejsca« – najbliższe ekranu, najtańsze i najbardziej przez nas łubiane. Obejrzeliśmy niemiecką wersję *Kota* w *butach,* bez polskich napisów, z aktorami przebranymi za zwierzęta. Słuchając wyrzutów Mietka w czasie powrotnej jazdy tramwajem, zdałem

---

247 R. Polański, *op. cit.*, s. 31.

sobie sprawę, że ryzykowaliśmy życie, żeby obejrzeć kompletną chałę”**[248]**.

Z upływem czasu jego fascynacja filmem rosła, czemu bardzo sprzyjało to, że w pierwszych miesiącach po wojnie cenzura jeszcze nie działała i do kraju docierało wiele amerykańskich i zachodnioeuropejskich produkcji. Polański oglądał je z uporem maniaka i właściwie wszystkie uważał za fascynujące. Wśród znajomych aranżował zapamiętane z kina sceny, usiłował też tworzyć domowe namiastki filmów.

„Ustawialiśmy na komodzie mały epidiaskop z kartonu i wyświetlaliśmy obrazki, udając prawdziwe kino – wspominał Horowitz. – Kiedyś podkusiło mnie, żeby wyświetlić film prosto na ścianę Wieży Ratuszowej, *vis-à-vis* moich okien, co zakończyło się niezbyt miłą wizytą milicji”**[249]**.

O dalszych losach Polańskiego zadecydował angaż do radiowego programu *Wesoła gromadka*. Doszło do niego przypadkowo, gdy Roman wraz z kolegami ze szkoły zwiedzał studio radiowe i bardzo krytycznie wypowiedział się o występujących tam rówieśnikach. Poproszony o samodzielne przeczytanie tekstu, do tego stopnia oczarował autorów cyklu, że został zaproszony do współpracy. Niebawem zaczął też regularnie pojawiać się w obsadzie przedstawień Teatru Młodego Widza, aż wreszcie dostał tytułową rolę w *Synu pułku,* inscenizacji powieści rosyjskiego pisarza Walentina Katajewa. Ogromny sukces tej sztuki zadecydował, że postanowił zająć się na poważnie aktorstwem.

---

248 *Ibidem*, s. 32.
249 R. Horowitz, *op. cit.*, s. 15.

Decyzja ta była dla niego wybawieniem, gdyż tak naprawdę nie miał pomysłu na życie. Zrezygnował z edukacji w technikum górniczym, a później niepowodzeniem zakończyła się jego nauka w Liceum Sztuk Plastycznych, bo chociaż miał autentyczny talent, nie potrafił się podporządkować kanonom narzucanym uczniom tej placówki.

„Jego sztuka – opowiadał jeden z wykładowców liceum – zdawała się czerpać ogromną radość z przeciwstawiania się konwencji. Podczas gdy większość malowała klasyczną martwą naturę, powiedzmy owoce na talerzu, on oczywiście robił to, ale przekształcał te nieszczęsne owoce w makabryczne, surrealne wariacje na temat martwej natury. Zawsze wyskakiwał z najdziwniejszymi pomysłami, które nie miały nic wspólnego z programem nauczania. Stąd jego praca, nawet sama jego obecność wywoływała w klasie zamieszanie, a to często przeszkadzało innym”**[250]**.

Ostatecznie usunięto go ze szkoły za nienależenie do Związku Młodzieży Polskiej, a nie bez znaczenia był również fakt, że jego ojciec prowadził niewielką firmę. Jednak po latach rysunki Polańskiego zawsze znajdowały się na honorowym miejscu podczas wystaw uczniów i absolwentów liceum. Okazał się bowiem najsławniejszym uczniem tej placówki, więc nie liczyło się nawet to, że nie miał jej dyplomu.

ŁÓDZKA FILMÓWKA

Usunięcie ze szkoły okazało się dla Romana błogosławieństwem. W niedalekim Bielsku pojawiła

---

250 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 34.

się bowiem grupa studentów ostatnich lat łódzkiej filmówki, którzy kręcili *Trzy opowieści*. Polańskiemu udało się dostać na plan i zagrać niewielką rolę w jednym z epizodów. Został dostrzeżony przez Andrzeja Wajdę oraz operatora Jerzego Lipmana i zachęcony przez tego ostatniego, zgłosił się na egzaminy do Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej w Krakowie, do której jednak nie został przyjęty. Oficjalnym powodem był jego niski wzrost, a w istocie mogło chodzić o „niewłaściwe" zajęcie ojca. Sytuacja stała się nieciekawa, bo chłopakowi groziła zasadnicza służba wojskowa. Chcąc zyskać na czasie, złożył dokumenty do szkoły cyrkowej (!), a gdy dowiedział się, że tej placówki nie ma na liście szkół gwarantujących odroczenie poboru, zaczął planować ucieczkę na Zachód. Z opresji wybawiła go oferta Andrzeja Wajdy, który zaproponował mu rolę w swoim pełnometrażowym debiucie. *Pokoleniu*. Operatorem był ponownie Lipman, a w głównych rolach występowali: Tadeusz Łomnicki, Zbyszek Cybulski i Tadeusz Janczar. Wprawdzie cenzura straszliwie pocięła film, a postać kreowana przez Polańskiego została zredukowana do niewiele znaczącego epizodu, to jednak kontakty z członkami ekipy zadecydowały, że postanowił zdawać egzamin na wydział reżyserski łódzkiej filmówki. Tym razem bez większych problemów swój cel osiągnął (przyjęto wtedy ośmiu kandydatów) i niebawem przeniósł się do Łodzi.

„Polański od razu rzucał się w oczy – wspominał Henryk Kluba – od razu był hałaśliwy. Zaczynała się projekcja filmowa, od razu słychać było jego głośne komentarze. Kiedy się przebijał, był szalenie ostentacyjny. A przecież zwyczaj w Szkole nakazywał, by ci z pierwszego roku siedzieli cicho. A

ta bestia od razu szalała, od razu zdobywała sobie pozycję”**[251]**.

Powszechnie uznawano, że był osobnikiem wyjątkowo irytującym. Szczególnie słuchacze starszych roczników nie mogli zrozumieć, że „jakiś pętaczyna ich pouczał”, a do tego w „wielu wypadkach miał rację”. Oburzony był nawet Andrzej Wajda, który przecież cenił umiejętności aktorskie Romana:

„Pokolenie Polańskiego, Kondratiuka, Kostenki stało się w Szkole początkiem czegoś nowego i niewyobrażalnego. Myśmy naśladowali naszych ojców, wszystko było u nas przedwojenne, łącznie z dobrym wychowaniem. Natomiast Polański jawił się jako potwór. Że kogoś takiego przyjęli do Szkoły? Koniec świata! Do czego to wszystko zmierza?!”**[252]**.

Świeżo upieczony student był bezkompromisowy w swoich ocenach i własnego zdania bronił do upadłego. Był przy tym „szalenie agresywny i zawsze starał się być w centrum zainteresowania”. Czasami przybierało to brutalne formy, bardzo odległe od zasad salonowych dyskusji.

„Po przedpremierowej projekcji *Pętli* Hasa spierano się o montaż – wspominał Jacek Korcelli. – […]

Najbardziej starli się Wiesiek Zdort i Romek Polański, obaj obdarzeni bujnymi temperamentami. W końcówce sporu wyszli przed ekran i zaczęli się

---

251 Za: Filmówka. *Powieść o łódzkiej szkole filmowej*, Warszawa 1998, s. 90.

252 Za: *ibidem*, s. 95.

trzaskać po szczękach. Wydawało mi się to cudowne, że o film można się aż tak pokłócić”**[253]**.

Starsi studenci mogli nie znosić Polańskiego, jednak wśród młodszych słuchaczy cieszył się dużym uznaniem. Andrzej Kostenko twierdził nawet, że przyjaźń z Romanem ukształtowała go bardziej niż zajęcia w szkole, gdyż miał on dużą wiedzę, a „talent po prostu go roznosił”. Do tego przejawiał nieprawdopodobne wręcz poczucie humoru i z tego powodu chętnie brano udział w inscenizowanych przez niego żartach sytuacyjnych.

„Pewnego razu zaaranżowałem gwałtowną sprzeczkę z [Januszem] Majewskim – wspominał reżyser. – Kłócąc się zawzięcie, zapomniawszy na pozór o bożym świecie, przeszliśmy korytarzem, następnie schodami w dół, aż dotarliśmy do gabinetu, gdzie urzędowała ułomna sekretarka rektora, Nina. Grupa kolegów, których wtajemniczyliśmy w sprawę, usiłowała nas rozdzielić, jednak bez skutku. »Tragedia« potoczyła się swoim trybem. Podczas gdy Kostenko błagał Majewskiego na kolanach, żeby »tego nie robił«, Janusz wyciągnął pistolet i zastrzelił mnie. Osunąłem się na ziemię brocząc krwią. Nina zemdlała”**[254]**.

Najgłośniejszą aferą związaną z Polańskim były okoliczności powstania etiudy *Rozbijemy zabawę,* którą nakręcił na trzecim roku studiów. Krótkometrażowe filmy dokumentalne wprawdzie były wpisane w program szkoły, jednak u Polańskiego nic nie mogło odbyć się w konwencjonalny sposób. Postanowił bowiem nakręcić film opowiadający o tym, jak banda chuliganów rozbija studencką zabawę

---

253 Za: *ibidem,* s. 112.
254 Za: *ibidem,* s. 03.

pod gołym niebem. Wynajął autentycznych łódzkich opryszków i nikogo (poza ścisłą ekipą realizatorską) nie poinformował o swoich planach.

„To ja ich zorganizowałem – przyznawał Andrzej Kostenko. – Wychowałem się w Łodzi i wiedziałem, gdzie takich typów szukać. Wybrałem bandę Kłaka i Cezarego Kruka, ponieważ z dużą wprawą rozbijali jeszcze zetempowskie zabawy. Umówiliśmy się, że włączamy kamerę, jak tylko zacznie się rozróba”**[255]**.

Niestety, nie wszystko poszło zgodnie z planem. Wprawdzie „wtajemniczeni” znakomicie odegrali swoje role, ale wydarzenia wymknęły się spod kontroli. Polański pozostał jednak na miejscu do końca.

„Scenariusz całej operacji zepsuła, niestety, ich nadgorliwość – relacjonował reżyser. – Ledwie przeskoczyli przez mur, zaczęli walić na oślep na prawo i lewo, wyrywać tancerzom dziewczyny, wpychać studentów do fontanny. Moja ekipa obsługująca jedyną kamerę robiła wszystko, żeby nakręcić jak najwięcej z tej niezwykle skoncentrowanej akcji, taśma skończyła się akurat wtedy, gdy tańce przerodziły się w ogólną bijatykę”**[256]**.

Awantura wywołała oburzenie poturbowanych studentów, którzy głośno domagali się usunięcia Polańskiego ze szkoły. Władze uczelni potraktowały jednak całą sprawę z lekkim przymrużeniem oka, najwyraźniej uznając pomysł Romana za wyjątkowo oryginalny. I coś w tym było, bo Polański wyprzedził w ten sposób pierwsze produkcje z nurtu *cinéma-*

---

255 Za: *ibidem,* s. 111.
256 Za: *ibidem*.

vérité, który niebawem miał się pojawić w zachodniej Europie. Tym razem grono pedagogiczne filmówki wykazało się dużą przenikliwością w ocenie swojego studenta i skończyło się tylko na naganie.

WOJTEK FRYKOWSKI

Polański coraz bardziej wrastał w łódzkie środowisko, a dzięki Jerzemu Kosińskiemu poznał też Wojtka Frykowskiego. Najstarszy syn niezwykle zamożnego króla polskiego podziemia gospodarczego słusznie uchodził za największego skandalistę tamtych lat. Zawsze ciągnęło go do kręgów artystycznych, więc jego spotkanie z Polańskim było tylko kwestią czasu. Wreszcie poznali się na balu gałganiarzy.

„Nie wpuściłem go wtedy – wspominał reżyser – lubił rozrabiać, poza tym nie miał zaproszenia. Omal nie doszło do mordobicia, lecz później, gdy spotkałem go w jakimś barze na mieście, wystąpił z kieliszkiem wódki. Tak się zaczęła nasza długotrwała przyjaźń”**[257]**.

Wojtek był absolwentem Politechniki Łódzkiej. Mieszkał na zapleczu manufaktury ojca i według jego planów miał nadzorować produkcję. W rzeczywistości okazał się prawdziwym królem życia związanym ze środowiskiem szkoły filmowej. Zdał nawet egzaminy na tę uczelnię, został jednak z niej usunięty za przedstawienie pracy, którą po prostu kupił od jednego z kolegów.

„Wojtek, z nosem boksera i lekkim grymasem ust – kontynuował Polański – miał w sobie coś

---

257 R. Polański, *op. cit.*, s. 111.

supermęskiego i wyglądał jak wykidajło z nocnego lokalu. [...] Pod powierzchownością brutala kryła się natura łagodna, złote serce graniczące z sentymentalizmem i absolutna lojalność”**[258]**.

Frykowski bardzo imponował Polańskiemu, bo był zamożny, przystojny i wysportowany. Wieczorami chodził Piotrkowską jak udzielny władca i na ogół schodzono mu z drogi. Sam nie szukał zaczepki, ale chętnie przyłączał się do rozrób, czasami również stawał w obronie słabszych.

We wczesnej młodości trenował pływanie i jeszcze w latach sześćdziesiątych rzucał wyzwania zawodnikom Legii, których pokonywał na dystansie pięćdziesięciu metrów. Pod wodą przepływał długość dwóch basenów, przyznawał jednak, że nie ma już kondycji na dłuższy wyścig.

Jego pierwszą żoną została Ewa Kwaśniewska, którą ze względu na urodę porównywano do Brigitte Bardot. Poznała go, będąc uczennicą drugiej klasy liceum (Wojtek studiował wówczas na politechnice). Obronił ją przed chuliganami podczas jakiegoś balu, a pobrali się, gdy zaszła w ciążę. Nie należał jednak do czułych partnerów.

„Spotkałem ich pierwszy raz razem na koncercie jazzowym w filharmonii – opowiadał Henryk Kluba. – Piękną Ewę w czasie koncertu Wojtek, delikatnie mówiąc, karcił, a dokładniej – tłukł ją”**[259]**.

Był bardzo zazdrosny, więc potrafił ją pobić za taniec z innym partnerem albo za uśmiech skierowany do obcego mężczyzny. Sam oczywiście nie

---

258 *Ibidem*, s. 112.

259 Za: A. Bikont, *Scenariusz życia*, „Gazeta Wyborcza, 31.07.1999.

uważał, że obowiązują go jakiekolwiek normy współżycia małżeńskiego i miał dziesiątki romansów.

„Wojtek był postacią tak malowniczą – wspominała Agnieszka Osiecka – że w wielu ludziach, nie tylko we mnie, wzbudzał fascynacje literackie. Posiadał swoisty dar uwodzenia ludzi, nie tylko kobiet, ale i mężczyzn. Każdy miał wrażenie, że w chwili poznania Wojtka otwierał się przed nim baśniowy świat kolorowych przygód”**[260]**.

Frykowski wyznawał filozofię „zwisu” – był przekonany, że zabawa i przyjemności są jedynym celem w życiu. Miało to zastąpić pracę zawodową i wszelkie inne nudne obowiązki.

„Uważał pośpiech za znak złego smaku. Drażniło go i budziło odrazę podobieństwo ludzi do mrówek i pszczół. Tych nie znosił. Kiedyś nad ranem wracał z libacji na dachu triumpha, krzycząc do idących dziewcząt: »Robotnice łódzkie! Dlaczego tak rano wstajecie?«”**[261]**.

Miał niezwykłe powodzenie u kobiet, a decydował o tym nie tylko zasobny portfel, ale również duża ilość wolnego czasu.

„[…] mógł zawsze go ofiarować kobiecie – twierdził Kąkolewski – towarzyszyć jej wszędzie, nieustannie: do krawcowej, modystki, czekać u fryzjera, opiekować się nią, choćby z nudów – był

---

260 Za: B. Michalak, *Na zakręcie. Agnieszka Osiecka we wspomnieniach*, Warszawa 2001, s. 101.

261 K. Kąkolewski, *Saga rodu Frykowskich*, http://kobieta.wp.pl/kat,48754,title,Saga-rodu-Frykowskich,vid,8924649,wideo.html

dobry, doskonaląc w miarę mijania lat swój kunszt, w czasie gdy inni tracili czas na pracę”**[262]**.

Dysponował dużą gotówką i potrafił szokować stosunkiem do dóbr materialnych. Gdy pod Chęcinami zatarł silnik swojego forda taunusa, poprosił o pomoc przypadkowych przechodniów. Razem zepchnęli pojazd do rowu, a Wojtek „zatrzymał jakiś służbowy samochód i kazał się wieźć do Łodzi”.

Polańskiego łączyła z Frykowskim specyficzna symbioza. Roman imponował Wojtkowi, ten zaś dysponował niemal nieograniczonymi środkami finansowymi. To właśnie on wyłożył pieniądze (a dokładniej: pieniądze swojego ojca) na krótkometrażówkę *Ssaki,* która była pierwszą prywatną produkcją filmową w bloku wschodnim. Po latach, gdy sytuacja się zmieniła, Polański miał odwdzięczyć się przyjacielowi za jego hojność.

DWAJ LUDZIE Z SZAFĄ

„Czyhałem stale na sposobność zrobienia filmu poza obowiązującym programem Szkoły – wspominał Roman. – Gdy dowiedziałem się, że za kilka miesięcy, podczas brukselskiej wystawy »Expo 1958« odbędzie się konkurs na krótkometrażowy film eksperymentalny, udałem się do Stanisława Wohla, dziekana wydziału operatorskiego, i oświadczyłem mu prosto z mostu, że zamierzam zrealizować film, który zdobędzie nagrodę”**[263]**.

---

262 K. Kąkolewski, *Jak umierają nieśmiertelni,* http://niniwa22.cba.pl/kakolewski_jak_umieraja_niesmiertelni.htm

263 Za: *Filmówka...*, s. 115.

Polański nie rzucał słów na wiatr, więc natychmiast przystąpił do pracy z właściwą sobie energią. Osobiście napisał scenariusz *Dwóch ludzi z szafą,* a w rolach głównych obsadził znajomych z filmówki; Kubę Goldberga i Henryka Klubę. Nie zapomniał o Ryszardzie Horowitzu, który również pojawił się na planie.

„W scenie w restauracji – opowiadał Horowitz – siedzę przy stoliku z Miss Sopotu nieskazitelnie odprasowany jak z całkiem innej epoki. Ujęcie to trwa, niestety, tylko kilkanaście sekund. W czasie jakiejś imprezy dopytywałem się Romka, dlaczego usunął moje zbliżenia, a on na to z kamienną twarzą odparł: »Wyrzuciłem cię dla dobra filmu«. Tak upadła moja kariera gwiazdora polskiej kinematografii”**[264]**.

We wspomnieniach uczestników całego przedsięwzięcia dominują dwa motywy. Pierwszy z nich to autentyczne problemy z tytułową szafą. Wprawdzie była ona nieco „lżejsza niż normalna”, ale dla Kluby i Goldberga „i tak przerażająco ciężka, zwłaszcza gdy namokła po deszczu”. Obaj zgodnie narzekali, że nie wiedzieli, iż ich praca będzie niemal wyłącznie polegała na noszeniu tego nieporęcznego mebla. Innym problemem było natomiast zachowanie Polańskiego, który po raz pierwszy pokazał na planie swoje prawdziwe oblicze.

„Najlepsze pomysły były Romka – relacjonował Kluba. – Czasami jednak obrażał się i tłukł wtedy lustro w szafie. Po stłuczeniu lustra, obrażony, znikał. Przez następny dzień kręciliśmy bez

---

264 R. Horowitz, *op. cit,* s. 46.

niego. Potem wracał, włączał się do pracy, jakby nic się nie zdarzyło”**[265]**.

Polański miał jednak jasną wizję założonego celu i nie zaniedbywał żadnego szczegółu. Rozumiał, że jego film musi mieć odpowiednią oprawę muzyczną i zaprosił do współpracy wschodzącą gwiazdę polskiego jazzu, Krzysztofa Komedę.

„Wiedziałem, że nie pracował dotąd dla filmu – wspominał – i w nadziei, że taka propozycja może go zainteresować, umówiłem się z nim na spotkanie. Przyszedł w towarzystwie żony, Zofii, która cały ciężar rozmowy wzięła na siebie. Sam Komeda, rudowłosy okularnik, lekko utykający – pozostałość po paraliżu dziecięcym – siedział tylko i słuchał. Z początku wydawało się, że go to nic nie obchodzi – był chłodny jak jego muzyka. Kiedy poznałem go bliżej, zdałem sobie sprawę, że jego rezerwa jest oznaką chorobliwej nieśmiałości, pancerzem, pod którym kryje się łagodność i niezwykła inteligencja”**[266]**.

Komeda był już wówczas ogólnopolską sławą, natomiast Polański pozostawał nikomu nieznanym studentem łódzkiej filmówki. Mimo to szybko znaleźli wspólny język, choć o wszystkich sprawach organizacyjnych Roman musiał rozmawiać z Zofią Komedową.

„Pokazałem im materiały robocze i z niepokojem czekałem na werdykt Komedy. Znowu pierwsza zabrała głos żona, ale nie ulegało wątpliwości, że Komeda jest zachwycony. Mimo że film nie był skończony, spodobał się Komedzie na tyle, że napisał wpadającą w ucho, pulsującą

---

265 Za: *Filmówka...*, s. 116.
266 R. Polański, *op. cit.*, s. 116.

ilustrację muzyczną, tak istotną dla nastroju całości”**[267]**.

Krzysztof zapewne nie podejrzewał, że w ten sposób w swojej muzycznej biografii rozpoczyna nowy rozdział, który z czasem miał całkowicie zdominować jego życie zawodowe. Film *Dwaj ludzie z szafą* zdobył bowiem brązowy medal w Brukseli, co dla jego twórców stało się przepustką do międzynarodowej kariery. Do tego doszły dalsze sukcesy na przeglądach w San Francisco, Oberhausen i Montevideo. Niemal z dnia na dzień Polański stał się najbardziej rozpoznawalną osobą związaną z łódzką filmówką.

„Dopiero po ukoronowaniu *Dwóch ludzi z szafą* w Brukseli – opowiadał Henryk Kluba – ugruntowała się na dobre pozycja Romeczka. Do tej pory traktowano go jak inteligentnego, ale nawiedzonego faceta, pod którego postępowaniem, ja na przykład, bym się nie podpisał. […] Do dziś nie wiem, ile w nim było autentyzmu, a ile gry. Cokolwiek by jednak o tym wszystkim myśleć, film *Dwaj ludzie z szafą* stał się wizytówką Szkoły na dziesięciolecia”**[268]**.

KALATÓWKI

Polański sukcesywnie rozszerzał krąg swoich znajomych, a kiedy w 1959 roku perkusista zespołu Krzysztofa Komedy, Jan Zylber, rzucił pomysł zorganizowania cyklicznej imprezy jazzowej w Zakopanem, nie mogło go tam zabraknąć.

---

267 *Ibidem*.
268 Za: *Filmówka...*, s. 116.

„[…] zjeżdżało się tam mnóstwo ludzi, niekoniecznie związanych z muzyką – wspominała Zofia Komedową. – Całość miała charakter raczej spotkania towarzyskiego, niekończącego się happeningu, trwającego bodajże przez dwa tygodnie. Byli tam muzycy z żonami, narzeczonymi, jazzfani i sympatycy jazzu”**[269]**.

Uczestnicy Jazz Campingu na Kalatówkach z reguły byli dwudziestolatkami i prześcigali się w zwariowanych pomysłach. Panowała piękna, zimowa pogoda, a humory dopisywały.

„W dzień jakieś szalone zabawy, konkursy – opowiadała Komedową – na przykład jazda we dwójkę na jednej parze nart – pan z panią… konkurs dla pań w zjeżdżaniu w miednicy, gdzie zdecydowanie najlepsza była Basia Kwiatkowska, budowanie olbrzymich twierdz ze śniegu, a potem »wojna«. Przez trzy dni wcześniej lepiliśmy kule śnieżne i fortyfikację obronną, w której potem dowódcą oblężonych był Duduś Matuszkiewicz. Albo Sławek Szaybo… znany i uznany na całym świecie plastyk i ilustrator […] z deską sedesową na głowie, jako przywódca atakujących, podnoszący tę klapę i ryczący: »Do ataku!«”**[270]**.

Wprawdzie impreza na Kalatówkach była świętem muzyki, jednak ogromną rolę odgrywał tam Roman Polański. Znakomicie czuł się w środowisku jazzmanów i zasłynął w nim jako pomysłodawca oryginalnych konkursów towarzyskich. Czasami zamieniał się w dyrygenta, prowadząc

---

269 Za: E. Batura, *Księżycowy chłopiec*, Warszawa 2001, s. 35.

270 Z. Komeda-Trzcińska, *Komeda, Zośka i inni…*, Warszawa 1996, s. 57–58.

improwizowane koncerty w stołówce, a nikomu nie przeszkadzało, że zamiast batuty używał sztućców.

„Były huczne imieniny Romka Polańskiego – kontynuowała pani Zofia – którego o 6 rano obudziliśmy straszliwą »kocią muzyką«. Tu zresztą Romek nas zaskoczył, bo otworzył drzwi, trzymając w rękach dwie półlitrówki i wmuszając w każdego z nas »pięćdziesiątkę«, co powszechnie wiadomo, jak się kończy... Za to na przyjęciu śniadaniowym była owsianka z mlekiem, którą ze smakiem pałaszował solenizant, nie musząc przedtem »wytrąbić« tej wódki”**[271]**.

BASIA KWIATKOWSKA

Polański prosperował coraz lepiej, bo chociaż film *Dwaj ludzie z szafą* nie był produkcją komercyjną, reżyser rekompensował to sobie częstą grą w filmach fabularnych innych reżyserów. Z reguły były to epizody, jednak honoraria aktorskie znacznie poprawiały jego sytuację finansową. Nabył modny atrybut ówczesnych młodych mężczyzn — używany skuter marki Peugeot. Zaczął też dbać o ubiór.

„Szył sobie koszule na miarę – wspominał Andrzej Kostenko. – Samych białych miał ponad dwadzieścia, co dla mnie zawsze było rzeczą niepojętą. [...] Przykładał dużą wagę do ubrania, chodził w najbardziej szpiczastych butach, na najwyższych obcasach. Kanony mody tworzył także Majewski, ale on nosił się bardziej spokojnie, po angielsku, zadawał szyku. Romek natomiast był

---

271 *Ibidem,* s. 58–59.

bardziej niechlujny, ale za to w garniturach szytych na miarę”**[272]**.

Choć w późniejszych latach lubił się przechwalać ówczesnymi podbojami miłosnymi, to nie podawał praktycznie żadnych szczegółów, co było o tyle dziwne, że nigdy nie uchodził za człowieka specjalnie dyskretnego. Wobec tego można podejrzewać, że wiele z tych romansów było wyłącznie wytworem bujnej wyobraźni artysty. Wiadomo jednak, że duży wpływ na jego życie erotyczne wywarł Jerzy Kosiński, który wyjątkowo mu imponował swoimi sukcesami u płci pięknej.

„Jeżeli ktoś naprawdę penetrowałby jego psychikę w poszukiwaniu rzeczywistych kompleksów – twierdził Henryk Kluba – to znalazłby kobiety. Nie wiem, czy miał z nimi jakieś problemy, czy nie spełniał się jako mężczyzna, ale było w nim coś takiego [...]. Zawsze popisywał się w ich towarzystwie, udawał supermana, a mimo to był szorstki, by nie powiedzieć niegrzeczny wobec nich”**[273]**.

Pierwszym poważniejszym związkiem Polańskiego był romans z jedną ze współzałożycielek Piwnicy pod Baranami, Kiką Lelicińską. Przez pewien czas stanowili parę, przy czym wydaje się, że to Kika była bardziej zaangażowana uczuciowo.

„To nadal jedna z moich przyjaciółek – wspominała Zofia Komedowa – teraz jest scenografem teatralnym. Kika była bardzo inteligentną dziewczyną, niezbyt piękną, ale wspaniale wysportowaną, należała nawet do narciarskiej kadry narodowej. Naprawdę go kochała,

---

272 Za: *Filmówka...*, s. 108.

273 Za: J. Parker, op. *cit.*, s. 52.

ale ciągle się żarli, dochodziło nawet do rękoczynów”**[274]**.

Wydaje się, że Lelicińska była za mało efektowna jak na oczekiwania Polańskiego. Roman potrzebował dziewczyny o zjawiskowej urodzie – partnerki, która byłaby jego wizytówką i którą mógłby się przechwalać przed otoczeniem. Wkrótce też znalazł taki ideał, bo pewnego dnia, siedząc z Kubą Morgensternem w hallu łódzkiego Grand Hotelu, dostrzegł dziewczynę, która zrobiła na nim oszołamiające wrażenie.

„Była uderzająco piękna – wspominał – miała olbrzymie oczy i pełne, zmysłowe usta. Jej fantastyczną figurę podkreślała w sposób doskonały prosto skrojona sukienka w pionowe pasy.

– Kto to jest? – spytałem Morgensterna.

– Gra w filmie *Ewa chce spać* – odparł. – Barbara coś tam. Została podobno zaangażowana na podstawie zdjęcia, które posłała na konkurs do tygodnika »Film«”**[275]**.

Barbara Kwiatkowska istotnie zawdzięczała karierę konkursowemu zdjęciu. Wraz z końcem epoki stalinizmu z okładek pism zniknęły bowiem dzielne traktorzystki i murarki, a dorastające dziewczęta znów mogły (oficjalnie!) marzyć o karierze aktorskiej. Tygodnik „Film” ogłosił konkurs „Piękne dziewczęta na ekrany!” natomiast krakowski „Przekrój” zainicjował akcję „Dziewczyny z okładek trafiają na ekran”. Efekty przeszły najśmielsze oczekiwania. Zwyciężczynią konkursu „Filmu” w 1959 roku została siedemnastoletnia Ewa Wiśniewska, a rok wcześniej na okładce „Przekroju” pojawiła się maturzystka,

---

274 Za: *ibidem.*

275 R. Polański, *op. cit.*, s. 117.

Beata Tyszkiewicz. Dla obu dziewcząt oznaczało to początek błyskotliwej kariery, natomiast inne laureatki z reguły zaliczały świetny debiut, potem jednak nie miały już tyle szczęścia.

„Była jedną z najpiękniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek widziałem – opisywał Barbarę Kwiatkowską Polański. – Ciemna szatynka, prawie brunetka, miała twarz o wykroju migdała, wspaniałe długie rzęsy, zadarty nosek i gibkie, jędrne ciało”**[276]**.

Kwiatkowska była młodsza od niego o siedem lat. Urodziła się w chłopskiej rodzinie z Patrowa koło Gostynina i jeszcze na krótko przed swoim filmowym debiutem boso pasała krowy. Przeskok z mazowieckiego pastwiska do świata filmu był dla niej ogromnym Szokiem i zapewne stąd brały się jej niekonsekwentne zachowania. Podobno wyznawała „twarde, chłopskie zasady” moralne, co nie przeszkodziło jej zostać kochanką pewnego żonatego reżysera (miała wówczas siedemnaście lat). Polański szybko stał się jej powiernikiem, a niedługo później trafili razem do łóżka. Reżyser uznał to za spełnienie marzeń, po latach przyznawał jednak, że jego „doznania erotyczne były zawsze silniejsze niż Basi”.

Od razu poczuł się jej opiekunem i impresariem, i to właśnie on namówił Andrzeja Munka, aby zaangażował ją do *Zezowatego szczęścia*. Munk nie był przekonany do tego pomysłu, ale ostatecznie zgodził się, zastrzegając jednak, że Polański sam będzie reżyserował sceny z udziałem Basi. Na dodatek, z właściwym sobie poczuciem humoru, powierzył Romanowi rolę korepetytora

---

276 *Ibidem*, s. 120.

uwodzonego przez bohaterkę graną przez Kwiatkowską.

Praca na planie *Zezowatego szczęścia* przyniosła pierwsze poważne rozdźwięki między nimi. Polański znowu zachowywał się jak arogancki dyktator, doprowadzając dziewczynę do histerii. Doszło wreszcie do tego, że Munk odebrał mu reżyserię, a potem zagroził usunięciem z planu.

„Robiłem wszystko – przyznawał Polański – żeby wypadła wspaniale, i przesadziłem. Zbyt surowo ją krytykowałem, a nie chcąc okazać się publicznie za miękki, zmuszałem ją do powtarzania kwestii bez końca – tak długo, że Munk uznał to za znęcanie się”**[277]**.

Był jeszcze jeden problem – Kwiatkowska stawała się gwiazdą, natomiast kariera Polańskiego stanęła w miejscu. Jego film dyplomowy *Gdy spadają anioły* nie był udanym dziełem, a on sam – poirytowany i rozgoryczony – nie złożył pracy pisemnej wymaganej na koniec studiów i nie uzyskał dyplomu magistra sztuki. Otrzymał za to niezłą pracę w jednym z zespołów filmowych, ale to nie zaspokajało jego ambicji. Marzył o własnym pełnometrażowym filmie fabularnym, przygotował już nawet wstępny scenariusz. Jednak najbardziej pochłaniał go związek z Basią, której wybaczył nawet ucieczkę do Warszawy i romans ze znacznie od niej starszym grafikiem, Lechem Zahorskim. Wreszcie udało mu się namówić ją na małżeństwo, które zawarli we wrześniu 1959 roku w Łodzi. Polański miał wówczas dwadzieścia sześć lat.

„Wszystko odbywało się w ogromnym pośpiechu – wspominała Zofia Komedowa. – Romek

---

277 *Ibidem*, s. 123.

zadzwonił do nas w przeddzień ślubu. Jedyne, co załatwił, to uroczystość w USC. I musieliśmy przygotować śniadanie weselne dla około osiemdziesięciu osób [...]. Ugotowaliśmy więc dwa wielkie gary bigosu i barszczu. Nawet nie byłam na ślubie, bo cały czas aż do przybycia gości tkwiłam w kuchni. Przyszli ci wszyscy młodzi reżyserzy z pięknymi żonami, aktorzy i aktorki, wystrojeni i pachnący, a ja z poparzonymi rękoma, spocona i zmęczona. Dopiero gdy było po wszystkim, uświadomiłam sobie, że nawet nie powiedzieli »dziękuję«"**[278]**.

Małżeństwo nie układało się najlepiej – Roman był zazdrosny o popularność żony, a poza tym coraz bardziej uwidaczniały się różnice ich charakterów i zainteresowań. Basia „nie była w stanie uczestniczyć w tych jego intelektualnych dysputach", a on „w zamian ją tłamsił". Często dochodziło między nimi do kłótni, ale dopóki Polański miał nadzieję zaangażować żonę do swojego pełnometrażowego debiutu, godził się na wszystko.

Gdy Kwiatkowska otrzymała ofertę zagrania we francuskim filmie, namówił ją na wspólny wyjazd. Fakt, że zupełnie nie znała francuskiego, nie stanowił dla niego problemu, uważał bowiem, że jej uroda zastąpi wszystko, a pobyt nad Sekwaną może się stać kamieniem milowym w jej karierze. Pod tym względem rzeczywiście miał rację, jednak nie przewidział, że wyjazd ten będzie początkiem końca ich związku.

Kwiatkowska, jako Barbara Lass (pseudonim wymyślił Polański) zagrała we francuskim filmie *Tysięczne okno* u boku Jeana-Louisa Trintignanta,

---

278 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 59.

jednak honorarium za tę rolę rozczarowało jej męża. Polański miał bowiem charakter utracjusza i ostatnie 400 franków potrafił wydać na bankiet dla przyjaciół kabaretu Bim-Bom, który właśnie gościł nad Sekwaną. Jednak w końcu uśmiechnęło się do nich szczęście – Basia podpisała kontrakt na udział w filmie Co *za radość żyć*, w którym miał jej partnerować Alain Delon. Zainkasowała dość wysoką zaliczkę – 3 tysiące dolarów (około 26 tysięcy euro) – którą Roman natychmiast przeznaczył na zakup nowego, czerwonego, dwumiejscowego kabrioletu Mercedes 190 SL. Zarówno ten samochód, jak i wcześniejsze fetowanie kabaretu Bim-Bom miały być dla znajomych w kraju czytelnymi oznakami jego sukcesów na Zachodzie.

W rzeczywistości jednak nie miał na razie żadnych osiągnięć, bo wprawdzie usiłował zainteresować różnych producentów swoimi scenariuszami, ale bez powodzenia. W efekcie pozostawał na utrzymaniu żony, co było dla niego źródłem frustracji.

„Problem z Romkiem polegał na tym – wspominała Basia – że był on strasznie zaczepny [...], a ludzie, zanim mogli dostrzec jego geniusz, musieli poznać jego trudny charakter. [...] Często pytano mnie, dlaczego wybrałam tak nieodpowiedniego partnera. Nigdy nie winiłam Romka, uważam, że jego obcesowość była przejawem wewnętrznej dumy”**[279]**.

Niektórzy określali to mianem „daru arogancji” i faktycznie zrażali się do niego, zanim zdołali go bliżej poznać.

---

279 Za: *ibidem,* s. 67.

Z opresji wybawiła go wieść z Warszawy, że scenariusz jego filmu *Nóż w wodzie* został zaakceptowany do produkcji. Pozostawił żonę w Rzymie (tam kręcono zdjęcia do *Co za radość żyć*), nie zwracając uwagi na fakt, że bardzo interesował się nią włoski reżyser Gillo Pontecorvo. Można więc powiedzieć, że wybrał karierę kosztem małżeństwa, ale wydaje się, że w tej sytuacji po prostu nie miał innego wyjścia. Film długometrażowy był dla niego jedyną szansą, gdyż nikt na Zachodzie nie zainteresował się jego scenariuszami i groziło mu to, że do końca życia pozostanie tylko mężem swojej żony.

NÓŻ W WODZIE

Scenariusz do swojego pełnometrażowego debiutu pisał początkowo z Jakubem Goldbergiem, ale dopiero dokooptowanie do tego zespołu Jerzego Skolimowskiego przyniosło pożądane efekty. Skolimowski – były bokser i elektryk w zespole Komedy, a także początkujący poeta – miał już na koncie współpracę z Andrzejem Wajdą i Jerzym Andrzejewskim przy *Niewinnych czarodziejach*. Zapowiadał się bardzo obiecująco, więc gdy tylko przyjechał na egzaminy do łódzkiej filmówki, od razu go dostrzegł Polański.

„W trakcie egzaminów Polański przyszedł do mnie i powiedział, że ma pomysł – wspominał. – Miał tylko samą anegdotkę o trójkącie małżeńskim. U niego akcja filmu trwała tydzień, pojawiali się dodatkowi bohaterowie. A ja od razu: »Akcja dzieje się jeden dzień, trzy osoby, mało słów, dużo dyscypliny«. A on na to: »Siadajmy pisać!«. Było piekielnie gorąco. Siedzieliśmy w mokrych

prześcieradłach w mieszkaniu Romka na Narutowicza. Kuba Goldberg donosił nam soki. Pisanie zajęło zaledwie trzy albo cztery noce. Brzmi to jak anegdota, ale naprawdę tak było. Praca polegała na tym, że graliśmy trzy role na przemian. Raz Romek grał tego faceta, ja autostopowicza, potem któryś z nas udawał dziewczynę. Pełna improwizacja”**[280]**.

Wkład Skolimowskiego w powstanie filmu faktycznie okazał się ogromny. Polański przyznawał zresztą, że Jerzy „talentem i oryginalnością” przerastał „innych o głowę” i bez jego udziału *Nóż w wodzie* zapewne miałby zupełnie inny charakter.

Scenariusz spodobał się szefowi zespołu filmowego „Kamera”, Jerzemu Bossakowi, który skierował go do zatwierdzenia w ministerstwie. Tam przeleżał pewien czas, aż wreszcie wyrażono zgodę na realizację. Polański nie byłby jednak sobą, gdyby nie stwarzał dalszych problemów. Uparł się, że sam zagra autostopowicza, ustąpił dopiero pod presją Bossaka, który zagroził, że cofnie zgodę na produkcję. Ostatecznie wybrał więc studenta wydziału aktorskiego, Zygmunta Malanowicza, ale utlenił mu włosy, a na koniec sam go zdubbingował.

Większe problemy stanowiła obsada roli żeńskiej. Basia była we Włoszech, wobec czego Polański złożył propozycję Jolancie Umeckiej, którą poznał na basenie Legii. Niestety, nie miała ona żadnego doświadczenia filmowego, a jej największym atutem była dobra figura. Już podczas pracy na planie reżyser wielokrotnie żałował swojego wyboru.

„Najbardziej irytowało mnie – żalił się – że nawet w najprostszych ujęciach miałem do czynienia

---

280Za: *Filmówka...*, s. 73.

z osobą, która nie potrafiła zapamiętać swoich kwestii, miejsca, gdzie ma stanąć, momentu, kiedy powinna zdjąć słoneczne okulary. Jeszcze bardziej denerwowała jej absolutna bierność. Naturalność, brak wszelkiej sztuczności, które tak mi początkowo zaimponowały, okazały się przejawem autentycznie cielęcego temperamentu”**[281]**.

Umecką również trzeba było dubbigować, ale to i tak najmniejszy problem z jej rolą. O wiele większym okazał się niepohamowany apetyt aktorki, która podczas zdjęć „przeobrażała się w pucołowatą babę”. Chowano przed nią jedzenie, a miała zwyczaj robienia sobie zapasów pod łóżkiem, i wyciągano ją na forsowne biegi, aby tylko utrzymać Jolantę w formie fizycznej.

Pozostali członkowie ekipy filmowej nie przysparzali kłopotów – Leon Niemczyk był aktorem ze znacznym doświadczeniem, operatorem został Jerzy Lipman, a muzykę miał napisać Komeda. Większość akcji rozgrywała się na jeziorze, zatem Wojtek Frykowski dostał angaż ratownika. Szybko zdobył uznanie członków ekipy filmowej, więc kiedy „złamał rękę, ci ustalili jednogłośnie, w drodze plebiscytu, że »ryzykujemy życie, ale nie godzimy się na zmianę ratownika«”.

„Dla ekipy okazał się bezcenny – tłumaczyła Ewa Frykowska – zawsze dyspozycyjny, z własnym samochodem, z którego korzystali kumple, bo on był na nieustającej bani. Sprowadzał dla siebie i innych tabuny panienek, dbał o zabezpieczenie w alkohol. A jak trzeba było skarcić jakichś natrętów, to

---

281 R. Polański, *op. cit.*, s. 141.

wykonywał swój popisowy numer – z łatwością spuszczał tak zwany wpierdol […]”**[282]**.

Po miesiącu do Wojtka dołączyła Ewa. Wciąż byli małżeństwem, więc z przyczyn kwaterunkowych musiała spać razem z nim. Ale był to już łabędzi śpiew ich związku. Przez pewien czas małżonek rościł sobie jednak pretensje do wyłączności na jej wdzięki, aż wreszcie interweniowali koledzy z ekipy filmowej.

„Mogłam pokazywać się, z kim chciałam, nie narażając się na podbite oko. To koledzy wytłumaczyli Mężowi, dla własnej wygody, bo byli mną zainteresowani, że powinien […] wyzbyć się drobnomieszczańskich nawyków, które dyskwalifikowały go w ich oczach”**[283]**.

Przy okazji skorzystał również Polański, który coraz bardziej zdawał sobie sprawę z tego, że jego małżeństwo z Basią odchodzi w przeszłość. Frykowska miała z nim zresztą osobiste porachunki – pamiętała, że odpadła w castingu do filmu, bo nie spodobała mu się w kostiumie kąpielowym. Teraz założyła się z przyjaciółką o litr wódki, że jednak go uwiedzie.

„Natychmiast się rozebrałam, wpierw przezornie zamykając drzwi na zasuwkę. Z pedanterią układałam swoje rzeczy na krzesełku. Pamiętając, że rozebrana nie podobam się Napoleonowi [Polańskiemu – S.K.], nie zdjęłam koronkowego paska z podwiązkami i pończoch”**[284]**.

Frykowska wygrała ten „pieprzony litr wódki”, a do ludzi kręcących *Nóż w wodzie* przylgnęła opinia „ekipa szwagrów”…

---

282 E. Morelle, *op. cit.*, s. 28.
283 *Ibidem*, s. 59–60.
284 *Ibidem*, s. 29–30.

PRZEŁOM

Z reguły w życiu artysty trudno wskazać tę jedną chwilę, która na zawsze zmienia jego losy. W przypadku Polańskiego nie ma jednak takich problemów – realizacja *Noża w wodzie* zadecydowała o jego przyszłości i to zarówno na płaszczyźnie zawodowej, jak i prywatnej.

Film już w czasie powstawania nie cieszył się przychylnością mediów. Po kraju krążyły plotki o seksualno-alkoholowych orgiach ekipy i marnotrawieniu państwowych pieniędzy. Inna sprawa, że podczas zdjęć faktycznie działy się rzeczy skandaliczne z punktu widzenia „socjalistycznej moralności" epoki Władysława Gomułki. Zdarzyło się, że po jednym mocno zakrapianym wieczorze Polański i Goldberg wylądowali w areszcie, natomiast inna awantura zagroziła realizacji kilku zaplanowanych scen filmu. Pewnego razu filmowcy odwiedzili miejscową knajpę, gdzie ich elektryk wdał się w kłótnię ze stałymi bywalcami lokalu i został wyrzucony za drzwi.

„Tolerować taką przemoc wobec członka naszej ekipy? – pytał retorycznie Polański. – Frykowski zamachnął się krzesłem i rozwalił je na głowie jednego z napastników. Potem, nie spojrzawszy nawet na swoją półprzytomną ofiarę, wziął drugie krzesło i usiadł. Wszystko nie trwało dłużej niż dziesięć sekund.

Poszkodowany był, jak się okazało, kapitanem spacerowego statku »Chopin«. Bardzo nam zależało, żeby z tego statku nakręcić kilka scen. Nic dziwnego,

że po tym incydencie nie było łatwo przekonać kapitana…”**[285]**.

Oliwy do ognia dolał wysłannik „Ekranu”, który pojawił się na planie, a swoje obiekcje przedstawił w formie złośliwego fotoreportażu. Zraziły go maniery Polańskiego, który twierdził, że „nie zależy mu na masowym widzu”, a prawdziwym szokiem był widok dwóch mercedesów wykorzystywanych podczas zdjęć. Jeden należał do reżysera, a drugi wynajęto, aby podkreślić status majątkowy dziennikarza, w którego postać wcielał się Niemczyk. Dlatego też, zgodnie z „socjalistyczną moralnością”, reporter pytał „dla kogo robi się takie filmy?”**[286]**.

Jako pierwszy zareagował Bossak. Zaniepokojony perspektywą przerwania prac nad filmem, pojawił się na planie i zarządził zmiany. Samochód Niemczyka zamieniono w trybie natychmiastowym na mniej ekstrawaganckiego peugeota, bo przecież w kraju socjalistycznym nie mógł funkcjonować dziennikarz posiadający własny jacht i mercedesa. Nie wnikał jednak w obyczaje ekipy filmowej, bo wiedział, że Polański realizuje znakomity film, niemniej miał złe przeczucia co do jego losów.

W tym czasie Romanowi doskwierał również inny problem – nie mógł się dodzwonić do Basi, która kręciła film w Rzymie. Ktoś „życzliwy” przysłał mu też zdjęcie ukazujące żonę w towarzystwie Gilla Pontecorva w jednym z rzymskich nocnych lokali. Wreszcie dostał od niej list, w którym przyznawała się do romansu i żądała rozwodu.

---

285 R. Polański, *op. cit.,* s. 143.

286 Z. Ornatowski, *Nóż* w *wodzie*, „Ekran”, 35/1961.

„Pamiętam wieczór – wspominał Polański – który spędziłem samotnie na koszarce. Fale uderzały o burtę, silny wiatr pędził chmury przesłaniające księżyc i znęcał się nad przybrzeżnymi drzewami. Koledzy bawili się na lądzie. I wtedy w moich myślach wykrystalizowała się jakby modlitwa – żebym miał dosyć sił, by skończyć film, żebym potrafił zachować dystans do wszystkiego, żebym zdołał zatrzymać dla siebie osobiste zmartwienia i nie kazał za nie płacić innym”**[287]**.

Pomimo różnych przeciwności udało mu się ukończyć zdjęcia, ale podczas powrotu do Warszawy samochód prowadzony przez Lipmana wpadł w poślizg i uderzył w drzewo. Operator i Goldberg wyszli z wypadku bez szwanku, natomiast Polański miał pękniętą podstawę czaszki. Po dwóch tygodniach (!!!) opuścił jednak szpital na własną prośbę i zajął się montażem filmu. Wiedział, że teraz to jest najważniejsze, bo *Nóż w wodzie* mógł być dla niego przepustką do dalszej kariery.

Nie zawiódł też Komeda, który skomponował znakomitą muzykę, doskonale podkreślającą charakter filmu.

„Lubiłem z nim pracować – wspominał reżyser. – Czuł muzykę filmową jak mało kto. [...] Mówiłem, pisz tę muzykę, bo całkowicie mu ufałem. Dawałem mu [...] wolną rękę, *carte blanche*. Wielokrotnie, do wielu filmów. Już nagrał muzykę, a ja dopiero jej słuchałem. Nie pytałem, co mi proponuje”**[288]**.

---

287 R. Polański, *op. cit.,* s. 144.

288 Za: *Komeda-muzyczne ścieżki życia*, reż. C. Buthenhoff-Duffy, 2009.

Nóż w wodzie spotkał się z wyjątkowo negatywną reakcją ze strony partyjnych decydentów. Wprawdzie kolaudacja przeszła w miarę pomyślnie, ale pokaz dla prasy zakończył się klęską. Dziennikarze atakowali film i reżysera, twierdząc, że Polański „nie ma nic do powiedzenia o życiu współczesnego człowieka", a „młodzież polska nie może identyfikować się z żadnym z pokazanych bohaterów".

Głos zabrał osobiście sam Władysław Gomułka, potępiając dzieło z mównicy plenum PZPR i ogłaszając, że takich filmów nie można kręcić w Polsce Ludowej. Oznaczało to, że *Nóż* w *wozie* będzie wyświetlany w zaledwie kilku niewielkich kinach. Był to czytelny sygnał, że kariera Polańskiego w kraju dobiegła końca.

Tymczasem jego debiut osiągnął wręcz nieprawdopodobny sukces na Zachodzie. Widzowie i krytycy zakochali się w obrazie, który jako pierwszy polski film otrzymał nominację do Oscara, do nagrody Brytyjskiej Akademii Sztuk Filmowych i Telewizyjnych, a także do Złotego Lwa w Wenecji – gdzie ostatecznie dostał nagrodę krytyków. Kadr z *Noża w wodzie* trafił też na okładkę szacownego „Time", co w przypadku produkcji kinematograficznych było bardzo rzadkie.

KONIEC ROMANSU

Polański spakował swój niewielki dobytek i wyjechał na Zachód. Po latach twierdził, że zamierzał tam szukać możliwości kręcenia następnych filmów, w rzeczywistości jednak myślał głównie o ocaleniu swojego małżeństwa. Wprawdzie oficjalnie zgodził się na rozwód, ale nie rezygnował z odzyskania Basi.

Spotkał się z nią w Paryżu, zjedli razem kolację, atmosfera była spokojna i nawet „czule się pożegnali".

„Myślałam, że na tym się skończy – opowiadała Basia. – Wracając do domu taksówką, zatrzymałam się na Place de l'Étoile, żeby coś kupić w drogerii. A tam czekał Romek w mercedesie. Zawołał mnie, zaprosił do samochodu, a ja się zgodziłam. Boże, cóż to była za noc!

Walczyliśmy bez końca w samochodzie. Chciał, żebym mu się znowu podporządkowała – nigdy tego nie zapomnę! To wszystko było sprawą narzucania woli, dominacji. Od chwili, gdy stałam się osobą publiczną, miałam nad nim przewagę. Być może miał kryzys twórczy i na pewno cierpiał... Uciekłam od niego"**[289]**.

Natomiast Polański zarzucał Basi, że jest „osobą słabą i bez charakteru", a na dodatek bardzo niestałą w uczuciach. Pod tym względem miał zapewne rację, albowiem Kwiatkowska zdążyła się już znudzić Włochem Pontecorvem i dla odmiany zakochała się w austriackim aktorze, Karlheinzu Böhmie. Planowała z nim małżeństwo i dlatego nalegała na rozwód.

Polański ostatecznie zgodził się i Basia została trzecią żoną Böhma. Podobno kilka miesięcy później Romana odnalazł w Paryżu Gillo Pontecorvo i „wypłakał się na jego ramieniu", żaląc się straszliwie na niestałość Kwiatkowskiej. Czy była to prawda, czy też tylko wymysł reżysera, trudno dzisiaj powiedzieć. Pewne jest natomiast, że obaj znaleźli się w podobnej sytuacji.

---

289 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 73.

Roman bardzo to przeżywał i podobno znosił nawet gorzej niż ataki na *Nóż w wodzie*, uważał bowiem żonę za swoją „najwspanialszą zdobycz" i nigdy jej nie wybaczył odejścia. Być może stało się to jednym z jego motywów do kariery, gdyż zapewne chciał jej pokazać, że popełniła wielki błąd.

„Polański oskarżał mnie – mówiła Basia po latach – o pozostawienie go głodnego i bez środków do życia, ale po prostu musiałam od niego uciec. I sądzę, że od tamtej chwili nieustannie myślał o zemście"**[290]**.

Barbara nie zrobiła kariery, o jakiej marzyła. Grała w przeciętnych produkcjach niemieckich, włoskich i francuskich, współpracowała też z Rozgłośnią Polską Radia Wolna Europa. Małżeństwo z Böhmem zakończyło się po 17 latach rozwodem, aktor miał ożenić się jeszcze po raz czwarty, a Basia związała się z saksofonistą jazzowym, Leszkiem Żądło. Z małżeństwa z Böhmem miała córkę, Katarzynę, która również została aktorką. Przez ostatnie lata życia Kwiatkowska chorowała na wirusowe zapalenie wątroby typu C, zmarła na wylew krwi do mózgu w marcu 1995 roku.

Nigdy nie myślała o powrocie do Polski, nie żałowała też, że porzuciła Polańskiego, uważając, że cała sprawa „zahartowała ją wewnętrznie". Szczerze podziwiała dokonania byłego męża, jednak w jego filmie „zagrać już by nie chciała"**[291]**.

---

290 Za: *Ibidem*, s. 74.

291 Za: *Barbara Kwiatkowska i Roman Polański. Ich wesele stało się legendą*, http://pary-populada.pl/news-barbara-kwiatkowska-i-roman-polanski-ich-wesele-stalo-sie-le,nId,1719682

Polański również zarzekał się, że nie myślał o obsadzeniu jej w swoich produkcjach, co zresztą nie było prawdą, mimo że tak naprawdę nigdy jej nie wybaczył. Barbara podejrzewała, że to właśnie z tego powodu kobiety w jego filmach były pokazywane w scenach niezwykle brutalnych, a ich zachowanie czasami wskazywało na napady szaleństwa.

„Może to przeze mnie – mówiła pod koniec życia – [...] Myślę, że on się na mnie [w ten sposób] mścił, bo to zaczęło się, gdy od niego odeszłam. Od tamtego momentu jego kobiety są wykorzystywane i druzgotane”**[292]**.

FILM, SEKS I LSD

Paryż nie okazał się miastem przyjaznym dla Polańskiego. Tamtejsze środowisko filmowe było dość hermetyczne. *Nóż w wodzie* wyświetlano dość krótko, a do tego niemal wyłącznie w kinach studyjnych i klubach filmowych. Nawet nominacja do Oscara nie zrobiła nad Sekwaną większego wrażenia, bo tam liczyli się niemal wyłącznie rodzimi twórcy „nowej fali” z Jeanem-Lukiem Godardem i François Truffautem na czele. Notabene *Nóż...* przegrał z *Osiem i pół* Federica Felliniego. Polańskiemu nie pomagała również biegła znajomość francuskiego, toteż jego paryskie sukcesy sprowadzały się głównie do zaproszeń na bankiety, dzięki czemu mógł czasami najeść się do syta.

Zaprzyjaźnił się ze scenarzystą Gerardem Brachem i razem z nim wynajmował tanie pokoje w różnego rodzaju spelunkach i poszukiwał doraźnych zleceń. Wprawdzie udało im się napisać scenariusz

---

292 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 8.

filmu *Jeśli nadejdzie Katelbach* (*Matnia*), ale maszynopis nie wzbudził zainteresowania, jeśli nie liczyć ofert od bliżej nieznanych hochsztaplerów.

Wybawienie przyszło z Londynu, gdzie na Romana zwrócił uwagę producent Gene Gutowski, który reprezentował wszystko to, do czego dążył Polański. Starszy od Romana o osiem lat i również pochodzący z żydowskiej rodziny osiadłej w Polsce, na Zachodzie zdobył majątek, miał szerokie kontakty w świecie filmu, a do tego był koneserem pięknych kobiet i drogich samochodów.

„[…] osiadły w Londynie Polak z amerykańskim paszportem – opisywał go Roman – był wzorem człowieka światowego; przystojny, elegancko ubrany, wielki znawca win. Jako producent mógł się wykazać raczej mizernym dorobkiem – mało ważna koprodukcja z Niemcami i amerykański serial telewizyjny – jednak wobec nas miał niezwykle ambitne plany”**[293]**.

Gutowski wyjaśnił Polańskiemu, że karierę może zrobić tylko w Londynie, który był o wiele bardziej kosmopolitycznym miastem niż Paryż. Zaproponował mu „coś w rodzaju długoterminowej spółki producent – reżyser” i zaprosił go nad Tamizę, a do zaproszenia dołączył bilet lotniczy. Roman zatrzymał się początkowo w jego mieszkaniu, a potem Gutowski wynajął mu lokal tylko do jego dyspozycji. A przede wszystkim rozpoczął poszukiwania firmy, która zgodziłaby się wyprodukować pierwszy zachodni film Romana. Uważał jednak, że Matnię należy odłożyć na później.

„Oznajmiłem Polańskiemu – wspominał Gutowski – że moim zdaniem powinien być to

---

293 R. Polański, *op. cit.*, s. 165.

materiał na jego drugi anglojęzyczny film. Pierwszy – nakręcony według nienapisanego jeszcze scenariusza – musi zszokować widzów, krytyków i otrzeć się o granicę tego, na co pozwoli cenzura”**[294]**.

Polański zastosował się do jego rady i wraz z Brachem w ciągu siedemnastu dni przygotował scenariusz Wstrętu. Został on przetłumaczony na angielski, jednak nie wzbudził zachwytu w środowisku londyńskich producentów. Wreszcie Gutowski znalazł niewielką firmę Compton, która dotychczas specjalizowała się w produkcjach *soft porno*, ale jej właściciele mieli trochę większe ambicje.

„Próbując uruchomić produkcję filmu – kontynuował Gutowski – prezentowałem również Romanowi uroki Londynu i przedstawiłem niektórych przyjaciół. Umówiłem go nawet na randkę z Vivianne Venturą, która była w połowie Angielką, a w połowie Kolumbijką. Wiedziałem, że to jeszcze dziewica. Jak mogłem się spodziewać, wieczór nie przebiegł zgodnie z oczekiwaniami Romana, który następnego dnia oznajmił mi, że od tej pory sam sobie wybiera partnerki”**[295]**.

Polańskiemu udało się zaangażować dobrych brytyjskich aktorów, ale strzałem w dziesiątkę okazało się zatrudnienie wschodzącej gwiazdy francuskiego kina, Catherine Deneuve. Uchodziła ona za osobę dość trudną we współpracy, jednak prawdziwe problemy na planie wynikały z metod pracy reżysera. Polański, będąc chorobliwym perfekcjonistą, kręcił dziesiątki dubli i co chwila

---

294 G. Gutowski, *Od Holocaustu do Hollywood*, Kraków 2004, s. 236.

295 *Ibidem*, s. 238.

popadał w konflikty z ekipą. Do tego dość szybko przekroczył założony budżet, co przeraziło właścicieli firmy Compton. Zorientowali się oni również, że zamiast oczekiwanego horroru powstaje ambitny thriller psychologiczny. Uznali jednak, że produkcja rokuje nadzieje na duże zyski, zatem nie przerwali jej realizacji.

Zdjęcia do *Wstrętu* wzbudzały coraz większe zainteresowanie mediów, toteż na plan zaczęli zjeżdżać brytyjscy dziennikarze. Metody Polańskiego wywoływały zdziwienie, ale dostrzeżono, że powstaje wybitne dzieło. Zaciekawienie wzbudził również sam reżyser.

„[...] Twickenham w Middlesex – relacjonował Mark Shivas na łamach »Queen« – stało się niespodziewanie mekką dziennikarstwa filmowego za sprawą małego Polaka, który wygląda jak elf i ma trzydzieści lat i prawdopodobnie za trzydzieści lat będzie wyglądał podobnie”**[296]**.

Polański znakomicie wywiązał się z zadania, jako że udało mu się połączyć względy komercyjne z artystycznymi. Do popularności filmu przyczyniła się też rozkładówka „Playboya” z Catherine Deneuve, co było efektem znajomości Gutowskiego z Victorem Lownesem, szefem brytyjskiego oddziału firmy. Niełatwo jednak było namówić Catherine do pozowania nago, toteż Polański długo przekonywał aktorkę, że powinna „patrzeć na siebie jak na piękną istotę i pokazać, że ciało też jest dziełem sztuki”.

„[...] mało jest kobiet – tłumaczył Polański – a zwłaszcza gwiazd filmowych, zdolnych się oprzeć, gdy przemówić do ich próżności. Zapewniałem ją, że jeden z moich przyjaciół, londyński fotograf David

---

296 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 93.

Bailey, jest artystą, któremu może zaufać. Czy mogłaby przynajmniej spotkać się z nim, jeżeli Bailey przyleci do Paryża? Catherine nie tylko spotkała się z nim i pozowała mu dla »Playboya«, ale wyszła za niego za mąż”**[297]**.

Wstręt otrzymał Srebrnego Niedźwiedzia na festiwalu w Berlinie, a Polański dostał na dodatek Nagrodę Międzynarodowej Federacji Krytyki Filmowej. Film cieszył się również dużą popularnością wśród publiczności, w efekcie czego szefowie Compton wyrazili zgodę na realizację *Matni*.

Z produkcją tego filmu Polański wiązał także pewne pozazawodowe nadzieje. Ku osłupieniu współpracowników oznajmił, że główną rolę kobiecą powinna zagrać Basia Kwiatkowska, będąca już wtedy żoną Karlheinza Böhma.

„[…] w pierwszej wersji scenariusza główną postacią kobiecą była polska studentka – opowiadała Zofia Komedowa. – Romek chciał, aby zagrała ją Basia, więc wymyślił postać, która słabo mówiła po angielsku, z obcym akcentem – jak Basia właśnie. A więc ta dziewczyna wyjeżdża do Paryża i nie chce wracać do Polski. Popełnia błędy i zaczyna powoli się staczać – aż do momentu, w którym ten bogaty idiota zakochuje się w niej i poślubia. Jej mąż sprzedaje wszystko i kupuje wyspę, na której sławny polski pisarz napisał dzieło życia”**[298]**.

Polański przesłał scenariusz Basi, która całkiem poważnie zaczęła zastanawiać się nad propozycją. Wprawdzie wciąż odczuwała lęk przed byłym partnerem, ale sukces *Wstrętu* i nominacja do Oscara dla *Noża w wodzie* miały swoje znaczenie.

---

297 R. Polański, *op. cit.*, s. 183.
298 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 99.

Sprawę rozstrzygnął jednak Böhm, który kategorycznie sprzeciwił się udziałowi żony w filmie Polańskiego.

„Karlheinz nie zgodził się – potwierdzała Kwiatkowska – byliśmy małżeństwem zaledwie od kilku miesięcy i oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że Romek będzie próbował mnie odzyskać”**[299]**.

Polański musiał przerobić znaczną część scenariusza i ostatecznie zaangażował starszą siostrę Denevue, Françoise Dorléac, a później nigdy nie wspominał o próbach zaangażowania Basi. Zapewne właśnie wtedy uzmysłowił sobie, że nieodwołalnie ją stracił.

Patrząc na ostateczną wersję scenariusza, trudno nie zauważyć, że *Matnia* jest „terapeutyczną wersją zemsty” na byłej żonie. Przyjaciele Polańskiego uznali film za „groteskowe odsłonięcie i uwolnienie uczuć, jakie reżyser żywił do Basi”. Przerabiając scenariusz, puścił wodze fantazji: główna bohaterka filmu stała się nimfomanką o słabym charakterze, a jej partner (alter ego Polańskiego) – sadystycznym transwestytą. Nie zmienia to jednak faktu, że ponownie powstało dzieło o wyjątkowej wartości.

Zawdzięczało ono sukces zarówno talentowi reżysera, jak i atmosferze na planie. Film kręcono na wyspie, przez co członkowie ekipy byli skazani wyłącznie na siebie, a Polański z rozmysłem prowokował napięcia. Zarzucano mu również sadystyczne praktyki wobec aktorów, szczególnie wobec Françoise Dorléac, ale efekt końcowy był znakomity. Budżet przekroczono dwukrotnie, jednak obraz otrzymał w Berlinie Złotego Niedźwiedzia, a

---

299 Za: *ibidem,* s. 100.

zyski zaskoczyły nawet producentów. Polański stał się autentyczną gwiazdą europejskiego kina.

Wreszcie miał pieniądze i mógł używać życia we wszystkich jego przejawach, o co było tym łatwiej, że ówczesny Londyn uchodził za najbardziej rozrywkowe miasto świata. Roman był stałym bywalcem modnych klubów, zawierał cenne przyjaźnie, eksperymentował z narkotykami. Zdarzyło się nawet, że z pewną przygodnie poznaną partnerką zażył tak dużą dawkę LSD, że „omal nie umarli ze strachu pod wpływem halucynacji, a dziewczyna zasłabła". Polańskiego nie mogło też zabraknąć w „Playboy Cassino" i „Clermont", czyli klubach założonych przez Victora Lownesa.

„[...] stały [się] one rychło ulubionym miejscem spotkań wielu amerykańskich i międzynarodowych gwiazd filmowych i innych znakomitości [...] – wspominał Gutowski. – Inteligentny, oczytany i obdarzony poczuciem humoru Victor był nie tylko świetnym gospodarzem, lecz przede wszystkim znakomitym biznesmenem i administratorem. Jako niestrudzony hedonista dbał, by jego [...] oba kluby [...] były miejscem niekończących się wystawnych kolacji i przyjęć. Londyn lat 60. bawił się u Victora"**[300]**.

Swobodzie obyczajowej sprzyjały przemiany zachodzące na Wyspach. Wraz z muzyką The Beatles i The Rolling Stones zawalił się stary, klasowy porządek, a idolami młodzieży stali się ludzie sukcesu wywodzący się z niższych sfer. Mary Quant wymyśliła minispódniczkę, zdjęcia Davida Baileya i jego kolegów ozdabiały tytułowe strony czasopism. Pojawiły się pigułki antykoncepcyjne, a szczytem

---

300G. Gutowski, *op. cit.*, s, 229.

mody stał się niewielki Mini Cooper. Brytyjczycy chcieli się bawić, a miasto nad Tamizą określano mianem „swingującego Londynu".

„Jedyne, czym byłem naprawdę zainteresowany – przyznawał po latach Polański – to żeby przelecieć jakąś dziewczynę. I iść dalej swoją drogą. Miałem nieudane małżeństwo, wiele lat temu, więc czułem się cudownie, ponieważ znowu dobrze mi szło z kobietami, a poza tym to lubiłem się pieprzyć, gdzie popadło. Więc byłem swingierem, nie?"**[301]**.

Roman blisko zaprzyjaźnił się z Lownesem, z którym rywalizował pod względem „zaliczonych panienek". Inna sprawa, że chętnych dziewcząt było tak wiele, że obaj musieli się od nich wprost odganiać. Polański odreagowywał swoje niepowodzenia z Basią, stał się osobą znaczącą w londyńskim świecie towarzyskim. Wprawdzie niektórzy uważali go za osobnika wyjątkowo narcystycznego, który „pokazywał, że przede wszystkim kocha siebie", ale taka postawa idealnie wpisywała się w atmosferę tamtych lat. A on nigdy nie ukrywał, że w tym czasie „jedynym aspektem kontaktów męsko-damskich, który go pociągał, był seks", co zresztą całkowicie akceptowano.

SHARON

Filmy Polańskiego były sukcesami kasowymi, ale wzbudzały też kontrowersje, co jeszcze bardziej nakręcało ich popularność. Nie mogło to zostać niezauważone w Hollywood, gdzie dobrze pamiętano o nominacji do Oscara dla debiutanckiego *Noża w*

---

301 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 106.

wodzie. Wkrótce też pojawił się pomysł na wykorzystanie talentu polskiego reżysera. Wytwórnia 20th Century Fox wyraziła zainteresowanie remakiem *Noża* w gwiazdorskiej obsadzie z Elizabeth Taylor, Richardem Burtonem i Warrenem Beattym.

Polański wprawił jednak Amerykanów w osłupienie, gdyż w ogóle nie był zainteresowany tym tematem. Oświadczył, że pierwotna wersja filmu jest na tyle dobra, że kręcenie nowej przypominałoby poprawianie *Słoneczników* van Gogha. Z pewnością obawiał się też, że ze względów językowych (wtedy jeszcze zbyt słabo władał angielskim) jego rola na planie zostanie zredukowana do funkcji asystenta, co było tym bardziej prawdopodobne, że hollywoodzkie wytwórnie wolały stawiać na sprawdzonych ludzi, szczególnie w przypadkach wysokobudżetowych produkcji. A remake *Noża* w *wodzie* na pewno należał do tej kategorii, skoro na gaże gwiazd mających zagrać w tym filmie planowano wydać wielokrotnie więcej niż firma Compton wydała ogółem na *Wstręt* i *Matnię*.

W Kalifornii uznano go za „zwariowanego Polaka", ale nie musiał długo czekać na kolejną ofertę. Tym razem nadeszła od hollywoodzkiej wytwórni Filmways, która zainteresowała się napisanym przez Polańskiego i Bracha scenariuszem parodii horroru. Ostatecznie film miał być koprodukcją z MCM, a budżet w wysokości 1,5 miliona dolarów pozytywnie zaskoczył reżysera.

Bal wampirów miał być realizowany w Europie, a uszczęśliwiony Polański nie zaniedbywał żadnego szczegółu.

„Osobiście spryskiwał pochodzące z epoki kostiumy kwasem i osmalał palnikiem, by je spatynować i nadać im dekadencki wygląd —

wspominał Gutowski. – Robił to tak przekonująco, że właściciele firmy, która nam je wypożyczyła, byli przerażeni, a nasza produkcja musiała w końcu za nie zapłacić. Ale ostateczny efekt był naprawdę wspaniały”**[302]**.

Pozostawiono mu też wolną rękę w doborze aktorów, a jedyny wyjątek dotyczył głównej roli kobiecej. Wprawdzie Polański miał już własną faworytkę, jednak wytwórnia narzuciła mu swoją podopieczną, Sharon Tate.

Sharon miała dwadzieścia cztery lata, była rodowitą Amerykanką i zapowiadała się na wielką gwiazdę. Niezwykle inteligentna i urodziwa, pracowała też jako fotomodelka i często gościła na okładkach amerykańskich czasopism. Ale początkowo Roman nie był nią zachwycony, co nie znaczy, że nie dostrzegł w niej kolejnej, potencjalnej zdobyczy.

„Wydała mi się całkiem ładna – przyznawał – ale w pierwszym momencie ogromnego wrażenia na mnie nie zrobiła. Potem jednak zobaczyłem ją znowu. Długo rozmawialiśmy [...]. Zabawiałem ją, jak trzeba. Jedyne, co miałem na uwadze, to przelecieć dziewczynę i iść dalej...”**[303]**.

Chociaż Sharon była świadoma własnej wartości, to zawsze potrzebowała silnej osobowości obok siebie. Nie potrafiła funkcjonować bez dominującego partnera i z tego powodu godziła się na daleko idące kompromisy. W chwili poznania Polańskiego mieszkała z fryzjerem hollywoodzkich gwiazd, Jayem Sebringiem – wielbicielem narkotyków i seksu grupowego.

---

302 G. Gutowski, *op. cit.*, s, 267.
303 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 113.

„Lubił dziewczyny wiązać – dodawał Polański. – Sharon opowiadała mi, że kiedyś ją też przywiązał do łóżka. Opowiadała mi o tym i naśmiewała się z niego [...]. Bardzo śmieszne, ale smutne”**[304]**.

Panna – była zwolenniczką LSD, a jej doświadczenia pod tym względem były znacznie bogatsze niż Polańskiego. Po raz pierwszy kochali się, będąc pod wpływem narkotyków, i reżyser był przekonany, że właśnie dzięki temu ich noc zrobiła na nim aż takie wrażenie.

„[Sharon] była taka słodka, taka cudowna – opowiadał dwa lata później – nie mogłem w to uwierzyć. Miałem złe doświadczenia i po prostu nie wierzyłem, że tacy ludzie jak ona faktycznie istnieją. Cudowna, nie było w niej nic fałszywego. Fantastyczna. Kochała mnie, [...] mówiła: »Nie chcę ciebie. Chcę tylko być z tobą«. Odpowiedziałem: »Wiesz, jaki jestem. Pieprzę się wszędzie dookoła...«. [...] A ona na to: »Nie chcę cię zmieniać«. Gotowa była zrobić wszystko, żeby tylko być ze mną. [...] Zupełnie wyjątkowa osoba”**[305]**.

Dziewczyna ostatecznie zamieszkała z Polańskim, zachowała jednak dobre stosunki z Sebringiem. Roman także polubił swojego poprzednika, czego nie potrafili zrozumieć jego znajomi, tym bardziej że reżyser sprawiał wrażenie coraz mocniej zaangażowanego, a wspólna praca nad filmem sprawiała, że stawali się sobie coraz bliżsi. Dziewczyna była pierwszą aktorką grającą w filmach Polańskiego, która nie narzekała na jego metody pracy i apodyktyczny charakter.

---

304 Za: *ibidem,* s. 114.
305 Za: *ibidem*.

Współpraca z Filmways układała się za to fatalnie. Jej właściciel, producent Marty Ransohoff, miał własną wizję tego dzieła i nie zamierzał iść na żadne ustępstwa. Na jego polecenie wycięto ponad 20 minut gotowego filmu, zmieniając przy okazji tytuł na *Za pozwoleniem, pan wpił mi zęby w szyję*. W tej sytuacji Polański i Gutowski zażądali wycofania swoich nazwisk z czołówki, na co jednak nie wyrażono zgody. W efekcie dystrybucja obrazu zakończyła się klęską finansową, a w promocji filmu nie pomogła nawet odważna sesja zdjęciowa Sharon dla „Playboya". Reżyser uznał, że w Hollywood jest skończony i wrócił do Londynu, gdzie niebawem dołączyła do niego partnerka.

DZIECKO ROSEMARY

W Kalifornii jednak nie zapomniano o nim. Gdy nowy prezes do spraw produkcji Paramount Pictures, Bill Evans, zapoznał się z wydaną właśnie książką Iry Levina o losach mężatki zapłodnionej przez diabła, uznał, że zekranizować ją może tylko Polański. Ściągnął go do Hollywood i zaproponował 150 tysięcy dolarów (około miliona euro) za scenariusz i reżyserię. Podobnej oferty nie można było odrzucić, toteż Roman pojawił się za oceanem i podpisał umowę. Przy okazji musiał się jednak zgodzić na zawieszenie współpracy z Gutowskim, Evans miał bowiem własnych producentów.

Kompletując ekipę, nie zapomniał o Krzysztofie Komedzie. Udało mu się przekonać szefów Paramount, że polski jazzman jest jedynym człowiekiem, który skomponuje do tego filmu odpowiednią muzykę. Gorzej poszło mu natomiast z Markiem Hłaską, którego również ściągnął do

Kalifornii, mając nadzieję, że pisarz sprawdzi się jako scenarzysta. Przy okazji zajął się też niedawno przybyłym do USA Wojtkiem Frykowskim, doskonale bowiem pamiętał, że to on sfinansował kiedyś jego krótkometrażówkę.

Tekst Iry Levina był wręcz stworzony dla Polańskiego, ale reżyser nie byłby sobą, gdyby nie komplikował wszystkiego wokół siebie. Wprawdzie po latach temu zaprzeczał, ale jako konsultanta zatrudnił Antona LaVeya, twórcę sekty Kościół Szatana. Nie poprzestał zresztą na konsultacjach, bo fizjonomia satanisty tak go zafascynowała, że powierzył mu rolę szatana w scenie gwałtu na Mii Farrow”**[306]**.

LaVey potrafił doskonale zdyskontować współpracę z Polańskim. Jego sekta potroiła liczbę członków, on sam zaś trafił nawet do popularnych programów telewizyjnych. Znalazł też licznych naśladowców, zakładających własne pseudoreligijne grupy, a jednym z nich był niejaki Charles Manson…

Realizacja *Dziecka Rosemary* posuwała się sprawnie do przodu, jednak reżyser – jak zwykle – przekroczył budżet i terminy. Paramount musiał dofinansować produkcję kwotą 300 tysięcy dolarów, a opóźnienie realizacji o kilka tygodni przyczyniło się do rozpadu małżeństwa Mii Farrow z Frankiem Sinatrą. Piosenkarz nie mógł bowiem zrozumieć, że aktorka nie przerwie pracy u Polańskiego, aby pojawić się u jego boku na planie *Detektywa,* do którego właśnie rozpoczął zdjęcia. Całą sprawę opisywała prasa amerykańska, co przyczyniło się do wzrostu zainteresowania filmem.

---

306 *Ibidem,* s. 130.

Specjaliści od reklamy z Paramount wykorzystywali zresztą każdą okazję, aby podgrzać atmosferę. Gdy po zakończeniu zdjęć Mia poleciała do Indii, aby oddać się medytacjom i zastanowić się nad własną przyszłością, towarzyszyły jej tłumy dziennikarzy, a ich relacje natychmiast trafiły na czołówki gazet. Fantastyczny sukces przyniosło też hasło reklamowe „Módlcie się za dziecko Rosemary", ale do popularyzacji filmu chyba najbardziej przyczyniła się doskonała muzyka Komedy. Kompozytor stanął bowiem na wysokości zadania, a motyw przewodni z *Dziecka Rosemary* do dzisiaj pozostaje jednym z najbardziej znanych tematów filmowych.

„[...] napisał dwie kołysanki – wspominał Polański – obie tak świetne, że długośmy się wahali, zanim wybraliśmy tę, która stanowi lejtmotyw filmu. Była może mniej komercyjna, ale lepiej pasowała do kontekstu. Chcieliśmy, by delikatnie, sugestywnie nucona, zabrzmiała na początku filmu. Zamiast zwrócić się do zawodowej piosenkarki, poprosiłem, by zaśpiewała ją Mia; chodziło mi przede wszystkim o to, by publiczność słyszała głos bohaterki. Zdumiało mnie, jak wspaniale Mia wywiązała się z zadania: w rezultacie nie ma żadnej wątpliwości, że to jej głos towarzyszy czołówce. Nie pierwszy raz mój film nabierał dodatkowego wymiaru dzięki cudownej, pełnej inwencji muzyce mojego przyjaciela Komedy"**[307]**.

Muzyka ta odniosła wręcz nieprawdopodobny sukces komercyjny i była nominowana do Złotego Globu. Amerykańskie stacje radiowe nadawały ją niemal bez przerwy, czego świadkiem była Zofia

---

307 R. Polański, *op. cit.*, s. 227.

Komedowa, która na przełomie stycznia i lutego przybyła do męża:

„Tam się jeździ otwartymi samochodami i *Top Twenty,* taka radiostacja, która nadaje na okrągło te pierwsze czterdzieści czy pierwsze dwadzieścia kompozycji, które są na topie, najważniejsze. I myśmy jeździli samochodem otwartym i myśmy cały czas słyszeli ze wszystkich samochodów dobiegającą tę kołysankę z *Rosemary's Baby*, więc Krzysztof był zachwycony, był szczęśliwy i dumny. I mówił: »Ja, popatrz, ja. Moje, moje«"**[308]**.

Film okazał się gigantycznym sukcesem komercyjnym, a Polański dostał nominację do Oscara za scenariusz. I chociaż znowu go nie otrzymał, szefowie Paramount zrozumieli ostatecznie, jakiej klasy fachowiec z nimi współpracuje. Reżyser z dnia na dzień stał się jednym z najbardziej znanych twórców filmowych na świecie, a sukcesom zawodowym towarzyszyła stabilizacja uczuciowa. Wkrótce po zakończeniu zdjęć Sharon i Roman pobrali się w Londynie, a lista zaproszonych gości „przypominała *Who's Who* owego czasu". Nie zabrakło na niej hollywoodzkich gwiazd filmowych, Davida Baileya i Vidala Sassoona, a także Keitha Richardsa i Briana Jonesa z Rolling Stones. Przyjęcie oczywiście odbyło się w Klubie Playboya, a świadkiem Polańskiego był Gene Gutowski.

PĘKNIĘCIA

Radość z ogromnego sukcesu *Dziecka Rosemary* zakłóciła seria tragicznych wypadków, które

---

308Z *Czas Komedy,* film R. Kaczmarka i M. Kalinowskiego, 1994.

dotknęły przyjaciół reżysera. Jeszcze w styczniu 1967 roku we Wrocławiu zginął pod kołami pociągu Zbyszek Cybulski, natomiast kilka miesięcy po premierze filmu nadszedł kres kariery Krzysztofa Komedy.

„Kiedyś Krzysztof przyszedł do studia i miał czarne obwódki wokół oczu jak panda – wspominał Roman. – Pytam: »Co się stało?«. Mówi, że szli pijani z Hłaską. Komeda upadł, rozbił sobie głowę, a Marek go niósł, bo był typem macho. I razem upadli”**[309]**.

Idiotyczny pijacki wypadek zakończył karierę jednego z najwybitniejszych polskich kompozytorów. Komeda już nigdy nie wrócił do zdrowia, a Hłasko nie potrafił sobie tego wybaczyć. Podobno mówił, że „jak Krzysio umrze, to on też”. Złe przeczucia, niestety, się sprawdziły. U Komedy z opóźnieniem zdiagnozowano krwiak mózgu, trepanacja czaszki nie przyniosła rezultatów i muzyk zapadł w śpiączkę. Do Kalifornii przyleciała Zofia Komedowa, która zlikwidowała amerykańskie interesy męża i przewiozła go do kraju. Pięć dni po powrocie do Polski, 23 kwietnia 1969 roku, Krzysztof Komeda zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że nad hollywoodzkim gronem polskich znajomych Polańskiego ciążyła klątwa. Kilka tygodni po śmierci Krzysztofa w niemieckim Wiesbaden zmarł Marek Hłasko, który nigdy nie powrócił do równowagi psychicznej po wypadku przyjaciela. Odszedł po dużej dawce alkoholu i środków nasennych. Czy było to samobójstwo? Nie wiadomo. Niedługo później w

---

309Za: Komeda, muzyczne ścieżki życia, http://www.youtube.com/watch?v=iZALOroRkcY

najbliższym otoczeniu reżysera doszło do tragedii, która wstrząsnęła światową opinią publiczną.

Roman nie mógł odżałować śmierci przyjaciół, ale życie musiało toczyć się dalej. Jego sytuacja w Paramount wcale nie wyglądała najlepiej. Wprawdzie zasypywano go projektami scenariuszy, ale brakowało konkretnych ofert. Wytwórnia nie skierowała do produkcji scenariusza filmu *Zjazdowiec*, pomimo wcześniejszych obietnic składanych Polańskiemu i Gutowskiemu. Podobno obawiano się braku dyscypliny budżetowej reżysera i konfliktów na planie.

W tym czasie Sharon kręciła kolejne filmy, a najnowszy z nich był realizowany w Rzymie, co oznaczało rozłąkę z mężem. Polański wprawdzie często bywał w Europie, ale z reguły jeździł na kolejne premiery *Dziecka Rosemary*, a jeśli nie podróżował po kontynencie, to przebywał w Londynie. Małżeńska wierność nigdy nie była jego atutem, a nad Tamizą w towarzystwie Lownesa zachowywał się tak, jakby wciąż był stanu wolnego. Nie zmienił swojego postępowania nawet wtedy, gdy żona poinformowała go, że jest w ciąży.

„Prawdę mówiąc – wspominał po latach – zrazu wiadomość ta ścięła mnie z nóg. Dziecko wydawało się takim luksusem, wydarzeniem tak ważnym, że wymagało równie drobiazgowych przygotowań – większego domu, odpowiedniego czasu, by wszystko zorganizować jak należy – co kręcenie filmu”**[310]**.

Polańscy chcieli, żeby dziecko urodziło się w USA, toteż gdy Sharon zakończyła zdjęcia, pojechali do Kalifornii, by tam poszukać odpowiedniego domu

---

310 R. Polański, *op. cit.*, s. 244.

do wynajęcia. Sprzyjało im szczęście, trafili bowiem na rezydencję przy Cielo Drive w Benedict Canyon w pobliżu Beverly Hills.

„Było to pod wieloma względami atrakcyjne miejsce – stwierdził Polański – wiejski dworek w ogrodzie pełnym kwiatów, otoczony drewnianym parkanem. [...] Było tam wystarczająco dużo miejsca dla dziecka i dla angielskiej niani, o której marzyła Sharon.

Dom stał przy krętej, wąskiej dróżce, Cielo Drive, i był niewidoczny nawet z Benedict Canyon”**[311]**.

Czynsz nie był niski (3 tysiące dolarów, czyli ok. 20 tysięcy euro miesięcznie), ale Polańscy zarabiali coraz większe pieniądze, a poza tym Roman pokładał duże nadzieje w scenariuszu, nad którym rozpoczął pracę w Londynie.

Wprowadzili się do rezydencji pod koniec lutego, a na początku marca wydali wielki bankiet dla kalifornijskich znajomych, na którym pojawiła się niemal cała śmietanka Hollywood. Polańscy przebojem wdarli się do elity „fabryki snów” i wyglądało na to, że pozostaną w niej na stałe.

Gdy ponownie udali się do Londynu, opiekę nad domem powierzyli Wojtkowi Frykowskiemu i jego amerykańskiej przyjaciółce, Abigail Folger, która od lat przyjaźniła się z Sharon. Na wspólną podróż nalegała pani Polańska, zdająca sobie sprawę z faktu, że mąż się od niej oddala. Reżyser uważał, że przyczyną tego jest odmienny stan żony, która wprawdzie „wyglądała rozkosznie”, ale tak, że całkowicie stracił zainteresowanie współżyciem seksualnym. Tłumaczył to „miłością i czułością, jakie

---

311 *Ibidem*, s. 244.

go przepełniały" i które „połączyły się z całkowitą niezdolnością fizycznego współżycia".

Sharon miała na ten temat własne zdanie, gdyż zbyt dobrze go znała. Nie pomagały wyjaśnienia Polańskiego, że „jego uczucia w stosunku do niej się nie zmieniły" i czeka tylko na tę chwilę, „kiedy jej ciało odzyska normalne kształty". Była zaniepokojona, bo dochodziły do niej wieści o kolejnych podbojach erotycznych męża, jednak zgodnie z dawną obietnicą nigdy nie poruszała tego tematu. Nawet wtedy, gdy Roman miewał przygody z paniami z jej najbliższego otoczenia.

Gdy termin porodu był już bardzo bliski, Sharon zażądała, by wrócili do USA. Polański odmówił, motywując to pracą nad scenariuszem, zobowiązał się jednak, że przyleci do Los Angeles za kilka tygodni. Zarezerwował żonie bilet na liniowiec „Queen Elizabeth II" i w lipcu odpłynęła ona do Nowego Jorku. Nawet najbliżsi przyjaciele Romana byli zszokowani jego zachowaniem, uważając, że podczas tak męczącej podróży powinien towarzyszyć żonie będącej w ósmym miesiącu ciąży. Polański miał jednak własne zdanie na temat obowiązków rodzinnych.

„Zeszliśmy trapem do głównego wyjścia – opisywał pożegnanie na pokładzie liniowca. – Objęła mnie i przytuliła się brzuchem, czego nigdy przedtem nie robiła, jakby chciała przypomnieć mi o istnieniu dziecka. Kiedy trzymałem ją w ramionach, przemknęła mi absurdalna myśl: nigdy jej więcej nie zobaczę. [...] Postanowiłem zadzwonić do Victora Lownesa, zabawić się, spotkać się z jakimiś dziewczynami"**[312]**.

---

312 *Ibidem*, s. 248.

Kiedy wrócił z imprezy, w sypialni znalazł książkę, którą zostawiła mu żona. Była to *Tessa d'Urberville* Thomasa Hardy'ego, która zdaniem Sharon idealnie nadawała się na scenariusz „cudownego filmu" w jego reżyserii.

MASAKRA PRZY CIELO DRIVE

Gdy Polańscy przebywali w Europie, Wojtek Frykowski miał coraz większe kłopoty. Wprawdzie Roman twierdził, że pamięta, jaką przyjaciel odegrał rolę w początkach jego kariery, i nie przeszkadza mu, że „wyleguje się bez przerwy koło basenu z nieodłączną szklaneczką wina w ręce", ale teraz sprawy zupełnie wymknęły się Frykowskiemu spod kontroli. Oboje z Abigail byli uzależnieni od narkotyków, a kontakty nawiązane wśród kalifornijskich dealerów mogły stać się groźne dla ich przyjaciół.

„[...] nie miał pieniędzy ani żadnych środków utrzymania – stwierdzono w późniejszym raporcie policyjnym. — Żył z resztek kapitału Folger, a brał kokainę, meskalinę, haszysz i LSD w ogromnych ilościach. Był osobowością ekstrawertyczną, a jego narkotykowe imprezy były na porządku dziennym"**[313]**.

Abigail pracowała w pomocy społecznej, zainwestowała jednak dużą sumę w nowy salon fryzjerski Jaya Sebringa w San Francisco. Wojtek próbował pisać scenariusze, następnie zatrudnił się do prac przy dekoracjach filmowych. Nie był jednak stworzony do pracy fizycznej, wobec czego po kilku dniach stwierdził, że „nie ma zamiaru wbijać gwoździ

---

313 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 156.

w jakieś pieprzone dechy", i zrezygnował z tego zajęcia.

Ostatecznie Polański dał przyjacielowi posadę ochroniarza swojej ciężarnej żony i Wojtek wraz z Abigail przenieśli się na stałe do jego posiadłości. Ciągle przebywał tam również Jay Sebring, co wzmagało plotki o jego romansie z Sharon. Wydaje się jednak, że były one całkowicie bezpodstawnie, bo chociaż Polańscy przyjęli zasadę „otwartego małżeństwa", to w praktyce stosował ją tylko Roman.

Nie zmienia to jednak faktu, że aktorka z coraz większym zniecierpliwieniem oczekiwała na powrót męża. Polański wciąż przekładał terminy, tłumacząc się problemami z pracą nad scenariuszem. Niemal codziennie kłócili się przez telefon, ostatecznie reżyser zobowiązał się do powrotu na 18 sierpnia. W tym dniu wypadały jego urodziny, które żona postanowiła uświetnić wystawnym przyjęciem. Rozesłała już nawet pierwsze zaproszenia i, zajęta przygotowaniami, starała się nie zwracać uwagi na złe samopoczucie.

„Pewnie dlatego ten mały szczur jest ciągle w Londynie – skarżyła się przyjaciółkom. – Nie może znieść mojego widoku, takiej grubej. I pracując, nie wytrzymałby ze mną i moimi nerwami"**[314]**.

Nie wiadomo, czy Polański rzeczywiście zamierzał wrócić w do domu w podanym terminie. Nie wystąpił bowiem o wizę wjazdową do USA, a czas oczekiwania na dokumenty wynosił kilka dni. Zresztą niebawem wszystko przestało mieć znacznie, gdyż w nocy z 8 na 9 sierpnia 1969 roku doszło do tragedii, która całkowicie zmieniła życie gwiazd w Hollywood.

---

314 Za: *ibidem,* s. 162–163.

Około północy do posiadłości Polańskich wdarli się członkowie sekty Rodzina Charlesa Mansona – mężczyzna i trzy kobiety, przy czym jedna z nich należała wcześniej do Kościoła Szatana założonego przez LaVeya. Uzbrojone „komando" otrzymało od Mansona rozkaz brutalnego zamordowania wszystkich przebywających w domu osób. Na początku napastnicy zastrzelili osiemnastoletniego Stevena Patenta. Chłopak odwiedził ogrodnika, któremu chciał sprzedać radio z zegarem, ponieważ zbierał pieniądze na studia. Następnie doszło do masakry wewnątrz domu. Ofiary obezwładniono i spędzono do salonu, a jako pierwszy zginął Jay Sebring, który otrzymał siedem ciosów nożem i strzał w tył głowy. Frykowskiemu, któremu udało się uwolnić z więzów i podjąć walkę, zadano pięćdziesiąt jeden ran kłutych, dwukrotnie go postrzelono i wielokrotnie uderzono tępym narzędziem w głowę. Pomimo to próbował jeszcze uciekać, dlatego jego ciało znaleziono na trawniku przed domem. Obok leżała Abigail, która zmarła w wyniku dwudziestu ośmiu ran zadanych nożem. Jako ostatnia zginęła Sharon, którą zmuszono do oglądania śmierci przyjaciół. Otrzymała kilkanaście ran kłutych, po czym jej ciało związano ze zwłokami Sebringa i powieszono na belkach sufitu. Na koniec mordercy na drzwiach wejściowych wypisali jej krwią słowo *pig* (Świnia), a następnie zniknęli.

PRAWDZIWA NIENAWIŚĆ

„Właśnie miałem wyjść na spotkanie z Victorem Lownesem, kiedy zadzwonił telefon – wspominał po latach Polański. – Od razu poznałem

Billa [Tennanta – swojego agenta – S.K.] i zapytałem, jak się czuje.

– Źle – zabrzmiała odpowiedź.

Jego głos wydawał mi się daleki, przytłumiony. Zdziwiło mnie to, ponieważ zwykle przy połączeniach z Ameryką miało się wrażenie, że rozmówca siedzi w sąsiednim pokoju.

– W domu wydarzyło się nieszczęście – powiedział.

Sądziłem, że ma na myśli jakąś rodzinną awanturę u siebie – wiedziałem, że jego małżeństwo przeżywa kryzys – ale na wszelki wypadek zapytałem:

– W czyim domu?

– W twoim. Sharon nie żyje. Wojtek, Gibby i Jay też. Wszyscy nie żyją.

Usłyszałem swój własny głos: »Nie, nie, nie«”**[315]**.

Polański zasłabł. Wezwano do niego lekarza, ściągnięto również Lownesa i Gutowskiego. Chwilę później pojawili się też blisko z nim zaprzyjaźnieni Warren Beatty i Dick Sylbert. Roman musiał natychmiast lecieć do Los Angeles, problemem był jednak brak rezerwacji i amerykańskiej wizy. Tymi sprawami zajął się Lownes, natomiast Gutowski miał stawić czoło prasie, bo pierwsi dziennikarze zaczęli już dzwonić do domu Polańskiego.

„Victor wziął sprawę w swoje ręce – relacjonował Gutowski. – Obudził oficera dyżurnego w ambasadzie amerykańskiej i nakłonił go do wydania tymczasowej wizy w niedzielę rano. Potem zarezerwował nam bilety na bezpośredni lot z Londynu do Los Angeles. […] Roman, odurzony

---

315 R. Polański, *op. cit.*, s. 251–252.

środkami uspokajającymi, przespał większą część podróży, a Victor i ja przygotowywaliśmy oświadczenia dla mediów [...]. Na lotnisku w Los Angeles oczekiwały nas setki dziennikarzy i ekip telewizyjnych. Romana [...] z uwagi na bezpieczeństwo natychmiast przewieziono do wytwórni Paramount, ja zaś musiałem stawić czoło mediom”**[316]**.

Wytwórnia zdała egzamin i ulokowała Polańskiego w jednym ze swoich apartamentów, izolując go w ten sposób od dziennikarzy. Tymczasem do Romana niewiele docierało i dopiero po pewnym czasie zrozumiał, że dla mediów szybko przestał być ofiarą i został jednym z głównych winowajców masakry przy Cielo Drive.

W Hollywood zapanowała panika, którą dodatkowo powiększało to, że dzień po tragedii w domu Polańskiego ofiarą bandy Mansona padł również milioner LaBianca oraz jego żona. Sklepy z bronią notowały nieznane wcześniej obroty, gwiazdy na gwałt zatrudniały ochoniarzy, kupowano psy obronne, a słabo dotąd strzeżone rezydencje zamieniały się twierdze. „Fabrykę snów” sparaliżował strach powiększany jeszcze przez fakt, że policja dotychczas nie znalazła żadnego poważniejszego tropu prowadzącego do zbrodniarzy. Wprawdzie członków gangu Mansona aresztowano w związku z inną sprawą, ale dopiero pół roku później okazało się, że to oni zamordowali Sharon i jej przyjaciół.

Jednocześnie zaczynały krążyć najdziwniejsze plotki – sugerowano, że ofiary przedawkowały narkotyki i same się pozabijały, opowiadano o związkach Frykowskiego z dealerami narkotykowymi.

---

316 G. Gutowski, *op. cit.*, s. 298.

Przez pewien czas modna była teoria, że Wojtek był winien handlarzom ogromną sumę i nasłano na niego zabójców. Do tego wszystkiego opowiadano o upodobaniu Polańskiego do satanizmu i czarnej magii, dodając przy okazji różne wątki seksualne.

„Podstawą melodramatu były narkotyki – twierdził dziennikarz »Newsweeka« – i niektórzy podejrzewają, że tego wieczoru towarzystwo zabawiało się w praktykowanie czarnej magii przy ich użyciu; wspomina się o rodowitym Jamajczyku, wyznawcy wudu, który dołączył niedawno do prowadzonej przez Frykowskiego operacji przemytu narkotyków. Tego typu salonowe rytuały mogą tłumaczyć fakt, że Sebring miał na głowie kaptur i był sznurem związany z Tate. Oto część przyjaciół dopuszcza możliwość, że zbrodnie były wynikiem odegrania parodii rytualnej egzekucji. Uczestnicy, odurzeni środkami halucynogennymi, stracili kontrolę nad wydarzeniami”**[317]**.

Inne tytuły prasowe oczywiście nie pozostawały w tyle. Nawet poważne pisma publikowały niesprawdzone informacje, a prasa bulwarowa wręcz szalała. Rozpisywano się o rzekomo odciętej piersi Sharon i o kabalistycznych znakach wyciętych na jej ciele. Twierdzono, że Sebring przed śmiercią został wykastrowany. Zbrodnia miała być efektem narkotykowej orgii seksualnej z użyciem czarnej magii, co jakoby pasowało do twórczości Romana.

„[Morderstwo] było równie makabryczne jak sceny z filmów Polańskiego, eksplorujące najciemniejsze i najbardziej ponure zakamarki ludzkiej psychiki – twierdził publicysta tygodnika

---

317 R. Polański, *op. cit.*, s. 254.

»Time«. – Teorie dotyczące seksu, narkotyków i czarnej magii wspierał jeszcze fakt, że Sharon i Roman Polański obracali się głównie w ekscentrycznych kręgach filmowego świata”**[318]**.

Oliwy do ognia dolał jeszcze reżyser filmu *Easy Rider*, Dennis Hopper. Stwierdził on, że Sharon i jej przyjaciele „byli ofiarami samych siebie, bo zabawiali się sadomasochistycznie i jeszcze nagrywali to na wideo”. Opowiadał, że był przyjacielem Sebringa i wiedział, że „na trzy dni przed morderstwem zaprosili dwadzieścia pięć osób do domu, żeby przyglądały się zbiorowemu chłostaniu jednego takiego dealera”, który „sprzedał im narkotyki do niczego”**[319]**.

W efekcie wszystkich pogłosek Polański stał się w środowisku filmowym Hollywood *persona non grata*, a niektórzy filmowcy ogłaszali anonimowo (!!!) na łamach prasy, że reżyser „nie jest już jednym z nich” i jak najszybciej powinien opuścić Kalifornię. W ogólnym chórze głosów potępienia zdarzały się jednak całkiem rozsądne opinie na temat Polańskiego.

„Jego sytuacja – zauważył ironicznie Jack Nicholson – była interesującym, modelowym wręcz przykładem tego, co może zrobić rozgłos. Został ekskomunikowany ze wspólnoty Hollywoodu, ponieważ jego żona wykazała brak gustu, dając się zamordować i stając się pożywką roku dla gazet”**[320]**.

Prasie amerykańskiej wtórowali też polscy dziennikarze. Krajowi publicyści prześcigali się w opisywaniu zgnilizny zachodniego stylu życia, ale na

---

318 J. Parker, *op. cit.*, s. 169.
319 Za: *ibidem*, s. 170.
320 J. Parker, *op. cit.*, s. 166.

pierwszy plan wysuwała się nienawiść do Wojtka Frykowskiego. Powszechnie uznawano, że spotkała go zasłużona kara za skandaliczny tryb życia.

„Prasa szerzy pogłoski – pisano na łamach »Życia Warszawy« – jakoby celem morderców miał być jedynie Frykowski, który rzekomo popełnia jakieś oszustwo przy zakupie większej ilości narkotyków. Na przyjęciu w willi Cielo Drive zabawa nie była purytańska. Mówi się o seansie czarnej magii połączonym z demaskowaniem czarownic, o seansie narkomańskim, o pijaństwie połączonym z orgią seksualną. Rankiem po orgii służące znalazły pięć zmasakrowanych trupów. Pani domu w bikini, nawiasem mówiąc znajdowała się w ósmym miesiącu ciąży. Wojtek Frykowski handlował narkotykami. Uważa się go za bezpośredni powód wydarzeń tragicznej nocy. Pozostałe cztery trupy to ponoć tylko niepotrzebni świadkowie. Zgnilizna moralna, wyuzdanie, zwyrodnienie, alkohol, narkotyk, czarna magia, seks należą do codziennych sposobów zabijania nudy”**[321]**.

Według artykułu z „Panoramy Północy” Sharon – i Jay Sebring mieli należeć do sekty The Swingers – klubu dla zamożnych erotomanów, narkomanów i sadystów, a zostali zamordowani za zdradę tajemnic. Jednak wszystkich przelicytował felietonista tygodnika „Kultura” publikujący pod pseudonimem Hamilton (Jan Zdzisław Słojewski). W rok po tragedii, gdy było już wiadomo, kto dokonał mordu, opublikował on felieton pod tytułem *Fiku miku i po Fryku* (!!!), w którym odwoływał się do socjalistycznych wartości:

---

321 „Życie Warszawy”, 23.08.1969.

„Żyjemy w świecie, gdzie obowiązuje zasada JAKA PRACA, TAKA PŁACA (przynajmniej teoretycznie). Ale jednak jakże pociągające wydają się przykłady osób, które nie pracują, a jedzą, i to dobrze. Długo by mówić, dlaczego skądinąd nieposzlakowany obywatel PRL woli czytać o hochsztaplerach niż przodownikach pracy i dlaczego bardziej imponuje mu na przykład uwodziciel niż poważna, wzorowa i wzorcowa głowa rodziny. W każdym razie byłoby naiwnością sądzić, że przeciętny czytelnik pochyla się nad epopeją o Frykowskim po to, by nawąchać się zgnilizny moralnej i w ten sposób nabrać wstrętu do pasożytnictwa społecznego i występku”**[322]**.

Po latach Roman Polański w przekonujący sposób wyjaśniał, skąd wziął się mit o powiązaniach Frykowskiego z dealerami narkotykowymi. Wprawdzie nie miał złudzeń co do uzależnienia przyjaciela, jednak wiedział, że zbrodnia w jego domu nie miała z tym nic wspólnego:

„[…] Wojtek nie miał w sobie nic podejrzanego, dwuznacznego czy tajemniczego. Reputacja wielkiego handlarza narkotykami zrodziła się w dużej mierze z opowieści, według której miał interesy ze znanymi dostawcami. Otóż kiedy w kwietniu wydaliśmy z Sharon wielkie przyjęcie, pojawili się na nim również, jak to często bywa w Hollywood, nieproszeni goście. Trzy takie typy zaczęły rozrabiać i zostały wyrzucone, między innymi przez Wojtka. Jeden znał Wojtka i poprzysiągł mu zemstę. Okazało się, że wszyscy trzej to płotki w handlu narkotykami, ale ten drobny incydent dał początek teorii »polskiego łącznika«.

---

322 Za: http://pl.scribd.com/doc/112844761/Hamilton-Puste-miejsce-Felietony-z-lat-1967-1973-%E2%80%93-1973-zorg

Policja przeprowadziła dokładne śledztwo w sprawie trzech mężczyzn, ale na noc morderstwa wszyscy mieli żelazne alibi”**[323]**. Prawda o masakrze przy Cielo Drive wyszła na światło dzienne pół roku później, gdy policja w dość przypadkowy sposób ustaliła jej sprawców. Zleceniodawca napadu, Charles Manson – drobny złodziej, sutener i przywódca sekty – głosił, że jest wcieleniem „Mesjasza, Chrystusa i Szatana”. Jego wyznawcy dążyli do wywołania rewolucji, po której czarna ludność (z bandą Mansona na czele) miała objąć rządy w Ameryce. Sam „prorok” czerpał swoje inspiracje z filozofii Nietzschego i piosenek Beatlesów, szczególnie *Helter Skelter,* a jego poziom umysłowy i moralny mógł przerażać. Gdy bowiem pierwszy raz usłyszał o obozach zagłady, to „wyraził jedynie żal”, że… nie on je wymyślił.

Warto też sprostować pewną teorię mocno zakorzenioną w społecznej świadomości. Powszechnie uważa się, że banda Mansona pomyliła ofiary, gdyż w domu wynajmowanym przez Polańskich wcześniej mieszkał producent, Terry Melcher, który odmówił „prorokowi” nagrania jego płyty. Manson przejawiał duże ambicje muzyczne i w ramach zemsty miał wysłać swoje „komando”, aby zamordowało człowieka, który nie poznał się na jego talencie. W rzeczywistości jednak „prorok” doskonale wiedział, kto aktualnie zajmuje willę. Pojawił się tam bowiem osobiście pod koniec marca, dopytując o producenta i wówczas wyjaśniono mu, że posiadłość wynajmują obecnie Polańscy. Tożsamość ofiar była jednak dla niego bez znaczenia, bo osobista zemsta schodziła na dalszy plan w obliczu spektakularnego

---

323 R. Polański, *op. cit.,* s. 257.

zamordowania członków hollywoodzkiego establishmentu. A fakt, że Polańskiego od dawna posądzano o zainteresowanie satanizmem, mógł być dodatkową motywacją tej zbrodni. Zapewne nie bez powodu w skład „komanda" włączono byłą członkinię sekty LaVeya.

Paradoksalnie, wykrycie sprawców zbrodni spowodowało nową nagonkę na Polańskiego. Tym razem głoszono teorie o powiązaniach ofiar z kultem diabła, sugerowano, że w domu reżysera od miesięcy odbywały się satanistyczne orgie. Opisując drastyczne szczegóły z życia sekty Mansona, sugerowano, że przy Cielo Drive działy się jeszcze gorsze rzeczy, a ofiary same sobie zgotowały ten tragiczny los. Reporterzy dosłownie prześladowali Polańskiego, który właściwie nie mógł się poruszać bez ich „asysty". Gdy zatrzymał się na kilka dni w domu jednego z przyjaciół, wywołało to protest sąsiadów. Wytwórnia odrzuciła gotowy scenariusz, nad którym pracował w Londynie, Miał więc powody uważać, że znowu w Hollywood jest skończony.

W tym samym czasie przebywający w więzieniu Manson stawał się ikoną popkultury. „Life" zamieścił na okładce jego zdjęcie (!!!), a podczas jednego z wieców hipisowskich wśród portretów polityków znienawidzonych przez młodzież niesiono też podobiznę... Sharon – ! Mordercy pozwolono na opublikowanie artykułu dla niskonakładowej gazety w Los Angeles, a inne czasopismo reklamowało jego piosenki. Doszło wreszcie do tego, że jedna z wytwórni hollywoodzkich zaczęła rozważać realizację filmu opartego na jego biografii.

W tej sytuacji Polański uznał, że najwyższy czas wyjechać ze Stanów. Czuł się kompletnie wypalony i niewiele rozumiał z tego, co się dzieje.

Miał nadzieję, że w Europie powoli wróci do siebie, co było o tyle ważne, że w Ameryce zaczynał już „myśleć o samobójstwie".

„Był całkiem rozbity – opowiadał Dick Sylbert – i nadal prześladowało go poczucie winy, że nie było go na miejscu, gdy się to wszystko wydarzyło"**[324]**.

IMPAS

Polański wyjechał do Paryża, bo uznał, że Londyn za bardzo kojarzy mu się z Sharon, w związku z tym nad Tamizą nie będzie mógł odzyskać równowagi psychicznej. Obawiał się także brytyjskich dziennikarzy, którzy niewiele się różnili od swoich amerykańskich kolegów. Jednak we Francji również otoczyli go paparazzi, wobec czego zaszył się w szwajcarskim Gstaad, gdzie wspólnie z Lownesem spędził święta Bożego Narodzenia. To właśnie tam „na nowo odkrył seks", tłumacząc przy tym, że miał on dla niego znaczenie wyłącznie terapeutyczne.

Zaordynował sobie jednak wyjątkowo wyczerpującą kurację. Ponownie zasmakował w romansach bez zobowiązań, a gdy do jego łóżka trafiły dwie urodziwe bliźniaczki z Malty, zaczęto opowiadać, że „Polański lubi kobiety zdublowane". Poza tym wciągnął go nowy rodzaj rozrywki erotycznej, która na dłużej zatrzymała go w Gstaad.

„[...] zaczęły u niego bywać dziewczęta różnych narodowości, w wieku od 16 do 19 lat, najczęściej córki bogatych rodziców z całego świata – opisywał jego biograf, John Parker. – Stał się czymś w rodzaju

---

324 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 180.

sekretnej atrakcji wśród uczennic, a wizyty u niego – ekscytującymi wyprawami”**[325]**.

Spotkania te odbywały się według ustalonego schematu. Najczęściej umawiał się z wybraną dziewczyną i podjeżdżał pod internat, a po zarządzeniu ciszy nocnej uczennica dyskretnie wymykała się z budynku do jego samochodu. Przed świtem, po wspólnie spędzonej nocy, Roman odwoził ją, dzięki czemu dziewczyna mogła pojawić się na porannych zajęciach.

Nie zawsze jednak zadowalał się tylko jedną partnerką i czasami urządzał spotkania grupowe.

„To rozgłos Polańskiego kusił dziewczyny – kontynuował Parker. – Sześć lub więcej stało się jego stałymi towarzyszkami. Bywały w jego domu czasem wszystkie naraz, czasem po dwie lub pojedynczo”**[326]**.

Wszystko to mogło być sposobem zagłuszania dręczących go koszmarów, zdarzyło się bowiem, że podczas kolacji w towarzystwie jednego z przyjaciół… wybuchnął płaczem. Gdy wreszcie się uspokoił, przeprosił za swoje zachowanie, wyjaśniając, że właśnie tego dnia Sharon skończyłaby dwadzieścia siedem lat.

Inna sprawa, że zawsze miał duże potrzeby erotyczne i teraz zaspokajał je bez żadnych ograniczeń. Fascynował wiele kobiet i raczej nie miał problemu z zaciągnięciem ich do łóżka.

Jedziemy rollsem Romka i zatrzymujemy się na czerwonym świetle, patrzymy, a tu na rogu stoi ładna dziewczyna – wspominał krytyk i scenarzysta,

---

325 *Ibidem*, s. 188.
326 *Ibidem*, s. 188-189.

Kenneth Tynan. – Polański bez wahania opuszcza szybę i mówi: »Hej, panienko, masz piękny tyłek. Wybierasz się dokądś?« I… dziewczyna ląduje na tylnym siedzeniu samochodu”**[327]**.

Zdecydowanie gorzej przedstawiały się natomiast sprawy zawodowe. Na nakręcenie filmu w USA nie miał żadnych szans, a zresztą nie uśmiechała mu się wizja wyjazdu za ocean. W Europie również nie było chętnych do zatrudnienia go, chociaż tutaj nie rozpatrywano masakry przy Cielo Drive w kategoriach winy reżysera. Uważano zapewne, że Polański nie doszedł jeszcze do siebie po tragedii i nikt nie chciał inwestować kapitału w niepewny interes. I faktycznie coś chyba było na rzeczy, bo kiedy wrócił za kamerę, jego wersja *Makbeta* została zmasakrowana przez krytykę. Widzowie natomiast zaśmiewali się do łez, gdy na początku projekcji na ekranie pojawiała się informacja, że jest to produkcja „Playboya”, film finansował bowiem Lownes. W efekcie obraz cieszył się popularnością tylko na Wyspach, gdzie wszelkie ekranizacje Szekspira traktowane są z dużą powagą.

Nie zrobił międzynarodowej kariery również jego następny film *Co?* – wyreżyserowana we Włoszech, niezbyt przyzwoita komedia erotyczna. Nie pomógł udział Marcella Mastroianniego ani opieka producencka Carla Pontiego – obraz spodobał się tylko w Italii, gdzie odniósł nawet znaczny sukces finansowy. Reżysera nie mogła też zachwycić informacja, że w USA dystrybutorzy skierowali ten film do kin pornograficznych, zmieniając przy tym jego tytuł na *Zakazane sny Romana Polańskiego*.

---

327 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 192.

POWRÓT NA SZCZYT

Tymczasem okazało się, że w amerykańskiej „fabryce snów" jeszcze o nim nie zapomniano. Zdobywający coraz większą popularność Jack Nicholson od lat przyjaźnił się z Polańskim, ale dopiero w 1972 roku trafił na scenariusz, który uznał za odpowiedni dla niego. Zdołał przekonać do projektu Roberta Evansa, który zaprosił Polaka do Hollywood. Wspólnie zmusili autora scenariusza, Roberta Towne'a, do wyrażenia zgody na daleko idące ingerencje w tekst, co okazało się zbawiennym posunięciem. Polański znacznie skrócił oryginał, inaczej też rozłożył akcenty, dzięki czemu *Chinatown* stał się jednym z najważniejszych filmów lat siedemdziesiątych. Wprawdzie scenarzysta do końca uważał, że Roman „zmasakrował najlepszy tekst, jaki w życiu napisał", ale Polański miał poparcie Evansa i Nicholsona i otrzymał wolną rękę przy dokonywaniu zmian.

Reżyser nie był jednak specjalnie zachwycony swoim powrotem do USA. Upływ czasu niewiele zmienił jego obraz w oczach miejscowej opinii publicznej, która wciąż skazywała go „na moralną banicję za to, że zamordowano mu żonę". Wiedział jednak, że sukces filmu może przywrócić mu pozycję, jaką miał w czasach *Dziecka Rosemary,* a poza tym sytuacja finansowa nie pozwalała mu na odrzucenie oferty Paramount.

Główną rolę męską objął Nicholson, natomiast w postać Evelyn Mulwray wcieliła się Faye Dunaway. Tę ostatnią wybrał sam Polański, chociaż Evans ostrzegał go przed trudnym charakterem aktorki. A kiedy na planie spotykają się dwa trudne charaktery, eksplozja jest tylko kwestią czasu. Do największej awantury z Faye doszło wtedy, gdy Polański

niespodziewanie wyrwał jej niesforny włos, z którym nie potrafili się uporać fryzjerzy. Asystent reżysera, Howard Koch, natychmiast zarządził przerwę obiadową, by w ten sposób zapobiec wybuchowi, ale się nie udało.

„Faye, która potrafiła kląć jak szewc, wpadła w prawdziwą pasję – opowiadał Polański. – »Nie, tego już za wiele – zawyła. – Ten skurwysyn wyrywa mi włosy!« Omal nie ogłuchliśmy od jej histerycznych wrzasków i wyzwisk, ale był to dopiero początek. Po obiedzie dała znać, że nie zamierza wrócić na plan”**[328]**.

Wprawdzie Evans zmusił ją do powrotu, ale nie był to koniec problemów. Dunaway w dalszym ciągu nie mogła znaleźć wspólnego języka z Polańskim, a później skarżyła się, że reżyser nie prowadził jej na planie i że kiedy go pytała o motywacje kreowanej postaci, odpowiadał jej, że „forsa, jaką dostaje, powinna ją wystarczająco zmotywować”.

„Ten mały gnojek – narzekała – nigdy nie chciał ze mną rozmawiać o roli. Cały czas powtarzał: »graj tak, jak czujesz«. Niczego nie wyjaśniał i nie dawał żadnych wskazówek [...]. To co miałam robić? Czytać w jego myślach?”**[329]**.

Na szczęście współpraca z Nicholsonem przebiegała bezproblemowo, chociaż i on uchodził za aktora „trudnego”. Z Romanem łączyły go jednak więzy przyjaźni, a poza tym obaj byli profesjonalistami. Po godzinach pracy spędzali wspólnie dużo czasu, palili trawkę, często też urządzali sobie alkoholowo-erotyczne eskapady.

---

328 R. Polański, op. *cit*, s. 289.

329 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 211–212.

Rankami pojawiali się na planie w ciemnych okularach, ale Nicholson zawsze miał opanowany tekst, a Polański – swoją wizję pracy. Reszty dokonywali wizażyści, co było o tyle łatwe, że obaj panowie regenerowali się w zadziwiającym tempie.

„Takie jest życie – tłumaczył Nicholson – ludzie wychodzą wieczorami pohulać, czasem mają oczy nabiegłe krwią, a czasem worki pod nimi, no i co z tego?”**[330]**.

Jednak pod koniec zdjęć i między nimi doszło do awantury, gdy Jack był tak zaabsorbowany transmisją telewizyjną meczu NBA pomiędzy Los Angeles Lakers i New York Knikcs, że nie udało się dokończyć kręcenia ważnej sceny.

„Złapałem ciężką szczotkę i pognałem do garderoby – relacjonował Polański – chciałem roztrzaskać mu telewizor. Przyczepa był tak mała, że nie mogłem dobrze się zamachnąć. Odbiornik zgasł, ale bez efektownej implozji, na którą liczyłem. Tłukłem więc nadal w aparat, chcąc rozbić go na kawałki. »Wiesz, co ty jesteś? – wrzeszczałem waląc szczotką. – Jesteś kawał chuja!«.

Potem zebrałem resztki odbiornika i wyrzuciłem je z przyczepy. Na twarzy Howarda Kocha zauważyłem grymas boleści; okazało się później, że telewizor był jego własnością”**[331]**.

Nicholson natychmiast opuścił plan zdjęciowy, a Polański poszedł w jego ślady. Panowie, siedząc w swoich samochodach, spotkali się przypadkowo na jednym ze skrzyżowań i reżyser odczytał z ruchu warg, że Jack mówi: „pieprzony Polaczek”. To

---

330 Za: *ibidem*, s. 212.

331 R. Polański, op. *cit*, s. 291.

wystarczyło, aby obaj zaczęli się śmiać i zakopali topór wojenny.

Chinatown, jako jeden z nielicznych filmów Polańskiego, został ukończony na kilka dni przed terminem. Jego premiera była oszołamiającym sukcesem, za którym przyszły ogromne wpływy kasowe z całego świata. Film nominowano do Oscara aż w jedenastu kategoriach, w tym także za reżyserię. Jednak Polański znowu nie miał szczęścia – kiedyś przegrał z Fellinim, a teraz na drodze stanął mu Francis Ford Coppola i jego *Ojciec chrzestny II*. Film Coppoli także zebrał jedenaście nominacji i ostatecznie otrzymał sześć statuetek, natomiast *Chinatown* uznano za najbardziej przegraną produkcję roku. Obraz otrzymał tylko jednego Oscara, a wręczono go scenarzyście, Robertowi Towne'owi, co zapewne ukoiło jego żal po reżyserskich ingerencjach w tekst.

Mimo to Polański chyba nie mógł narzekać, bo jego dzieło ponownie wywindowało go na szczyty światowej kinematografii. Reżyser udowodnił, że potrafi zrobić komercyjny film o ambicjach artystycznych, co zawsze było domeną największych twórców. Humor zepsuły mu jednak medialne wypowiedzi Evansa, który sugerował, że Polański bez nieustannej kontroli nie potrafi nakręcić dobrego filmu. Amerykanin zauważył nawet, że „trzeba mieć odwagę, żeby być producentem filmów Polańskiego", i że reżyser na szczęście „w końcu zorientował się", kto ma rację. Ton ten natychmiast podchwycili krytycy, sugerując, że Polański wprawdzie jest zdolnym reżyserem, ale pozostawiony samemu sobie potrafi zniszczyć każdy film.

„Udowodnił, że przy odpowiednim materiale i producencie zdolnym do okiełzania jego ekscesów i

tendencji do pretensjonalności potrafi dać wspaniałe dzieło" – stwierdził Rex Reed na łamach „New York Daily News"**[332]**.

Wydaje się jednak, że wbrew wszystkim zastrzeżeniom i uszczypliwościom o skali talentu i sukcesu Polańskiego najlepiej świadczyła opinia Toma Burke'a, który w „Rolling Stone" ogłosił, że można już zapomnieć o Hitchcocku, skoro jest Polański"**[333]**.

NASTASSJA

Amerykańskie wytwórnie filmowe prowadziły czasem dość niezrozumiałą politykę. Wprawdzie Polański po latach wspominał, że po sukcesie *Chinatown* był wręcz rozrywany, ale tak naprawdę nie dostał żadnej satysfakcjonującej oferty. Poza tym chwilowo miał dość swojej tradycyjnej tematyki i marzył o filmie przygodowym o piratach. Przygotował nawet scenariusz, ale Paramount odstraszyły koszty tego przedsięwzięcia, a przedstawiciele United Artists zażądali gwarancji na wypadek przekroczenia terminarza i budżetu. W tej sytuacji zniechęcony Polański poleciał do Europy, gdzie na festiwalu w Spoleto wyreżyserował operę Albana Berga *Lulu,* a następnie wraz z Brachem napisał scenariusz oparty na *Chimerycznym lokatorze* Rolanda Topora. Polański znał osobiście autora, a gdy dowiedział się, że Paramount ma prawa do sfilmowania powieści, sprawy nabrały tempa. Szefowie wytwórni zaakceptowali scenariusz i

---

332 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 213.

333 Chinatown, „Guardian", 09.09.1974 (tłum. G. Koper).

wyznaczyli wysoki budżet, zgadzając się również na to, by Polański zagrał główną rolę.

Swoboda finansowa pozwoliła na zaangażowanie gwiazd, które reżyser – zgodnie ze swoim zwyczajem – zamęczał dziesiątkami dubli.

„Podczas mojej wizyty – relacjonował jeden z dziennikarzy – kręcił właśnie scenę z Isabelle Adjani i potrzebował 24 czy 25 ujęć, aby być wreszcie zadowolony. Następnego dnia jednakże nie był już tak zadowolony i ponownie kręcono tę scenę 12 czy 15 razy”**[334]**.

Niestety, film zebrał fatalne recenzje, a jeszcze gorzej było z jego oglądalnością. Najbardziej raziły braki warsztatowe w scenach z samym Polańskim, co nie powinno specjalnie dziwić, gdyż tylko nielicznym udało się pogodzić obowiązki reżysera z kreowaniem głównej roli, a należeli do nich Orson Welles i Laurence Olivier. Roman znakomicie sprawdzał się jako aktor, ale tylko wówczas, gdy ktoś inny reżyserował. Wprawdzie czasami grywał epizody we własnych filmach, np. w *Chinatown*, ale gdy objął główną rolę, to zbyt często brakowało go po drugiej stronie kamery. Być może nie miał też wystarczającej dozy krytycyzmu wobec siebie samego.

Słaba frekwencja przełożyła się na niewielkie zyski i zdegustowany Polański przyjął ofertę wyreżyserowania w Monachium *Rigoletta* Giuseppe Verdiego. W Bawarii spędził trzy miesiące, tam też spotkał kolejną ważną kobietę swojego życia.

Początek był typowy dla Polańskiego. W nocnym klubie, czy też w restauracji, poznał dwie dziewczyny. Pierwsza z nich miała siedemnaście lat, a druga piętnaście, a więc obie były w wieku

---

334 Za: J. Parker, op. *cit.*, s. 219.

najbardziej go interesującym. Trafili do łóżka, po czym Roman zaczął się na zmianę z nimi spotykać.

„Nigdy więcej nie powtórzyliśmy tego doświadczenia we trójkę – przyznawał reżyser – choć nie przestałem spotykać się z obiema dziewczynami. Z blondynką widywałem się regularnie przez parę tygodni, ale coraz bardziej urzekała mnie Nasty. Miała zły makijaż, niedobrą fryzurę i nie potrafiła się ubrać […]. Jednak pewnego dnia, kiedy siedzieliśmy naprzeciw siebie w monachijskiej piwiarni, zacząłem przyglądać się uważnie jej twarzy i dokonałem odkrycia: uroda Nastassji Kinski była doprawdy jedyna w swoim rodzaju”**[335]**.

Polański miał wówczas czterdzieści trzy lata i od dawna nie był już zainteresowany nawiązywaniem więzi intelektualnych z partnerkami. Traktował je przedmiotowo i wcale tego nie ukrywał.

„[…] omamia je i podporządkowuje sobie swym łobuzerskim urokiem – tłumaczył Kenneth Tynan – ale jeśli, przypuśćmy, zaangażują się one w dyskusję z nim, staje się znudzony i rozdrażniony. A ruchy feministyczne, nawet sama wzmianka o nich, doprowadzały go do wściekłości”**[336]**.

Z Nastassją było jednak inaczej, toteż niemal natychmiast zaproponował jej wyjazd do Londynu w celu nauki angielskiego i aktorstwa. Plany zaaprobowała matka dziewczyny, stawiając jednak warunek, że będzie jej towarzyszyła. Trudno powiedzieć, czy zdawała sobie sprawę z tego, że jej córka została już kochanką reżysera, ale przecież znała jego reputację i zapewne wiedziała, czego można się po nim spodziewać.

---

335 R. Polański, op. *cit.*, s. 303.
336 Za: J. Parker, op. *cit.*, s. 191.

Nastassja była córką znanego niemieckiego aktora, Klausa Kinskiego, który opuścił rodzinę, gdy córka miała dziesięć lat. Zdążyła już zadebiutować w filmie, jednak dopiero poznanie Polańskiego zupełnie odmieniło jej życie. Reżyser wydawał się nią zauroczony, zabrał ją ze sobą na Seszele, gdzie oboje wzięli udział w sesji zdjęciowej dla francuskiej wersji miesięcznika „Vogue". Większość świątecznego numeru poświęcono Polańskiemu, a podobny zaszczyt spotkał wcześniej tylko Federica Felliniego, Marlenę Dietrich i Alfreda Hitchcocka. Najwyraźniej klęska *Lokatora* nie zachwiała pozycji artystycznej Polańskiego.

Stolicą światowego kina był jednak Hollywood, więc reżyser powoli oswajał się z myślą o powrocie do USA. Nie planował jednak rozstania z Nastassją i zaproponował jej studia w prestiżowym Actors Studio Lee Strasberga. Dzięki jego protekcji – i w zamian za obietnicę wygłoszenia kilku wykładów – dziewczyna została przyjęta, dostała także stypendium, a w podróży za ocean ponownie towarzyszyła jej matka. Wszystko finansował oczywiście Polański.

Do niego również uśmiechnęło się szczęście. W tych dniach podpisał lukratywny kontrakt z Columbia Pictures na realizację *Pierwszego grzechu śmiertelnego* według powieści Lawrence'a Sandersa. Zdecydował się także na podjęcie starań o kartę stałego pobytu, bo chociaż miał już wtedy obywatelstwo francuskie, to postanowił ponownie osiąść w Hollywood. Wszystkie te plany runęły jednak kilka tygodni później, a przyczyną katastrofy było upodobanie Polańskiego do nieletnich dziewczyn.

10 MARCA 1977, LOS ANGELES

„Gdybym kogoś zabił – zwierzał się Polański trzy lata później – nie zrobiłoby to takiego szumu w prasie. Ale pieprzenie… i to pieprzenie młodych dziewczyn… Sędziowie chcą pieprzyć młode dziewczyny, przysięgli chcą pieprzyć młode dziewczyny, każdy chce pieprzyć młode dziewczyny! Wtedy zrozumiałem, że zrobi się z tego duży problem”**[337]**.

Do dzisiaj nie ustalono rzeczywistego przebiegu wypadków, a relacje bezpośrednich uczestników znacznie różnią się od siebie. Nie wyjaśniono również intencji i przyczyn postępowania sędziego Rittenbanda, który prowadził rozprawę przeciwko reżyserowi. Pojawiały się nawet uzasadnione podejrzenia, że sędzia nie był całkowicie bezstronny, co podważało legalność procesu i wielu decyzji amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Jedno jest jednak pewne – był to krytyczny moment w życiu i karierze Polańskiego.

Według reżysera przyczyną całego nieszczęścia był świąteczny numer „Vogue'a”. Polański cieszył się tak wielką popularnością, że niebawem dostał ofertę od „Vogue Hommes” – mutacji magazynu skierowanej do męskiego czytelnika. Zaproponowano mu wykonanie serii zdjęć młodych dziewcząt pochodzących z różnych krajów, co przyjął z dużym zainteresowaniem. Od dawna interesował się fotografią, był znawcą i wielbicielem płci pięknej (szczególnie nieletnich dziewcząt), idealnie zatem nadawał się do wykonania zlecenia. Być może dlatego zaaprobowano jego zamysł, aby przedstawić dziewczęta „tak, jak naprawdę wyglądają: seksowne,

---

337 Za: *Historia prawdziwa. #15, Roman Polański,* https://www.youtube.com/watch?v=At-t_oDJ6UY

zuchwałe i na wskroś ludzkie". Nie podpisano z nim jeszcze umowy, co jednak nie było niczym szczególnym w praktyce francuskiego pisma, bo w przypadku świątecznego numeru „Vogue'a" sprawę sformalizowano dopiero wtedy, gdy miesięcznik był już w sprzedaży.

„Był przyjacielem chłopaka mojej siostry – zeznawała Samantha Gailey. – Szukał dziewczyn do zdjęć. Pozowałam i grałam, chciałam wejść do branży. To była wspaniała okazja. Od razu się zapisałyśmy. Fotografował mnie Roman Polański, brzmi świetnie"**[338]**.

Samantha mieszkała na obrzeżach Los Angeles, a Roman poznał kiedyś jej matkę, niespełnioną aktorkę, która wciąż nie pozbyła się marzeń o karierze. Jej partner był dziennikarzem niewielkiej, lokalnej gazety, marzącym o wywiadach z gwiazdami z Jackiem Nicholsonem na czele. Natomiast Samantha pragnęła zostać modelką i aktorką, dlatego cała rodzina z entuzjazmem przyjęła telefon od Polańskiego i zaprosiła go do swojego domu.

Pojawił się tam przygotowany do sesji fotograficznej i jeszcze tego samego dnia wykonał dziewczynie pierwsze zdjęcia. Poszli w plener, nikt im nie towarzyszył, matka bez wahania oddała trzynastoletnią córkę pod opiekę reżysera.

„Poprosiłem, żeby się przebrała – relacjonował Polański. – Zdjęła bluzkę, wybrała inną. Choć nie miała na sobie stanika, nie zauważyłem w jej zachowaniu śladu skrępowania. Miała ładne piersi"**[339]**.

---

338 Za: *Roman Polański, ścigany...*
339 R. Polański, op. *cit.*, s. 311.

Do następnego spotkania doszło trzy tygodnie później. Roman ponownie zabrał Samanthę w plener, a sesję zakończyli w domu Jacka Nicholsona. Aktor co prawda był na nartach w Aspen, ale Roman już wcześniej wielokrotnie korzystał z jego rezydencji. Nie spodziewał się zastać tam kogokolwiek, bo partnerka Nicholsona, Anjelica Huston, właśnie się z nim rozstała i była w trakcie przeprowadzki.

Dalej relacje są sprzeczne. Polański twierdził, że poczęstował dziewczynę szampanem, po czym zrobił jej serię półnagich zdjęć w jacuzzi i basenie, a następnie Samantha mu się oddała. Podobno „nie miała zahamowań, a jej doświadczenie nie budziło wątpliwości". Poza tym przyznała się, że po raz pierwszy uprawiała seks w wieku ośmiu lat (!!!), a obecnie regularnie współżyje ze swoim chłopakiem. Natomiast dziewczyna zeznała, że Polański poczęstował ją nie tylko szampanem, ale także dał jej tabletkę *quaalude* (metakwalonu), popularnego wówczas narkotyku, który w połączeniu z alkoholem działał rozluźniające i znosił blokady psychiczne.

Polański odbył z Samanthą stosunek dopochwowy i analny, ale w pewnym momencie do rezydencji przyjechała Anjelica Huston. Reżyser chwilę z nią porozmawiał i przedstawił jej swoją towarzyszkę, jednak aktorka nie zwróciła na nią szczególnej uwagi, bo najwyraźniej była już przyzwyczajona do młodocianych kochanek Polańskiego.

Roman odwiózł Samanthę do domu, a żegnając się z nią, obiecał, że zadzwoni, aby umówić się na następne spotkanie. Nigdy jednak do tego nie doszło, gdyż następnego dnia został aresztowany pod zarzutem gwałtu na nieletniej.

KONSEKWENCJE

Polański szybko przekonał się, że sprawa jest bardzo poważna i może zakończyć się całkowitą katastrofą:

„[…] oto z powodu chwili beztroskiego zapomnienia ryzykowałem utratę wolności, przekreślałem swoją przyszłość w kraju, który tyle dla mnie znaczył. Chwilami mówiłem sobie, że to nieprawda, to tylko zły sen. Ale to nie był sen. Ogromne nagłówki w gazetach, wyraźna zmiana w nastawieniu wielu moich przyjaciół, nagła rezygnacja Columbii z projektu *The First Deadly Sin* [*Pierwszego grzechu śmiertelnego* – S.K.], wreszcie lakoniczna odmowa towarzystwa ubezpieczeniowego przedłużenia polisy na mój londyński dom – wszystko to, i jeszcze więcej, świadczyło o moim rzeczywistym losie”**[340]**.

Wprawdzie reżyser został zwolniony za kaucją, ale wreszcie zaczęło do niego docierać, że w konsekwencji oskarżenia nie tylko straci pozycję zawodową w USA, ale być może spędzi też wiele lat w więzieniu.

Sytuacja wymagała dużych nakładów pieniężnych – prawnicy są zawsze kosztowni – a po zerwaniu umowy przez Columbię był dosłownie bez grosza. Na szczęście dostał ofertę od producenta Dino De Laurentiisa, który planował ekranizację powieści Charlesa Nordhoffa i Jamesa Normana Halla, *Huragan*. Producent zaoferował aż milion dolarów honorarium (około 4 milionów euro) za scenariusz i reżyserię, a to oznaczało, że przynajmniej jeden problem został rozwiązany.

---

340 R. Polański, op. *cit.*, s. 326.

„To była szmira – przyznawał scenarzysta, Lorenzo Semple Jr. – Poławiacze pereł osiadają na gigantycznej małży. Roman gardził takimi scenariuszami. To nie była jego półka. Tak się jednak złożyło, że nikt inny nie chciał go zatrudnić. De Laurentiis dostrzegł szansę pozyskania znanego reżysera, którego w innych okolicznościach nie zainteresowałby taki projekt. To był prawdziwy sukces, wykorzystaliśmy jego sytuację”**[341]**.

Polańskiego przed wymiarem sprawiedliwości reprezentował Doug Dalton, uważany za zdolnego i skutecznego prawnika. Mówiono, że „miał w sobie coś z Lincolna”, był „godny, powściągliwy w gestach”, nigdy też „nie podnosił głosu na sali sądowej”. Otaczała go sława „mistrza negocjacji”, a zatrudnienie go przez Polańskiego było czytelnym sygnałem, że „strony wynegocjują ugodę”.

Dalton początkowo zamierzał zaprzeczyć, że reżyser miał z Samanthą stosunki płciowe. Wprawdzie obdukcja potwierdziła zbliżenie erotyczne, ale lekarze nie stwierdzili śladów gwałtu. Ta linia obrony szybko jednak upadła, gdy jako dowód pojawiła się bielizna dziewczyny ze śladami spermy Romana. Badania laboratoryjne wykazały, że faktycznie było to nasienie Polańskiego.

Niepokój obrońcy budziła także osoba sędziego wyznaczonego do sprawy. Laurence James Rittenband wcześniej prowadził postępowanie o ustalenie ojcostwa Gary’ego Granta i sprawę rozwodową Presleyów, orzekał też w kwestii aresztowania Marlona Brando. Nigdy się nie spieszył, rozprawy przez niego prowadzone „ciągnęły się w

---

341 Za: *Roman Polański, ścigany…*

nieskończoność", a do tego lubił być na pierwszym planie.

„Rittenband uchodził za nieugiętego – oceniał Steve Barshop, emerytowany prokurator rejonowy. – Był surowym sędzią. Brak ugody, czy choćby widoków na nią, oznaczał kłopoty. Nie znam sędziego, który lubiłby rozgłos jak Rittenband. Jego podwładny musiał założyć teczkę z wycinkami prasowymi. Każdy artykuł na temat Rittenbanda lądował w teczce. Trzymano ją w sądzie, pewnie w biurku. Czasami była prezentowana"**[342]**.

Prokuratura nie mogła i nie chciała dopuścić do przesłuchania Samanthy podczas rozprawy. Media poznały już jej personalia, a w prasie europejskiej pojawiły się nawet jej zdjęcia wykonane teleobiektywem. Agencje prasowe instalowały łącza telefoniczne w budynku sądowym, zapowiadał się medialny show, jakiego Ameryka jeszcze nie widziała. W tej sytuacji postanowiono ochronić prywatność dziewczyny, tym bardziej że prokurator Gunson doskonale wiedział, iż na sali sądowej łatwo będzie wykazać niespójność jej zeznań.

„Jeżeli tylko znajdzie się w krzyżowym ogniu pytań – mówił Polańskiemu jeden z prawników – nie będzie sposobu, żeby pana skazać, nawet gdyby stawiła się z warkoczykami, w białych podkolanówkach i z lalką pod pachą"**[343]**.

Reżyser starał się oderwać myśli od procesu, pracując nad scenariuszem. Za zgodą sądu podróżował nawet po świecie, żeby oglądać przyszłe miejsca zdjęć. Wiedział jednak, że jest śledzony przez

---

342 Za: *ibidem*.

343 R. Polański, op. *cit.*, s. 328.

prasę, i zamierzał nie dawać podstaw do kolejnych oskarżeń o niemoralny tryb życia.

Na fali zainteresowania postępowaniem sądowym pewien przedsiębiorczy biznesmen zorganizował pokaz filmów Polańskiego. Dzięki temu prokurator mógł się zapoznać z twórczością człowieka, którego oskarżał, po czym przyznał, że filmy polskiego reżysera dały mu dużo materiału do przemyśleń.

Tymczasem Dalton zaproponował ugodę, uznając, że to jedyna szansa dla jego klienta. Była to normalna amerykańska metoda na uniknięcie długiego i kosztownego procesu, którego wynik był trudny do przewidzenia. Wprawdzie prokuratura z reguły wymagała, aby „oskarżony przyznał się do najpoważniejszego zarzutu", ale hałas medialny spowodował, że oskarżyciel zmienił zdanie.

„Przyjęliśmy, że to był bezprawny stosunek płciowy – opowiadał Roger Gunson. – Najlżejszy zarzut odnoszący się do gwałtu. Ugoda zakładała, że Polański przyzna się do jednego zarzutu i że wymiar kary będzie zależny od raportów kuratora"**[344]**.

Problem jednak stanowił fakt, że nie było dokładnej wykładni prawnej na temat wysokości kary za „bezprawny stosunek" z nieletnią. W zależności od kaprysu sędziego można było trafić do więzienia stanowego „na pół roku albo pół wieku".

„Byłam młoda – wspominała Samantha – ale czułam, że sędziego interesował rozgłos, a mnie i Polańskiego miał w nosie. Reżyserował mały show, w którym nie chciałam uczestniczyć"**[345]**.

---

344 Za: *Roman Polański, ścigany...*
345 Za: *ibidem*.

Polański przyznał się do „odbycia stosunku z kobietą, która nie była jego żoną i nie ukończyła osiemnastu lat". Potwierdził także, że wiedział, iż dziewczyna miała trzynaście lat. Sędzia Rittenband zaakceptował ugodę i skierował Polańskiego na badania psychiatryczne, a wyrok miał zapaść po „orzeczeniu seksualnych zaburzeń reżysera".

Polański był dobrym aktorem i wywarł pozytywne wrażenie na badających go lekarzach. Według ich opinii nie stwarzał zagrożenia i nie powinien trafić do kliniki psychiatrycznej.

„To sympatyczny, nieco powściągliwy facet – wspominał psychiatra, Ronald Markman. – Rozmowa z nim była bardzo bezpośrednia, bagaż doświadczeń Polańskiego wystarczyłby dla tuzina ludzi. Dzieciństwo, zagubienie... w końcu udało mu się stworzyć stabilny związek, który stracił w mgnieniu oka. Po tym miał trudności w związkach z kobietami, był bardzo niezdecydowany. Może ze strachu. Moja opinia zgadzała się z zaleceniami wydziału resocjalizacji. Nie skupiałem się na tym, czy powinien iść do więzienia. Interesowała mnie strona psychiczna – Polański nie kwalifikował się jako chory z zaburzeniami seksualnymi"**[346]**.

Sytuacja rozwijała się pomyślnie dla reżysera, a zalecaną karą był dozór sądowy. Sędzia Rittenband miał jednak własną wizję sprawy, toteż wezwał do siebie prokuratura i obrońcę. Wyjaśnił, że nie zamierza brać pod uwagę zaleceń lekarzy, i zdecydował się wysłać Polańskiego do więzienia Chino na badania diagnostyczne. Obaj prawnicy zaprotestowali, a prokurator przypomniał nawet, że

---

346 Za: *ibidem*.

prawo zabrania traktowania badań diagnostycznych jako kary.

Natomiast obrońca dowodził, że Polański pracuje nad ważnym filmem i przerwa może spowodować utratę zatrudnienia dla wielu ludzi. Rittenband jednak przytomnie zauważył, że reżyser podpisał umowę już po postawieniu mu zarzutów, zalecił jednak wystąpić o dziewięćdziesięciodniowe odroczenie pobytu w więzieniu. Na uwagę Daltona, że to zbyt krótko, zapowiedział, że zgodzi się na każde kolejne odroczenie po to, by reżyser mógł dokończyć pracę.

Niestety, Polański popełnił brzemienny w skutkach błąd. W sprawach zawodowych poleciał do Monachium i dał się sfotografować w mało korzystnych – z punktu widzenia procesu – okolicznościach.

„Zadzwonił, że jest w Monachium, i poprosił o spotkanie – opowiadał jego przyjaciel, Hans Mollinger. – Poszliśmy wieczorem na Oktoberfest. Roman był niechętny, ale powiedziałem mu, że widok jest niewiarygodny. Dziesięć tysięcy ludzi siedzi w namiocie i pije. Dobrze – powiedział – pójdę. Poszliśmy do specjalnego boksu, była moja dziewczyna i dwie znajome”**[347]**.

W chwili, gdy rozbawiony Roman siedział za stołem wyłącznie w otoczeniu kobiet, zrobiono mu zdjęcie, które opublikowała prasa. Niebawem leżało ono na biurku sędziego Rittenbanda, który poczuł się ośmieszony.

„Chciał, żeby Polański wrócił do kraju i poszedł do więzienia – wyjaśniał Gunson. – To zdjęcie kompromitowało sędziego. Polański powinien być

---

347 Za: *ibidem*.

czujny i skupiony na pracy. To zdjęcie dowodziło, że nie był”**[348]**.

Roman został wezwany do Kalifornii i stawił się przed obliczem sędziego. Wyjaśnił, że zdjęcie jest fotomontażem, ale do Rittenbanda nie trafiało żadne tłumaczenie. Wysłał reżysera do więzienia w Chino na dziewięćdziesiąt dni.

Polański miał duże obawy przed pobytem w zakładzie karnym, gdyż – jak powszechnie wiadomo – los gwałcicieli dzieci jest tam z reguły godny pożałowania. Obawy okazały się na szczęście niesłuszne, bo pobyt w więzieniu nie był aż taki straszny. Siedział w izolatce, ale nie chciał pozostawać tylko ze swoimi myślami.

„Narzuciłem sobie rozkład dnia, który pozwolił mi na prowadzenie aktywnego życia – wspominał. – Zgłaszałem się na ochotnika do sprzątania korytarzy i świetlicy. Nabrałem dużej wprawy w posługiwaniu się miotłą i szczotką ryżową. Pracowałem od rana, po śniadaniu, a potem wieczorem, kiedy inni już wracali do cel”**[349]**.

Został zwolniony po czterdziestu dwóch dniach, a psychiatrzy więzienni potwierdzili orzeczenie swoich cywilnych kolegów. Sędzia uznał jednak, że ma wrócić do zakładu karnego na pozostałe czterdzieści osiem dni, a w rozmowie z prokuratorem i obrońcą zapowiedział, że „i tak go skaże”. W prywatnych rozmowach natomiast mówił, że wyśle „tego Polaczka do więzienia do końca życia”.

W tej sytuacji Dino De Laurentiis musiał odebrać Polańskiemu funkcję scenarzysty i reżysera przy *Huraganie*. Zresztą Roman był już autentycznie

---

348 Za: *ibidem*.

349 R. Polański, op. *cit.*, s. 337.

skończony w Hollywood. Nawet jeden z najbardziej popularnych dowcipów krążących wówczas po USA nawiązywał do jego sprawy i premiery nowego filmu Stevena Spielberga. Podobno Polański miał w więzieniu pisać scenariusz swojego nowego dzieła, a miały to być *Bliskie spotkania z III A*.

Reżyser wiedział, że nie wyjdzie ze sprawy z wyrokiem w zawieszeniu, wobec tego wziął sprawy we własne ręce. Korzystając z tego, że oficjalnie nie cofnięto mu jeszcze zgody na podróżowanie poza granice USA, pożyczył tysiąc dolarów, odleciał do Londynu i od tej pory w Stanach Zjednoczonych już się nie pojawił.

Wkrótce po jego odlocie Dalton wystąpił o odsunięcie sędziego od rozprawy. Wniosek motywował tym, że Rittenband „kieruje się uprzedzeniami, które uniemożliwiają sprawiedliwy proces czy przesłuchanie". Prokurator zgodził się na to (!!!), a nowo wyznaczony sędzia, Paul Breckinridge „dał jasno do zrozumienia, że tak długo jak Polański będzie poza Los Angeles, nie zrobi nic".

Chociaż reżyser uniknął więzienia, to sprawa do dzisiaj nie została zakończona. Przez wiele lat mógł przebywać wyłącznie na terenie Francji, Szwajcarii lub krajów bloku wschodniego, gdzie nie obowiązywała umowa ekstradycyjna z USA. Później obszar ten został ograniczony do Polski, Francji i Szwajcarii. Francuzi z reguły nie wydają swoich obywateli, a poza tym umowa ekstradycyjna obejmowała sprawców gwałtu, podczas gdy Polański był oskarżony o... „bezprawny stosunek". Trochę gorzej wyglądała jego sprawa w Szwajcarii, chociaż od lat miał tam dom, w którym regularnie przebywał. Tymczasem we wrześniu 2009 roku został zatrzymany na lotnisku w Zurychu i osadzony w

areszcie domowym, a podstawą tych działań był amerykański nakaz aresztowania. Kilka miesięcy później został zwolniony decyzją miejscowego Ministerstwa Sprawiedliwości. Jeszcze bardziej dramatyczne były losy ewentualnej ekstradycji filmowca z terenu Polski. Chociaż w 2010 roku Prokuratura Generalna RP oceniła sprawę jako przedawnioną, a pięć lat później potwierdził to Sąd Okręgowy w Krakowie, to minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro złożył kasację do Sądu Najwyższego. Podczas rozprawy Polański przebywał w Polsce i zapewne wierzył w korzystne dla siebie rozstrzygnięcie, jednak niektórzy utrzymują, że na lotnisku w Balicach stał gotowy do startu samolot, którym odleciałby w przypadku niekorzystnego wyroku. Na szczęście nie musiał, gdyż Sąd Najwyższy potwierdził orzeczenie niższej instancji, a większość obserwatorów uznała, że cała sprawa została rozpętana w doraźnych celach politycznych.

Sędzia Laurence James Rittenband do końca był przekonany o słuszności swojego postępowania i nigdy nie przyznał się, że w imieniu hollywoodzkiego establishmentu chciał zrobić porządek z tym „małym, złym gnojkiem, który zawsze sprawiał kłopoty". Zmarł w grudniu 1993 roku w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat.

Samantha Gailey, obecnie Geimer, przez wiele lat twierdziła, że Polański zniszczył jej dzieciństwo. Wyszła za mąż, doczekała się trójki dzieci, mieszka na Hawajach. W latach dziewięćdziesiątych reżyser skontaktował się z nią i podobno wypłacił jej wysokie odszkodowanie – około pół miliona dolarów. Do dzisiaj pozostają w kontakcie mailowym, a Geimer wielokrotnie opowiadała się za darowaniem mu kary, zapewniając, że ona sama już dawno mu wybaczyła. Wiosną 2017 roku wystosowała list do sędziów w Los

Angeles, żądając, aby „prokuratorzy wyrazili zgodę na ujawnienie »istotnych dowodów«, dzięki którym reżyser mógłby wrócić do USA". Stwierdziła również, że władze sądownicze „nigdy nie chroniły jej osoby, traktowano ją z lekceważeniem", a przestępstwo popełnione przeciwko niej „używano na rzecz własnych karier"**[350]**.

Roman Polański do dzisiaj uważa, że w całej aferze był niewinny i padł ofiarą nagonki sprowokowanej przez hollywoodzkie elity, które chciały utrącić jego karierę i wykorzystały nieświadomą dziewczynę do swoich celów. Nigdy nie wykazał też nawet cienia skruchy.

TESS

]Wprawdzie reżyser miał w Londynie dom, ale po ucieczce z USA nie mógł w nim pozostać. Dlatego w stolicy Wielkiej Brytanii zatrzymał się na krótko, po czym udał się do Paryża, gdzie nie groziła mu ekstradycja.

Gdy przyzwyczaił się już do tłumów paparazzich czatujących na niego na każdym kroku, zaczął rozglądać się za możliwością zrobienia kolejnego filmu. Nie miał kompletnie pieniędzy i następna produkcja była dla niego życiową koniecznością.

Przypomniał sobie wówczas o książce, którą kiedyś zostawiła mu Sharon, gdy po raz ostatni

---

350 Ofiara Polańskiego napisała list, w którym oskarża prokuratorów. „Nigdy nie chroniliście mnie", http://telewizjarepublika.pl/ofiara-polanskiego-napisala-list-w-ktorym-oskarza-prokuratorow- nigdy-nie-chroniliscie-mnie,47715.html

wracała do Ameryki. Powieść Hardy'ego idealnie nadawała się na ekran, a Roman uważał, że Nastassja znakomicie sprawdzi się w tytułowej roli. Filmy kostiumowe są jednak na ogół znacznie droższe niż współczesne, a potencjalni sponsorzy nie byli zainteresowani współpracą z kimś, komu groziło wieloletnie więzienie.

Udało mu się jednak znaleźć odpowiedniego człowieka, a był nim producent i dystrybutor, Claude Berri. Wprawdzie Francuz wahał się przed podjęciem decyzji, ale Roman użył argumentu, który go ostatecznie przekonał. Tym argumentem była właśnie Nastassja.

„Pewnego wieczoru – wspominał producent – Polański przyprowadził ją do mnie, w minispódniczce i bluzeczce… Już wtedy wiedziałem, że się zgodzę. Czułem, że cały film opiera się przede wszystkim na odtwórczyni głównej roli. A to była ta osoba"**[351]**.

Polański przystąpił do pracy, ale wydatki rosły w zastraszającym tempie. Scenariusz wymagał pokazania angielskiej wsi, znaleziono więc odpowiednie plenery w… Normandii. Zachowanie autentyzmu wymagało jednak filmowania w osiemdziesięciu różnych lokalizacjach, a transport ekipy i sprzętu znacznie podnosił koszty. Poza tym produkcję prześladował ewidentny pech. Pogoda była wyjątkowo kapryśna, a raz nawet się zdarzyło, że przez kilka tygodni nie można było kręcić. Do tego doszedł jeszcze miesięczny strajk pracowników firmy obsługującej filmowców. A jakby tego było mało, w połowie realizacji zmarł nagle główny operator i cała produkcja stanęła pod znakiem zapytania.

---

351 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 247.

„Pomyślałem sobie — mówił Polański w jednym z wywiadów – że koniecznie trzeba pracować dalej. Była dziwaczna atmosfera, poczucie pustki, ale wiedziałem, że jeżeli się zatrzymamy, to potem w ogóle się już nie pozbieramy”**[352]**.

Ostatecznie film ukończono, ale sprawozdanie finansowe omal nie przyprawiło Berriego o atak serca. Polański przewidywał budżet na poziomie 7 milionów dolarów, a koszty przekroczyły 12 milionów. *Tess* okazała się najdroższym filmem, jaki dotychczas wyprodukowano we Francji, a był to dopiero początek złych wiadomości, brakowało bowiem chętnych do dystrybucji na świecie.

Pewien niemiecki krytyk nazwał ten obraz Polańskiego „filmem dokumentalnym o dziewiętnastowiecznym rolnictwie za dwanaście milionów dolarów”. Jeszcze gorzej wypowiadali się recenzenci w USA, zbulwersowani faktem, że Polański obsadził w głównej roli swoją młodą kochankę, a jednym z kluczowych elementów filmu jest scena gwałtu. Stwierdzono, że reżyser nie ma „na tyle przyzwoitości, by zrobić film wojenny, czy coś w tym stylu”, tylko uparł się dalej bulwersować opinię publiczną.

Nic zatem dziwnego, że gdy razem z Nastassją pojawił się na festiwalu w Cannes, nikt nie pytał go o nową produkcję, a dziennikarzy interesowała tylko sprawa gwałtu w Los Angeles, wiek Nastassji oraz ich wzajemne relacje.

Z czasem jednak zmieniło się nastawienie do tego filmu. Produkcja dostała trzy statuetki Cezara (za najlepszy film, dla najlepszego reżysera i za zdjęcia), zaczęła też święcić triumfy na festiwalach i

---

352 Za: *ibidem,* s. 250.

przeglądach. Gdy wreszcie rozpoczęto ograniczoną dystrybucję w USA, recenzje były znakomite.

„*Tess* Romana Polańskiego to pieśń miłosna z tragicznym finałem – pisał Roger Ebert na łamach »New York Daily News«. – Opowiada historię pięknej, niewinnej dziewczyny, naiwnej, ale nie pozbawionej inteligencji. I pokazuje, jak stopniowo niszczy ją wybujałe męskie ego. Kochankowie nigdy nie powinni się starzeć – po *Tess* nie sposób pomyśleć nic innego”**[353]**.

W Stanach Zjednoczonych ponownie dostrzeżono w Polańskim artystę kina, a jego film otrzymał dwa Złote Globy oraz sześć nominacji do Oscara. Ostatecznie przyznano mu trzy statuetki (za zdjęcia, scenografię i kostiumy), bo Hollywood najwyraźniej nie było jeszcze gotowe na uhonorowanie amatora nieletnich dziewcząt. Reżyser pocieszył się nagrodą krytyków filmowych z Los Angeles, a najbardziej ucieszył go fakt, że obraz zaczął wreszcie zarabiać. Dzięki temu dostał 300 tysięcy dolarów honorarium, co pozwoliło mu spokojnie patrzeć w przyszłość. Ale na razie nie myślał o kolejnych filmach.

„Uznanie, jakim obdarzyła mnie publiczność – wspominał – przyszło za późno. Kiedy minęła fala niepowodzeń, czułem już tylko odrętwienie i dziwną obojętność. Gdyby Tess poniosła zupełne fiasko, zniknęła bez śladu, czułbym pewnie, jak zwykle, potrzebę rozpoczęcia od razu nowego filmu, choćby po to, by udowodnić samemu sobie, że coś potrafię. Tym razem dziewięć miesięcy rozkoszowania się pracą i dwa lata stresów i rozterek rozstroiły mnie do tego stopnia, że nie chciałem już więcej robić filmów.

---

353 Za: *ibidem,* s. 255.

Zacząłem mówić o sobie jako o »eks-reżyserze”**[354]**.

AMADEUSZ

Roman nigdy nie zapominał o Polsce, a po raz pierwszy odwiedził ją na kilkanaście tygodni przed wybuchem skandalu z Samanthą Gailey. Ponownie pojawił się nad Wisłą przy okazji polskiej premiery Tess, wówczas zaczął też rozmowy o inscenizacji sztuki Petera Shaffera *Amadeusz*. Niechęć do reżyserowania nie obejmowała sceny teatralnej i szybko doszedł do porozumienia z dyrektorem Teatru na Woli, Tadeuszem Łomnickim. Polański objął reżyserię i zarezerwował dla siebie rolę Mozarta, a Łomnicki, który wyjątkowo dobrze grał kanalie, miał wcielić się w postać Salieriego.

W chwili przyjazdu do Polski Polański doskonale zdawał sobie sprawę z trudnej sytuacji Łomnickiego. W kraju trwał karnawał Solidarności, Łomnicki był członkiem KC PZPR i aktorzy nie chcieli pracować pod kierownictwem ulubieńca reżimu.

„Wszystko to obróciło się przeciwko niemu – wspominał reżyser. – Sala Teatru na Woli mieściła się w dzielnicy robotniczej i kiedyś należała do zakładów imienia Kasprzaka. Łomnicki uczynił z teatru jedną z czołowych, nowoczesnych i twórczych scen Warszawy, grając klasykę i autorów współczesnych. Robotnicy zaczęli teraz głośno protestować, że nikt z nimi nie konsultował powołania do życia teatru; domagali się przekształcenia go z powrotem w kino. Również wszystkie gesty Łomnickiego w stosunku do zespołu

---

354 R. Polański, op. *cit.*, s. 359.

– załatwianie mieszkań, telefonów czy przydziałów na samochody – zostały z dnia na dzień zapomniane. Mimo jego uczciwości zawodowej i osobistej poddano go takiej samej krytyce jak innych członków aparatu partyjnego. Tak jak niektórzy, pożal się Boże, artyści robili karierę na swojej przynależności do partii, tak inni oportuniści, tym razem z »Solidarności«, korzystali z tego ruchu, żeby się wylansować”**[355]**.

Premiera *Amadeusza* odbyła się w czerwcu 1981 roku i stała się najważniejszym wydarzeniem kulturalnym w stolicy. W tamtym niezwykle gorącym politycznie okresie swoje chwilowe zwycięstwo odniosła prawdziwa sztuka.

„[…] w teatrze dosłownie *tout le monde* – relacjonował Łomnicki – słychać było rozmowy w wielu obcych językach, przyjechali goście z całego świata, nie mówiąc już o polskich pisarzach, aktorach, reżyserach, ludziach ze sfer politycznych i dyplomatycznych. Przedstawienie Polańskiego rozsnobowało nawet tych, którzy dotąd tego uczucia nie znali. Na premierze i na kolejnych spektaklach salę szturmowały setki ludzi. Trzask aparatów fotograficznych i szmer kamer pozwalał się zorientować, że w wydarzeniu tym bierze udział wiele stacji TV – polskiej, europejskich, a nawet amerykańskich – że błyski fleszy rozniosą materiał dokumentacyjny do redakcji na całym świecie. Wyczuwało się duże podniecenie”**[356]**.

Niebawem Polański miał okazać Łomnickiemu swoją bezinteresowną przyjaźń. Gdy doświadczenia burzliwych lat 1980–1981 spowodowały u niego

---

355 *Ibidem*, s. 364.

356 T. Łomnicki, *Spotkania teatralne,* Warszawa 1984, s. 209.

poważne problemy zdrowotne i konieczna stała się operacja kardiologiczna, zaprosił go do siebie, bo w kraju nie można było przeprowadzić tego zabiegu.

„[...] Polański załatwił szpital i operację w Londynie – opowiadała Agnieszka Holland – zapłacił za operację, potem go gościł u siebie w Paryżu. Tadeusz mieszkał u niego kilka miesięcy. Wtedy po raz pierwszy byłam zresztą w mieszkaniu Polańskiego — właśnie z wizytą u Łomnickiego”**[357]**.

Warszawski sukces reżyser zdyskontował na scenie Théâtre Marigny w Paryżu. Wprawdzie wytykano mu jego obcy akcent, ale inscenizacja odniosła ogromny sukces. Przedstawienie grano blisko dwieście pięćdziesiąt razy, co jest raczej rzadkością w teatralnej praktyce.

KLĘSKA MŁODZIEŃCZEGO MARZENIA

Polański mógł sobie pozwolić na bezczynność filmową, nie narzekał bowiem na braki finansowe. Wprawdzie sukcesy teatralne nie przynosiły takich dochodów jak filmowe, ale w tym czasie przygotował i opublikował autobiografię. Zainkasował pół miliona dolarów za amerykańską edycję, a następne 150 tysięcy przyniosło mu wydanie książki we Francji i w Niemczech. Potem pojawiły się edycje w kolejnych krajach – jego życie było tak gorącym tematem, że autobiografia stawała się bestsellerem natychmiast po premierze.

---

357 Za: M. Żakowska, *Holland. Polański nie daje się uczesać,* http://wyborcza.pl/1,75410,7134150,Holland__Polanski_nie_daje_sie_uczesac.html

Po kilku latach nieobecności na planie ponownie stanął za kamerą. Tym razem zaskoczył wszystkich, bo udało mu się znaleźć sponsorów, którzy byli gotowi sfinansować jego dawne sny o filmie przygodowym.

„To było dziecięce marzenie – potwierdzała Basia Kwiatkowska — bardzo dobrze pamiętam, jak na Kalatówkach w 1959 roku próbował różnych scen z myślą o takim filmie. Nosił je w sobie jako coś bardzo cennego”**[358]**.

Scenariusz *Piratów* powstał w połowie lat siedemdziesiątych, a Roman napisał go wspólnie z Brachem. Nie należał do specjalnie udanych, obu panom zdarzało się pisać znacznie lepsze rzeczy. Ale Polański, opętany wizją realizacji swojego marzenia, nie przejmował się tym. Budżet w wysokości 25 milionów dolarów wprawił świat filmowy w osłupienie, a reżysera podziwiano za jego operatywność.

Jak zwykle podczas pracy nie zwracał uwagi na koszty. Budowa repliki hiszpańskiego galeonu pochłonęła 8 milionów dolarów i niewiele zmieniał fakt, że jednostka służyła także jako biuro i baza dla ekipy. Wzniesienie pirackiego portu na wybrzeżu Tunezji pochłonęło niewyobrażalne sumy, bardzo kosztowne były stroje dla aktorów i statystów. Do tego wszystkiego zdjęcia trwały aż jedenaście miesięcy, toteż realizacja filmu zamknęła się w kwocie 33 milionów dolarów, co oznaczało niewielkie szanse na zyski. A perspektywy te były tym mniejsze, że powstało wyjątkowo nieudane dzieło, którego największą zaletą była scenografia.

---

358 Za: J. Parker, *op. cit.,* s. 216.

„To tylko sekwencja obrazów – oceniała Basia Kwiatkowska. – Nic się za nimi nie kryje. Gdzieś przepadł pomysł, który reżyser miał na początku”**[359]**.

Była żona Polańskiego miała rację – kosztowna ekstrawagancja reżysera poniosła klęskę na całym świecie. Najwyraźniej Roman Polański nie jest Stevenem Spielbergiem, który realizując na ekranie swoje chłopięce marzenia, zarabia jednocześnie duże pieniądze. Sponsorzy solidarnie wyklinali reżysera, krytycy nie zostawili na nim suchej nitki, nikt jednak nie deprecjonował Polańskiego jako artysty. Bez względu na klęskę *Piratów* pozostał jednym z gigantów światowego kina.

„Zasada »jesteś tyle wart, ile wart był twój ostatni film« nie odnosi się do wielkich reżyserów, a Roman jest wielkim reżyserem – tłumaczył menedżer Warner Bros., Bruce Berman. – W wypadku artystów tej rangi liczy się cała twórczość, a ostatnie dzieło, nawet jeżeli jest słabe, nie daje tytułu do generalnego kwestionowania dokonań. Przy Polańskim wystarczy się cofnąć o jedną pozycję i już stajemy wobec arcydzieła, jakim była Tess”**[360]**.

EMMANUELLE

Polańskiego nadal otaczały piękne kobiety, jednak z czasem stał się człowiekiem o wiele bardziej dyskretnym, nieafiszującym się ze swoimi kolejnymi zdobyczami. Romans z Nastassją należał już do przeszłości, a złośliwi twierdzili, że młodsza od Romana o dwadzieścia osiem lat panna Kinski za

---

359 Za: *ibidem*, s. 267.
360 Za: *ibidem*, s. 269.

bardzo się zestarzała jak na jego standardy. Gdy jesienią 1985 roku poznał dziewiętnastoletnią Emmanuelle Seigner, wydawało się, że sprawy potoczą się zwykłym torem. Ona była początkującą aktorką, a on zawsze miał pozytywny stosunek do urodziwych adeptek tego zawodu.

„Pracowałem wtedy nad *Piratami* – mówił w jednym z wywiadów. – Pewnego wieczora szliśmy do teatru z szefem castingu. Zapytał, czy może przyprowadzić młodą francuską aktorkę, na co stwierdziłem, że młoda aktorka jest zawsze mile widziana. Przyszedł z Emmanuelle i okazało się, że zrobił najlepszy casting w życiu”**[361]**.

Dziewczyna znała biografię Polańskiego i podczas spotkania w domu reżysera odmówiła kategorycznie szampana oraz poczęstunku, uważając, że „przecież mógł te ciastka nafaszerować narkotykami”.

„Nie muszę chyba dodawać – wspominała – że bałam się jak cholera. Nie miałam zwyczaju kochać się z kim popadło i jeżeli szłam z kimś do łóżka, to musiałam być zaangażowana”**[362]**.

Zaangażowanie przyszło bardzo szybko, bo Polański roztoczył przed nią cały swój wdzięk i Emmanuelle wyszła od niego oczarowana. Podejrzewała jednak, że będzie dla niego tylko kolejną zdobyczą.

„Początkowo wykręcałam się – opowiadała – ponieważ wiedziałam, że po prostu chce mnie przelecieć. Ale traktował mnie z szacunkiem, nie było w nim ani odrobiny fałszu. Pociągał mnie. Był

---

361 Roman Polanski interview (2000), tłum. G. Koper, https://www.youtube.com/watch?v=GFqU3Z2azUA

362 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 270.

otwarty na wszystko. On wiedział, że ja wiem, czego on tak naprawdę oczekuje, i nie było żadnych masek. Niczego nie ukrywaliśmy. Podobało nam się to. Różnica wieku [33 lata – S.K.] mogła stanowić problem, ale myślę, że to jest cena, jaką się płaci za dojrzałość. Dwadzieścia lat szczęścia zamiast sześćdziesięciu przeżytych w nudzie”**[363]**.

Byli razem przez kolejne cztery lata, co już samo w sobie stanowiło ewenement w biografii reżysera. Polański obsadził ją w głównej roli żeńskiej we *Franticu* – thrillerze, który zaczął realizować w 1987 roku. Wcześniej wysłał dziewczynę do Londynu na intensywny kurs języka angielskiego, co w pewnym sensie było powtórzeniem związku z Nastassją.

Film realizowano w Paryżu, a główną rolę męską zagrał Harrison Ford, z którym reżyser szybko znalazł wspólny język. Mimo że aktor uchodzi za wyjątkowo trudnego na planie, współpraca przebiegała bezkonfliktowo, a Roman zaakceptował nawet odmienne wizje Forda dotyczące poszczególnych scen. Zdecydowanie gorzej szło mu z Emmanuelle, co podsumował krótkim stwierdzeniem, że „było to wyjątkowo trudne przeżycie”.

„Nie byłam zbyt dobra – przyznawała Seigner – ale on sprawił, że wypadłam dobrze. Niczego mi nie narzucał, pozostawił swobodny wybór środków, ale niepostrzeżenie wydobywał ze mnie oczekiwany przez siebie rezultat”**[364]**.

Głównymi atutami obrazu były; znakomity scenariusz, doskonałe zdjęcia Witolda Sobocińskiego

---

363 Za: *ibidem,* s. 272.
364 Za: *ibidem,* s. 273.

oraz muzyka Ennia Morricone. Nie zawiedli też aktorzy, chociaż Ford zdecydowanie górował nad Emmanuelle. Jednak film nie odniósł takiego sukcesu, na jaki zasługiwał – być może krytycy i widzowie spodziewali się powrotu Polańskiego do dawnych klimatów. Tymczasem reżyser od czasu *Tess* eksplorował nowe tematy.

Roman lubił jednak zaskakiwać, a największą niespodzianką okazało się małżeństwo z Emmanuelle. Pobrali się po czterech latach znajomości, a opinia publiczna dowiedziała się o tym z dwuletnim opóźnieniem. Polański poinformował o ich ślubie dopiero wtedy, gdy przystępował do produkcji kolejnego filmu, *Gorzkie gody*, stwierdzając, że w jednej z ról zagra jego żona. Wrażenie było wręcz nieprawdopodobne.

W chwili ślubu Polański miał pięćdziesiąt sześć lat, w podobnym wieku unormował swoje życie jego bliski przyjaciel Warren Beatty. Obaj słynęli z niezliczonych romansów, ale zbliżając się do sześćdziesiątki, poślubili swoje aktualne partnerki. Być może prawdą jest twierdzenie, że mężczyźni wchodzący w smugę cienia stają się bardziej sentymentalni.

Emmanuelle urodziła Polańskiemu dwoje dzieci, zagrała też w kilku jego filmach. Na pewno nie było to dla niej łatwe zadanie, tym bardziej że podczas realizacji *Gorzkich godów* zdenerwowany mąż wykrzykiwał na planie, że „ożenił się z idiotką". Inna sprawa, że wielu krytyków było bardzo zdziwionych, że Roman w tak kontrowersyjnej roli obsadził własną żonę. Najwyraźniej jednak fascynacja „krwią i seksem" wcale reżyserowi nie przeszła.

Powszechnie też uważano, że Seigner nie udźwignęła roli, gdyż tylko „strzelała oczyma w

scenach erotycznych", a w pozostałych zachowywała się tak „jakby odczytywała swe kwestie ze scenariusza". Zdecydowanie lepiej przyjęto jej rolę w *Dziewiątych wrotach*, gdzie partnerowała Johnny'emu Deppowi.

„Z różnych powodów to była bardzo trudna realizacja – wspominał Polański. – Na szczęście Emmanuelle miała świetny kontakt z Johnnym. W ogóle dobrze jej się pracuje z innymi aktorami. Jest wymagająca i ambitna, wybiera sobie czasem małe, ale trudne role"**[365]**.

Seigner nigdy nie ograniczała się tylko do twórczości męża, grała także w wielu filmach innych reżyserów, a w 1999 roku dostała nominację do Cezara za drugoplanową rolę w *Placu Vendôme*. Nie jest jednak uważana za specjalnie utalentowaną aktorkę, a podobne opinie można spotkać na temat jej kariery muzycznej (nagrała dotychczas dwie płyty). Na planie filmu męża pojawiła się ponownie dopiero w 2013 roku w produkcji *Wenus w futrze*.

NAJCENNIEJSZY TRIUMF

Chociaż Polański zawsze powtarzał, że marzy o realizacji filmu w Polsce, to przez wiele lat był przekonany, że to niemożliwe. Nie interesowały go względy ideologiczne, problemem był brak odpowiedniej infrastruktury. W jednym z wywiadów zauważył, że chociaż film można nakręcić bez kamery, to nie da się go zrealizować bez sprawnego telefonu. Faktycznie, usługi telekomunikacyjne nad Wisłą pozostawiały wiele do życzenia, jednak wraz z

---

365 Roman Polanski interview...

pojawieniem się telefonii komórkowej i nadejściem ery cyfryzacji sytuacja uległa zmianie.

Zdjęcia w Polsce oznaczały także mniejsze koszty, a Polański zaczął zwracać uwagę na ten aspekt produkcji. Poza tym znalazł wreszcie temat, o którym w skrytości ducha marzył od lat, a także dojrzał do tego, by wykorzystać swoje wspomnienia z czasów Holocaustu.

Banicja, na jaką skazało go Hollywood, spowodowała, że miał mocno ograniczone pole manewru. W USA przeznaczano na kinematografię kolosalne środki, tamtejsi producenci kupowali prawa do niemal każdego bestsellera książkowego. Oferowano sumy niewyobrażalne na Starym Kontynencie, Polańskiemu pozostawały więc własne pomysły lub literatura mniej popularna. Udało mu się jednak trafić na książkę, która spełniała wszystkie jego oczekiwania. To pamiętniki pianisty, Władysława Szpilmana.

Nowe dzieło Polańskiego było polsko-francusko-brytyjską koprodukcją, której budżet określono na 35 milionów dolarów, a jednym z jej producentów został Gene Gutowski. Film realizowano głównie na warszawskiej Pradze, a część scen powstawała także na terenie dawnej sowieckiej bazy we wschodnich Niemczech.

Polański nie ograniczył się wyłącznie do ekranizacji wspomnień Szpilmana i wprowadził do filmu wiele scen zapamiętanych z dzieciństwa w krakowskim getcie. Niektórzy krytycy uważają, że w ten sposób powstał najbardziej autobiograficzny obraz w jego dorobku, i zapewne mają rację. Wielomiesięczna praca na planie tak go wyczerpała, że wbrew swoim zasadom był nieobecny podczas uroczystego bankietu kończącego zdjęcia. Poprosił

Gutowskiego, aby odwiózł go na warszawskie lotnisko, gdyż „chciał wrócić do rodziny”**[366]**.

Pianista spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem na całym świecie. Zebrał kilkadziesiąt nagród, wśród których były Złota Palma w Cannes, siedem Cezarów, dwie nagrody BAFTA. Zarobił też ponad 120 milionów dolarów, co stawia go wśród najbardziej kasowych obrazów Polańskiego. Ale najważniejsza chwila nadeszła 23 marca 2003 roku, kiedy Amerykańska Akademia Filmowa przyznawała statuetki Oscara. *Pianista* miał sześć nominacji i był jednym z faworytów, a smaczku całej sprawie dodawał fakt, że nie tylko Polański nie mógł się pojawić na gali. Nieobecny w Hollywood był także producent ze strony polskiej, Lew Rywin. Z powodów zdrowotnych zabrakło także Gene’a Gutowskiego, który śledził uroczystość w telewizji.

„W końcu nadszedł wielki moment – opisywał Gene. – Adrien Brody dostał Oscara za główną rolę męską, Ronald Harwood – za adaptowany scenariusz, a Roman – dla najlepszego reżysera. Widzowie zebrani w Hollywood wstali z miejsc i bili brawo, a ja tańczyłem na łóżku, zmagając się z korkami od szampana. Kilka minut później zatelefonował z Paryża Roman… »Nieźle, stary« powiedział do mnie, a ja odparłem: »Całkiem nieźle«”**[367]**.

Zapewne gdyby nie sprawa z Samanthą Gailey, Polański miałby już niejednego Oscara w swoim dorobku, a tak musiał ćwierć wieku czekać na tę najcenniejszą w świecie filmu nagrodę. I bez końca można rozpamiętywać, ile jego znakomitych filmów

---

366 G. Gutowski, op. *cit.*, s. 376–377.
367 *Ibidem*, s. 379.

nie powstało z tego powodu, że nie miał dostępu do pieniędzy i możliwości Hollywood. Być może jednak w swoich kolejnych produkcjach bardziej skupił się na tym, co go najbardziej pasjonowało? I może dlatego po latach burzliwego życia stworzył udaną rodzinę? W każdym razie od czasu *Pianisty* nakręcił cztery filmy, jednak żaden z nich nie powtórzył sukcesu tamtego obrazu. Mimo to Polański uważa się za człowieka spełnionego pod każdym względem.

„Człowiek młody – mówił w wywiadzie dla »Guardiana« – jest zbyt pochłonięty szukaniem miejsca w świecie dla siebie samego. Myślę, że [teraz] daję dużo więcej niż mógłbym dać za młodu. [...] Kiedy wspominam pewne wydarzenia z przeszłości, myślę, Chryste, nie powinienem był zrobić tego czy tamtego, ale teraz widzę, że wtedy... nie byłbym tu, gdzie jestem. To ironia tego wszystkiego. Skręci się o jedną przecznicę za wcześnie lub za późno i cała przyszłość wygląda inaczej. Jestem zadowolony, że dotarłem do tego punktu, bo odpowiada mi moje obecne życie”**[368]**.

Polański bez wątpienia jest geniuszem, zdarzają się jednak ludzie, którzy czytając jego pełne samozadowolenia wynurzenia, przypominają słowa wypowiedziane przez Johna Hustona w *Chinatown:*

„Politycy, brzydkie budowle i dziwki, jeśli istnieją wystarczająco długo, zyskują szacunek”.

368 Za: J. Parker, *op. cit.*, s. 289.

Zakończenie

Nie po raz pierwszy, kończąc pisanie książki, zdaję sobie sprawę z tego, że nie wyczerpałem tematu. Wprawdzie nie mam nic do dodania w kwestii opisanych tutaj *postaci*, ale listę „ulubieńców bogów", czyli przedstawicieli świata kultury, którzy osiągnęli autentyczny sukces i mieli okazję w pełni poznać jego smak, można przecież znacznie wydłużyć. Nie wolno jej zresztą ograniczać tylko do artystów, bo także w dziedzinie nauki i sportu znaleźlibyśmy osoby, które jak najbardziej odpowiadałyby temu kryterium. Czy zatem powrócę jeszcze kiedyś do tego tematu? Trzy lata temu, po napisaniu *Straconego pokolenia PRL,* byłem święcie przekonany, że ten obszar już więcej mnie nie zainteresuje, a przecież niniejsza książka jest swego rodzaju kontynuacją tamtej opowieści – kontynuacją, po której wcale nie stawiam kropki, bo takich „ulubieńców bogów" nie brakowało także w czasach II Rzeczypospolitej i Młodej Polski. Być może za jakiś czas powrócę więc w te rejony, ale na razie mam nadzieję, że następną swoją książką uda mi się całkowicie zaskoczyć moich Czytelników.

Ważniejsza bibliografia

Abym mógł przed siebie iść. Opowieść o Ryśku Riedlu, http://stacja7.pl/kultura/abym-mogl-przed-siebie-isc-opowiesc-o-rysku-riedlu/

Barbara Kwiatkowska i Roman Polański. Ich wesele stało się legendą, http://pary-populada.pl/news-barbara-kwiatkowska-i-roman-polanski-ich-wesele-stalo-sie-le,nId,1719682

Batura E., *Księżycowy chłopiec, Warszawa.* 2001.

Bikont A., *Scenariusz życia,* „Gazeta Wyborcza", 31.07.1999.

Boroń M., *Ostatnie dni Ryśka Riedla. 20 rocznica śmierci*, http://muzyka.interia.pl/rock/news-ostatnie-dni-ryska-riedla-20-rocznica-smierci,nld,1666865

Corry J., *17 years of ideological attack on a cultural target,* „New York Times", 7.11.1982.

Czapliński Cz., *Pasje Jerzego Kosińskiego,Warszawa* 1993.

Czas Komedy, film R. Kaczmarka i M. Kalinowskiego, 1994.

Dasko H., *Odlot malowanego ptaka. Warszawa* 2009.

Dopartowa M., *Labirynt Polańskiego,* Kraków 2013.

Dudziak o dramacie z przeszłości. Mąż rzucił mnie dla młodszej, http://rozrywka.dziennik.pl/plotki/artykuly/474611,urszula-dudziak-wspomina-rozstanie-z-michalem-urbaniakiem.html

Dudziak U., *Wyśpiewam wam wszystko*, Warszawa 2011.

Dżem, reż. P. Aleksowski, 1994.

Evans R., *Hazardzista z Hollywood*, Warszawa 1995.

Filmówka. Powieść o łódzkiej szkole filmowej, Warszawa 1998

Godzińska A., *Huculka i ptasior,* http://szuflada.net/huculka-i-ptasior-halina-poswiatowska-i-jerzy-kosinski/

Górnicki W., *Laur malowany,* „Polityka", 12/1966

Grechuta D., Baran *J., Marek. Marek Grechuta we wspomnieniach żony Danuty,* Kraków 2011

Grynberg H., *Uchodźcy, Warszawa* 2004

Gutowski G., *Od Holocaustu do Hollywood,* Kraków 2004

Historia prawdziwa. #15, Roman Polański, https://www.youtube.com/watch?v=At-t_0DJ6UY

Horowitz R., *Życie niebywałe. Wspomnienia fotokompozytora,* Kraków 2014.

http://pl.scribd.com/doc/112844761/Hamilton-Puste-miejsce-Felietony-z-lat-1967-1973-%E2%80%93-1973-zorg

http://wyborcza.pl/magazyn/1,124059,11273645,Dudziak__Jak_kochalismy_sie_z_Kosinskim.html?disableRedirects=true

https://www.youtube.com/watch?v=H7CF-YEDA7A

IPN BU 1218/5194/1.

IPN BU 1218/5194/2.

IPN BU 1532/11589.

Jak kamień w wodę, „Dziennik Polski", 20.11.1999.

Jan Kanty Pawluśkiewicz o Marku Grechucie, https://www.youtube.com/watch?v=THpvY0mPbls

Janowska K., *Niedotykalny,* „Polityka", 42/2006.

Jerzy Kosiński. More than life, http://facet.onet.pl/malemen/jerzy- kosinski-more-than-life/rve5b.

Jerzy Kosiński. Twarz i maski, red. J. Jedliński, Łódź 1992.

Kachel K., *Wszystkie kobiety Marka Grechuty*, https://wiadomosci.wp.pl/wszystkie-kobiety-marka-grechuty-6037076642009729a?&ticaid=118a28

Kaszyca E., *Biała i czarna legenda Ryszarda Riedla*, Katowice 2008.

Kąkolewski *K.,J ak umierają nieśmiertelni,* http://niniwa22.cba.pl/kakolewski_jak_umieraja_niesmiertelni.htm

Kąkolewski K., *Saga rodu Frykowskich,* https://kobieta.wp.pl/saga-rodu-frykowskich-59830514098428l7a

Komeda – muzyczne ścieżki życia, reż. C. Buthenhoff-Duffy.

Komeda, muzyczne ścieżki życia, http://www.youtube.com/watch?v=iZALOroRkcY

Komeda-Trzcińska Z., *Komeda, Zośka i inni....* Warszawa 1996.

Kosiński autor czy współautor, „Polityka", 33/1982.

Kosiński. Autor czy współautor?, „Polityka", 10/1983.

Kosiński J., Codcpit, Warszawa 1992.

Kosiński J., *Randka w ciemno.* Warszawa 2011.

Kto złamał serce Markowi Grechucie, http://pary-populada.pl/news-kto-zlamal-serce-markowi-grechucie,nId,1048684

Ligocka R., *Dziewczynka w czerwonym płaszczyku,* Kraków 2015.

ŁomnickiT., *Spotkania teatralne*, Warszawa 1984.

Majewski W., *Marek Grechuta. Portret artysty,* Kraków 2006.

Malowany ptak, „Forum", 24/1966.

Marek Grechuta we wspomnieniach syna, „Gala", 42/2006.

Michalak B., *Na zakręcie. Agnieszka Osiecka* we *wspomnieniach,* Warszawa 2001.

Morelle E.M., *Słodkie życie,* Kraków 2007.

Mrozek W., *Witkacy na szynach,* http://www.dwutygodnik.com/artykul/4432-witkacy-na-szynach.html

Nie byłem maminsynkiem, „Gazeta Polska", 3.04.2002.

Niemcy są ich miłością, „Słowo Polskie", 20.06.1966.

Ofiara Polańskiego napisała list, w którym oskarża prokuratorów. „Nigdy nie chroniliście mnie", http://telewizjarepublika.pl/ofiara-polanskiego-napisala-list-w-ktorym-oskarza-%20prokuratorow-nigdy-nie-chroniliscie-mnie,47715.html

Ornatowski Z., *Nóż w wodzie*, „Ekran", 35/1961.

Parker J., *Polański*, *Wrocław* 1998.

Passent D., *Passa*, Warszawa 2012.

Pawluśkiewicz J.K., *Jan Kanty Osobny,* Kraków 2013.

Polański R., Roman, Warszawa 1989.

Polański. Moje życie, reż. Laurent Bouzereau, 2011.

Pryzwan M., *Ja minę, ty miniesz... Wspomnienia o Halinie Poświatowskiej*, Warszawa 2008.

Roman Polanski interview (2000), https://www.youtube.com/watch?v=GFqU3Z2azUA

Roman Polański, ścigany i pożądany, reż. Marina Zenovich, HBO 2008.

Rozmowa z Marzeną Jóźwik z dnia 16.02.2017 oraz mail z 17.02.2017.

Sarzyński P., Wolny M., *Kronika śmierci przedwczesnych*, Warszawa 2000.

Sebastian Riedel. Z ojcem słuchaliśmy Metalliki, http://www.dziennikzachodni.pl/artykul/146477,sebastian-riedel-z-ojcem-sluchalismy-metalliki,id,t.html

Sen o Victorii, reż. T. Nowak, A. Szymanek, TVP Łódź 1994.

Sex, Lies and Jerzy Kosiński, Bookmark Special, BBC 1995.

Sie macie, ludzie, reż. K. Magowski, TVP 2 2004.

Siedlecka J., *Czarny ptasior*,Warszawa 2013.

Sloan J.P., *Jerzy Kosiński. Biografia*, Warszawa 1997.

Smith D., *Kosiński. Autor czy współautor?*, „Polityka", 38/1982.

Stachówna G., *Polański od A do Z*, Kraków 2002.

Staszewski W., *Dudziak. Jak kochaliśmy się z Kosińskim*, http://wyborcza.pl/magazyn/1,124059,11273645,Dudziak__Jak_kochalismy_sie_z_Kosinskim.html

Szkaradziński J., *Dżem. Ballada o dziwnym zespole*, Poznań 2009.

Szkaradziński J., *Rysiek*, Czerwonak 2014.

Sztokfisz M., *Chwile, których nie znamy. Opowieść o Marku Grechucie*, Warszawa 2013.

Taylor J., *The haunted bird. The death and life of Jerzy Kosiński*, „New York", 15.06.1991.

Urban J., *Jerzy Urban o swoim życiu rozmawia z Martą Stremecką*, Warszawa 2013.

Wiącek T., *Śladem plugawej książki,* „Słowo Ludu", 9.06.1968.

Wodecki Z., *Pszczoła, Bach i skrzypce*, Wavszawa 2011.

Wywiad z Golą Riedel, http://dzemfc.blogspot.com/2013/11/wywiad-z-gola-riedel.html

Zarębski K.J., *Filmowe życie Jerzego Kosińskiego,* http://culture.pl/pl/artykul/filmowe-zycie-jerzego-kosinskiego

Zbigniew Wodecki o muzycznej drodze. Rozmawia Jerzy Kisielewski, http://www.polskieradio.pl/8/3664/Artykul/1480636,Wodecki-Grechute-poznal-przez-Bacha

Żakowska M., *Holland. Polański nie daje się uczesać*, http://wyborcza.pl/1,75475,7134150,Holland__Polanski_nie_daje_sie_uczesac.html

„Życie Warszawy", 23.08.1969.